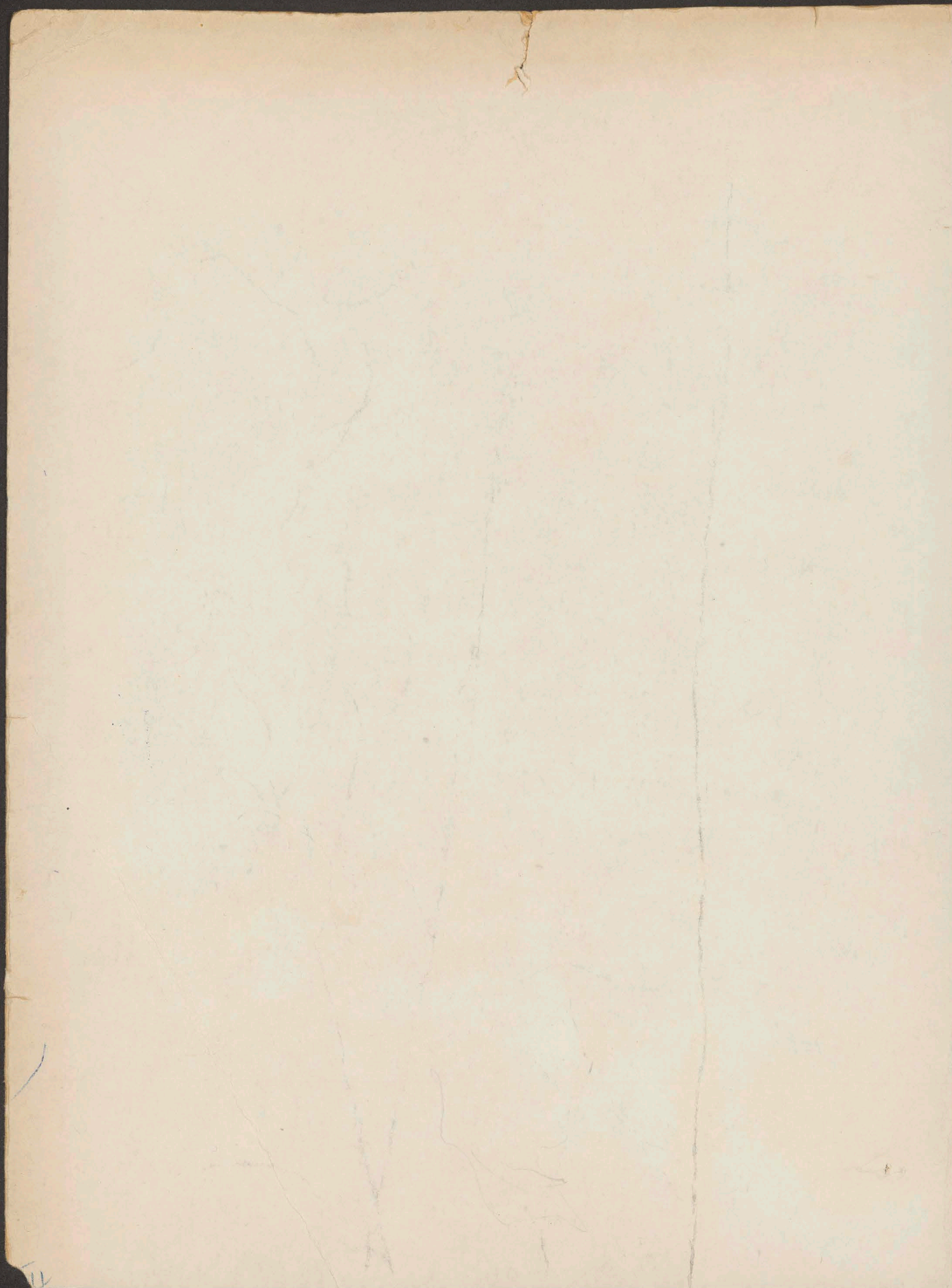
Maryla Wolska

„Quod libet"

Kopia masz.

Q



146 str.

Maryla Wolska

Q U O D L I B E T

" Ecce infantia mea olim mortua est
et ego vivo... "

św. Augustyn

SKOROWIDZ TRESCI

....

" Ow "Quod libet " to była jakby płytka szuflada, nie duża, wieszana na gwożdziu, jak obraz, pokryta szkłem, podobna do tych, w jakich się zamyka zbiór motyli. Dno jej wyścielone podwatowanym, białym atłasem, pełne było poprzyszpilanych drobiazgów, najprzeróżniejszych pamiątek, za każdą zaś z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień....(-) Pamiątki to czasem nic innego, tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie, w którą wpadł kamyk...Póki drży owa najsłabsza, najdalsza - jeszcze się wie, że to ślad istnienia jakiejś rzeczy, czy duszy, co znikła... "

(-str. 47)

Pamiętam w domu jedno miejsce na ścianie, na które w zi=
mie padała zwykle czerwona plama zachodzącego słońca.

Nad moją wąską, białą szafką z dziecinnymi książkami, na popielaty deseń ściany w mroczne popołudnie, gdy szyby za=
czynały marznąć a w pokoju robiło się coraz chłodniej..

Cedzić się musiał ten ostatni promień przez jakieś da=
lekie drzewa, bo drgało w nim coś niby splątany rysunek gałęzi i cienie ptaków, gromadzących się już wcześnie na sen.

I zawsze patrząc na tę od lat znajomą, świecącą plamę, czułam jedno - nie wiadomo dlaczego właśnie to ? - że tak dobrze w domu i bezpiecznie i że takie jeszcze mnóstwo, niesłychane mnós=
two czasu na wszystko...

I myślałam o tym, że mróz bierze i że gdzieś, nad wielkimi drzewami krążą pewno gromady zmarzniętych wron i kawek a niebo za nimi staje się coraz czerwieńsze i złocistsze...

Nie przyśniło mi się nigdy, że te wielkie drzewa rosną w ogrodzie, który kiedyś nazwę sama - Zaświeciem.

A wśród stygnącej szarzyzny kątów pąsowa plama blasku drgała i mieniła się jakimś odległym, nie swoim życiem...

Trwało to zawsze tylko krótką chwilę.

Promień słońca przesuwał się po ścianie na dużą mapę Europy nad starą kanapą i gasł - na Islandii.

Wtedy w mrocznym pokoju robiło się odrazu bardzo chłodno i późno...

....

A dziś, po latach, o wczesnym zachodzie zimowego dnia, chciałabym móc przywrzeć dojrzałymi ustami do owej ściany i po=
całować - zanim by zgasło na Islandii - tamto dawne, kochane, domowe słońce...

Urodziłam się 13-go marca 1873 r, we Lwowie, w słoneczne południe, w domu na którego miejscu stanął później gmach Kasyna Narodowego. Okna parterowego mieszkania patrzyły w Ogród Jezuicki a ulica nosiła już wtedy nazwę ulicy Mickiewicza.

Pierwsze kwiatki w życiu, pierwsze śnieżyczki, położyła mi na powiciu Matka Dora, pani Skólimowska z Dynisk. Następnego roku w jesieni już nie żyła, ale jej dobrotliwe ręce zdążyły jeszcze obdarzyć mnie mnogością ślicznych stroików, ja zaś zdążyłam nauczyć się jej imienia i wołać na nią : matka Dola". Haftowała i szyła dla mnie pelerynki katanki, kapturki... Jeden z misternych bucików jej roboty, amarantowy z czarnym, sukienny, wisi w Quodlibecie Cioci Tereni.

Dzięki stosowi starych kalendarzy, w których rodzice przez długi szereg lat zapisywali ważniejsze wydarzenia, mogłam i ja, wertując je - już samotna na Zaświeciu- przyjrzeć się zblisk a początkom własnym, przekonać się, jak nic jeszcze sama o sobie nie wiedząc, widna już byłam w domu, ważna i kochana od pierwszej chwili, aż do tej żałosnej ostatniej, gdym po latach, z dawnego zespołu, została na świecie sama.

Nowy Rok w tych kalendarzach zaczynał zwykle Tatko słowami : " W Imię Ojca i Syna i Ducha św. - amen." Pod datą 6 kwietnia r.1873 pierwsza dłuższa o mnie relacja :

" W Palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki. Około pierwszej godziny w południe przyjechałem z ks. Kanonikiem Skibińskim od św. Magdaleny i zastałem już bardzo wiele z proszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonii. Jako chrzestni rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blühdorn (Rodakowskiego pasierbica a moja uczennica) w drugiej parze stanął Kornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona: Maria Wanda.

O drugiej, po skończonej ceremonii chrzcin i wywodu matki, przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania.

Z gości oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, były następujące osoby: PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowscy, Józef Waśkiewicz, stary żołnierz, kapitan 4-go pułku ułanów w 1831 r., Wł. Zawadzki, literat, F. Richter, księgarz i wydawca "Strzechy"

p. Mieczysław Darowski *), Jan Amborski literat, Dr. Adam Czyżewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skólimowski.

Usposobienie było bardzo ożywione. Wznoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową do nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowoochrzczonej. Dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Sawczyński wniósł toast na cześć Poezji i Sztuki i jej tu reprezentantów. Około czwartej skończyła się ta uroczystość i goście się zaczęli rozchodzić.

Jako chrzyżmo dostała dziecina od chrzestnej matki panny Blühdorn, na pamiątkę srebrny serwis do herbaty t.j. czajnik, dzbanuszek i cukierniczkę a wszystko na takiejże tacy, na której już były wyryte jej litery w monogramie i dzień i rok chrzcin. Od drugiej chrzestnej matki dostała srebrną łyżeczkę, także z literami.

Wszystko odbyło się tak pięknie iż z największym zadowoleniem i przyjemnością będziemy sobie ten dzień w naszym domu - do teraz pewnie najświetniejszy i najweselszy - przypominać. "

Wracam i ja do tego dnia myślą wdzięczną i mimowoli wierzyć muszę we wróżebne jego uroki. Wielki poeta polski i wielki malarz przekazali mi kult Piękna dośmiertny - dwaj historycy i dwaj weterani, na których piersiach błyszczały owego dnia na wstędze czarnobłękitnej stare żałobne Krzyże Virtuti Militari, byli jakgdyby zwiastunami tej doby, na którą oni z wiarą czekali, a na którą oczy moje miały patrzeć po latach.

Pierwszy raz wyniesiono mnie z domu na świat w dzień św. Feliksa 18 maja, strojną niechybnie w misterne konfekcje Matki Dory i - jak to Mama zapisała w kalendarzu - pierwszym na co się natknął mój wózeczek na ulicy, było jakieś wesele.

W grudniu 1874, gdym już miała bez mała 21 miesięcy, znowu notatka Ojcowa :

" Nasza kochana Maryla dobrze się chowa, zdrowa, bardzo pięknie się rozwija, szczególnie zadziwia dokładną wymową, wielką pamięcią i szczególniejszym pociągiem do rysowania. Ołówek tak dobrze trzyma w palcach, jakgdyby już dawno z tym oswojona. Rysuje nawet figurki, które istotnie mają podobieństwo do ludzkich, domki itd. Umie nazwać

---

*) Mieczysław Darowski, opiekun młodych lat mego ojca, jedna z najszlachetniejszych, przyjacielskich postaci z domem naszym związanych, jeden z najlepszych i najmilszych ludzi, którzy wywierali wpływ na moje dzieciństwo i młodość, człowiek którego całe życie było wierną służbą ojczyźnie, ofiarną miłością bliźniego, wysokim wzorem dla drugich. Cały ogromny majątek poświęcił sprawie narodowej, z ostatków dzielił się jeszcze z biedniejszymi. Umarł ubogi w Krakowie w r. 1889.

dokładnie wszystkich malarzy, których obrazy w naszym pokoju sypialnym wiszą, jako to Murillo, Correggio, Holbein, Palma i Grottger. "

Raz po raz jawi się w kalendarzu jakiś zapisek związany z moją maleńką osobą, bądź z towarzyską kroniką domu.

Pierwsze nabożeństwo w życiu na jakie byłam wzięta to ruska Msza św., w dyniskiej cerkiewce. Jest też notatka o wizycie rodziców w pracowni Rodakowskiego, gdzie widniały na sztalugach właśnie ukończone portrety pułkownika, brata jego Maksa i pani Zofii z Bobrów Juliuszowej Dzieduszyckiej. Jest zapisek o bytności Matejki i obiedzie danym dla niego przez PP. Rodakowskich na Cetnerówce pod Lwowem, na którym byli i moi rodzice, - o wieczorze, który spędził u nas Daniel Penther, malarz, kolega Tatka z monachijskich czasów, rzadko jawiący się z Wiednia w rodzinnym Lwowie... Potem śmierć Goszczyńskiego. Pierwszy umarły jakiego widziałam i moje pytanie : Czy ten dziadzio to święty? "

Z dwu par chrzestnych rodziców, główną rolę grał w moim dzieciństwie Henryk Rodakowski. Dziś dopiero widzę, jak chyba cenił moich własnych, skoro miał dla ich dziecka tyle dobroci, tyle drobiazgowej pamięci, skoro przez lata całe nie opuścił żadnej gwiazdki, żadnych urodzin, czy imienin, aby malutkiej, a potem większej - nie sprawić jakiejś wybrednej, radosnej niespodzianki. Najpiękniejsze lalki, najkunsztowniejsze pajace, meble lalczyne, zwierzątka, jak żywe - miałam od niego. Zawsze albo przybywał z takimi darami sam, albo gdy bawił za granicą, towarzyszył posyłce zabawek czuły bilet z serdecznościami " Dla Lili ". Ukochana moja lalka, Karolcia, paryżanka, przysłana z całą barwną wyprawą na któreś imieniny, była także jednym z darów Rodakowskiego. Kochałam go i byłam z niego wcześnie dumna. Wiedziałam, że jest wielkim, polskim malarzem i że dostał od Francuzów złoty medal. Dziwiłam się, że go nie nosi i bardzo byłam tego medala ciekawa. Lubiłam słyszeć jego bardzo niski, szczególnie dźwięczny głos, nie tylko dlatego, że często towarzyszyła mu nowa radość opakowana w pudła i szeleszczące papiery, ale dla jakiejś solenności, którą mnie przejmowało jego pobliże. Nie byłabym umiała tego wytłumaczyć wówczas, ale dzięki pochwytanym strzępom domowych rozmów o nim, czułam poza jego osobą świetny, daleki świat, z którego przybywał. Zaciekawiała mnie, jak wszystko dla dziecka niezrozumiałe, jeszcze mi wówczas obca francuszczyzna, którą chętnie przeplatał rozmowę, i pociągał ów głos strojny głęboki, sam w sobie jakby odświętny, który po latach poznałabym wśród tysiąca.

Nie podobny był do żadnego z artystów, którzy u nas bywali. Jakiż inny był n.p. Grabowski, ze swoją zmiętą fizjognomią chorego psa, zmiętym ubraniem i wiśniowym fezem, dobywanym zawsze z kieszeni

gdy do nas przychodził na dłużej. Wkładał go na głowę, siadał po turecku na dywanie i umiał nie odezwać się godzinami. A gdy zaczął mówić, najczęściej kazali mi rodzice iść zaraz do drugiego pokoju. Nazywałam go " mój Tureczek " i lubiłam mimo wszystko... Jak żeby inny był Adam Chmielowski - mówiący cicho i łagodnie (którego obecność poznawałam zdaleka po stukocie drewnianej kuli, bo nogę utracił w powstaniu i który robił studium z głowy naszej służącej Józi do obrazu jakiejś świętej). Stary pan Raczyński, młody Wyczółkowski - swojski, zawsze jakby trochę nieśmiały pan Tepa - to byli całkiem, całkiem inni ludzie. Czuło się, że Rodakowski czymś osobnym od nich odbija. Był dworny, wytworny, bogaty... Dziś wiem, że po za całą sztuką artysty i pięknością umysłu, jedną z głównych tajemnic jego uroku było to, że był niezmiernie w życiu szczęśliwy. Że potrafił być przy tym równie dobrym, - to zjawisko jeszcze rzadsze od szczęścia!

Drugi mój ojciec chrzestny wcale się zrazu mną nie troszczył. Wiedziałam, że istnieje, jak się nazywa, kim jest, ale bywał u nas rzadko. Przeżywał okres zbyt pochłaniający jego serce, aby myśleć o czym innym, prócz o tej, którą kochał a utracić miał niebawem. Przyjrzałam mu się uważniej dopiero wtedy, gdy przyszedł się pożegnać z rodzicami wyjeżdżając na stałe ze Lwowa. Było to po śmierci pani Wildowej. Nie [redacted] miałam o niczym pojęcia, ale zastanowiły mnie jego nieduże, zmrużone oczy, pełne łez gdy mnie podniósł na ręce na odchodnym. Uściskał mnie i ucałował bardzo czule, ja zaś nie oswojona z nim wcale, nie zdobyłam się i wtedy na serdeczność wzajemną. Nierychło dowiedzieć się miałam o właściwej przyczynie tych łez. Stanęły one w oczach poety nie z żalu za nami, ale nad sobą samym. Zostały mi w pamięci jednak te mokre oczy, kręte, siwiejące włosy i duża pogięta perła w krawacie. *)

Dopiero po wielu latach, w r 1887, gdy Kornel Ujejski przyjechał do nas na Storożkę, w jesieni, zawarłam z moim chrzestnym ojcem sojusz mocny, dożywotni.

Starsza z moich dwu chrzestnych matek, panna Leonia Blühdorn

---

*) W liście mojej Mamy do K Ujejskiego z d. 12.XII 1884 r, znalazłam wzmiankę o tej jego bytności pożegnalnej u nas. Było to w parę miesięcy po śmierci P Wildowej, jak z relacji Mamy wynikał a zatem w r.1878. To że Mama nie wspomina o mojej obecności wtedy jest o tyle xxxxxxxxx proste, że szczegół ten, dla samego momentu, był bez znaczenia. Musiałam się nawinąć samorzutnie, w ostatniej chwili i zapamiętałam lepiej od Mamy ten uścisk pożegnalny, dla mnie pamiętny, a w jej wspomnieniu zatarty. Miałam już piąty rok i migawka ta stoi mi w oczach bardzo wyraźnie.

późniejsza wicehrabina de Romanet, pozostała dla mnie pojęciem całkiem nierealnym. Wyjechała zagranicę, zanim zdążyłam ją spostrzec, wyszła zamąż i umarła, nim zaczęłam rozumieć. Ale pamiętała o mnie równie tkliwie, jak wielki malarz, jej ojczym. Do dziś zachowuję kilka ładnych drobiazgów, jakimi obdarzała mnie corocznie, zanim zgasła. Poznałam ją dopiero w r. 1894, podczas wystawy Kościuszkowskiej we Lwowie, czarnowłosą, o ciężkich warkoczach i złotawej cerze, z prześlicznymi rękami, odzianą w czarny aksamit, koronki i futro, w Pałacu Sztuki - na wspaniałym, florenckim portrecie Rodakowskiego.

Ostatnia z czworga moich chrzestych rodziców, jedenastoletnia wówczas Leonia Sawczyńska - dziś owdowiała Leonowa Paszkowska - jedna jedyna żyje dotychczas we Lwowie. Doznałam od niej również wiele dobra, wiele pamięci, wiernej przyjaźni i wspomnienia o niej snują się przez całe moje życie, znaczone mnóstwem niezatartych śladów. Zrazu obdarzała mnie różnymi pięknymi stroikami, wychodzącymi z pod jej przedziwnie zręcznych rąk, później uczyła mnie równocześnie z swą matką Panią Zygmuntową Sawczyńską wiela rzeczy, które dzięki ich doskonałemu wykładowi siedzą mi w głowie mocno i na swoim miejscu do dziś... Jedna z tych istot, które daleko łatwiej szanować, nawet kochać - niż lubieć. Twarda dla siebie i dla drugich, zasadna w cnocie i wierna w przyjaźni. Mimo obcowania ze Sztuką, jako pedagog odnosi się do niej jak do gramatyki - trzeźwo, bez cienia sentymentu. Wie mnóstwo, ale zdaje się nie czuć nic. Zawdzięczam jej ogromnie wiele ładu w głowie i porządnie tam rozmieszczonych wiadomości, z którymi już sama wiem co zrobić.

Młodociany profilek Leonii Sawczyńskiej namalował Matejko w " Dziewicy Orleańskiej", tuż za grupą króla i Agnes Sorel.*)

---

*) O tym mam relacje nietylko od samej Leonii, ale stwierdziła ten fakt panna Emilia Witosławska, kuzynka Matejków, długoletnia opiekunka panien Heleny i Beaty, dobra znajoma moich rodziców.

Najwcześniejszym moim własnym wspomnieniem są krople rosy błyszczące jak paciorki na hamaku pajęczyny, przyczepionym do ciemnej zieleni czegoś, o czym dopiero znacznie później dowiedziałam się, że ma na imię - sawina. Cudując się, a nie całkiem jeszcze myśląc, czułam do niczego innego niepodobny smak - zachwytu.

Działo się to w ogrodzie " dziadzia" Brajera, jak nazywałam uprzejmego staruszka, w którego domu - przy ul. Kazimierzowskiej nr 37 -- odnajmowali moi rodzice mieszkanie i przy którym to mieszkaniu [redacted] był ogród, z ową sawiną i pajęczyną. Mogłam mieć rok drugi albo trzeci najwyżej. Pamiętam dobrze wysokopienne, ciemnoczerwone róże, koło których spotykało się zwykle staruszka gospodarza, odzianego w białe, letnie ubranie i słomkowy kapelusz z krezami. — Róże niedosiężne dla mojego nosa, wąchane [redacted] jednak nieraz dzięki właśnie " dziadziowi" który je ścinał, błyskając wysoko nade mną krzywym nożykiem. Spadały wtedy w trawę i nie wolno było ich tykać, bo kłuły.

Twarzy rodziców z tego okresu nie pamiętam zupełnie. Byli zbyt codzienni i rozumiejący się sami przez się. Róże i krople na pajęczynie to było coś nowego, czego nie widywało się codzień... Przypominam sobie natomiast dwa nasze pieski. Charcik nazywał się Smyk, a mała pinczerka Mucha. Z tą Muchą i pajacem od chrzestnego ojca Rodakowskiego, namalował mnie Tatko na olejnym, owalnym portrecie, który wszakże nie miał być udany. Smyk zaś uwieczniony został na również olejnym widoczku dyniskiego ogrodu, razem ze mną malutką i Mamą. Obrazek ten darowany Leli, jest w Medyce. Mucha miała być nadzwyczaj mądra, ale zadzierzysta i zginęła okropną śmiercią rozdarta przez dwie suki sąsiadów, duże i zazdrosne. Jak przez sen pamiętam tę katastrofę. Smyk - jak to wiem z tradycji - był o tyle szykowny, o ile głupi. i lekkomyślny. Ze względu na cienkość w pasie, nie można go było bić, więc gdy coś zbroił, prawił mu Tatko długie perory, których pies musiał wysłuchiwać pokornie, wijąc się z nudów i upokorzenia. Morały te, wygłaszane umyślnie monotonnym głosem. kruszyły widać psie sumienie, bo pamiętam Smyka, jak wydając nerwowe okrzyki, cofał się coraz [redacted] bliżej ściany, a wreszcie wtykał nos w szparę za kanapę. Pochodził z Dynisk i wywodził ród swój z gniazda chartów, które wydało takie znakomitości, jak Jenny pani Skólimowskiej i piękny i podziwiany przez Grottgera Lelio.

Trzykrotnie,dzieckiem,byłam z rodzicami w Dyniskach.

Pierwszy raz w r. 1874,gdy żyła jeszcze matka Dora, ukochana,macierzyńska przyjaciółka i dobra wróżka maminej młodości. Jej samej nie było wprawdzie w domu,gdyż chora bawiła w Szczawnicy,ale był w Dyniskach pan Julian,jej mąż i jej siostra,Feliksa (z Kłopotowskich I-o voto Tadeuszowa Skólimowska,II-o Maurycowa Brezanyi) z córkami z pierwszego związku Anielcią i Bronią i synkiem Tadziem. Tadzio,wyrostek, strzelał dla mnie wróbelki na pieczyste. Raz zabił wspaniałego orła. Tatko narysował go opartego na fuzji,z pysznym ptakiem u stóp. Mama darowała później ten rysunek jego żonie. Bawili tam przez lato stary pan Paryłowski,major Wojsk Polskich, pan Brezanyi,panna Róża Ziętkiewiczówna,brat jej cioteczny Staś Niewiadomski,panna Żana Drobczyńska...Są to oczywiście wspomnienia z lat następnych,gdyż dopiero podczas trzecich wakacji dyniskich ,w r 1876 - w dwa lata po śmierci pani Izydory - nos mój sięgał z trudem brzega stołu w jadalni.

Ponieważ okna wychodziły na ganek obrosły dzikiem winem, zawsze tu było chłodno i ciemnawo. Zawsze pachniał melon,zawsze syczał samowar,-bodajże wyższy odemnie -,stojący koło drzwi,na marmurowym, w kwiaty wykładanym stoliku. Nad nim wisiał pyszny portret jenerała Gadomskiego,ożenionego z panną Pokutyńską, obraz który po ostatecznej rozsypce Dynisk, znalazł się na Zaświeciu.

Pan Julian, nazywany żartobliwie " panpan" ile że bardzo mocno w domu panował, znajdował się już wówczas w fazie życia zmierzchowej,mniej groźnej niż ją przekazała tradycja.

Bo straszny był to pan ! Gdy młodziutka,bogata przeliczna panna Izydora Kłopotowska, chowana sierotą u babki,po krótkim okresie narzeczeństwa,sztywnego i oszańcowanego ówczesną etykietą o tyle właśnie,aby się dotyczący wcale znać nie mogli -- przyjechała z mężem po ślubie do Dynisk, oznajmił jej pan Julian,że jej nie kocha i nie będzie kochać nigdy,że się z nią ożenił na złość kobiecie,która go nie chciała,odtrąciła i za innego wyszła. Grać komedii nie myśli i rzecz stawia jasno.

Dwór był duży,pusty. W jednym skrzydle mieściły się pokoje młodych państwa,w przeciwległym,przedzielonym amfiladą wielkich,niskich pokojów,salonami,jadalnią i palarnią - garderoba,locum miejscowej, świadomej stosunków, -służby. Pan Julian często i długo przebywał za domem,a młoda kobieta, przymierająca po strasznym wyroku,półżywa z dziecinnej trwogi przed samotnością i ciszą,wymyślała sobie wieczorami umyślne preteksty,aby - przebiegłszy pędem ciemne,puste pokoje - wpaść bodaj na chwilę do garderoby i z pokojową zamienić parę słów. A potem znów mężny powrót przez ciemne,

wielkie przestrzenie, popod ciemne, belkowane sufity, samej jednej, wylękłej zarówno przed życiem, jak przed własną rozpaczą.

Rychło - malgé tout - zaniosło się na przybytek. Urodziło się z czasem dwóch synów Władysław i Józef, najmłodszym, ostatnim dzieckiem była Zosia.. Pan Julian tymczasem, ongiś świetny porucznik Wojsk Polskich z 31 r, kawaler Krzyża Virtuti Military - acz wysoko ukształcony i pełny - do gości! - poloru, zapadał powoli w nałóg haniebny i - o ile nie gnębił w stanie trzeźwym otoczenia - stawał się na całe godziny martwą naturą, którą jedynie lokaj-zausznik zawiadował. Pani Dora natomiast, z równowagą zupełnej świętej, oddała się dzieciom, gospodarstwu i pogłębianiu bardzo niezwykłego umysłu. Potrafiła z czasem, mimo własnej i jakże przewlekłej, życiowej klęski, uczynić zatruty od korzenia dom przybytkiem błogim dla innych, których kochała, garnęła, tuliła.. Jej też zawdzięczają oboje - Mama i Grottger - najlepsze tygodnie życia. Nazwisko jej, wspominane zawsze z uniesieniem wdzięcznej adoracji, jawi się w jego listach do Mamy - nazwisko, któremu po latach, danym mi było położyć epitafium w medyckim wydaniu tej korespondencji.

Pani Skólimowska umarła o tyle zapóźno, że dożyła świadomości odziedziczonego przez starszego syna ojcowskiego nałogu i o nieuleczalnej chorobie płuc jedynej, ukochanej córki -- o tyle dość wcześnie, że nie dowiedziała się nigdy o zagładzie Dynisk, własną wyłącznie pracą ratowanych latami, - ani o tym, że wskutek nieprzytomnej gospodarki spadkobierców szło niejedno cudne drzewo z parku na opał - aż w końcu główny wierzyciel, żyd Reiss, sprowadził się - jako właściciel - do dworu.

Mama kochała matkę Dorę może bardziej nawet niż własne "matki", jak nazywała babcię i siostrę jej, ciocię Terenię. Wdzięczna jej była całe życie i do końca wspominała jej rozum przenikliwy a słodki, jej nieporównaną wytworność i hart. Pamiątki po tej jedynej, ukochanej przyjaciółce nie opuszczały Mamy do ostatka. Wszakże to matka Dora przywiozła z dyniskiej oranżerii mirt do Mamy ślubnego wianka, a włosy jej, wraz z włosami Grottgera, włożyłam - wedle zlecenia - do Maminej trumny.

Takie tedy były dzieje "pana pana", Matki Dory i Dynisk. Ale wtedy - malutka - nie czułam żadnej grozy. Owszem, lubiłam tego słusznego, starszego pana, którego wielkie chustki do nosa pachniały zawsze czymś prześlicznym i który nieraz brał mnie ze sobą na przechadzkę po pokojach, w których zresztą nie miałam racji bytu i które dlatego właśnie bardzo mnie zaciekawiały. Stały tam piękne, ciemne meble o połyskujących jak złote ozdobach, jakich na naszych domowych sprzętach nie było, wisiały piękne obrazy, wszędzie moc świeżych kwiatów i złoconych książek. Osobliwie zachwycała mnie haftowana

ścianka w drewnianej ramie, ekran stojący przed piecem,na którym jakaś cierpliwa,radzinna nieboszczka wyścibała bukiet niebywałych kwiatów,- bajecznych róż,wielkości mojej własnej twarzy. Jedną z nich wielbiłam i kochałem namiętnie...Była żółta i miała poziomkowe cienie. Obok niej widniał błękitny kielich powoju,o skręconym zalotnie wąsie.

Głównie żyłam wtedy oczami. Mam dotąd w pamięci zatrzęsienie jakby kolorowych klisz z tego czasu,ostrych i nie pełznących z latami...Wnętrze powoju zerwanego przez Mamę w pobliżu oranżerii, gdzieś koło zielono malowanej ławki, - amarantowe brzegami,a na dnie kieliszka pełne jakby światła,które się może wylać za przechyleniem... Szarą siatkę na melonie, czarno aksamitną ciemność sadzawki,z której Daćko, ogrodnik czerpał wodę do podlewania grządek, ogromne kaczki z pierzastymi czapeczkami na głowach, biały, zawiły deseń na granatowej spodnicy babiny,która była moją nianią w Dyniskach...

W roku 1876,przed wyjazdem naszym na trzecie dyniskie wakacje, umarła we Lwowie moja młodsza siostrzyczka,Wandzia,nazywana Sroczkę,a przezmnie Joczką. Nie zajmowałam się nią wcale,gdy żyła. Raz przypominam ją sobie jak siedziała na foteliku mojej ~~xxxxx~~ lalki,Karolci (jedno i drugie zabawki od H.Rodakowskiego z Paryża) Była już bardzo chora,pewno miała gorączkę i było koło niej jakieś zamieszanie nie zwyczajne... Zastanowiły mnie wtedy silne kolory na małej buzi i ogromność błyszczących,ciemnoniebieskich oczu. Interesowało mnie,że już się mieści w ten fotelik i jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro podobałam się sobie,ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności.Poprostu jak się widzi,że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni,drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.

Dobrze i uważnie przyjrzałam się dopiero Joczce gdy umarła. Nic - ale to haniebnie nic nie pamiętam szczegółów,którę tę śmierć maleńką poprzedziły. Zaczęłam spostrzegać inny wygląd domu i domowych dopiero w jakimś momencie,kiedy mnie Mama poprowadziła do zaciemnionego pokoju,w którym paliły się wysoko postawione świece..

Podniesiona przez Mamę zobaczyłam malutką niebiesko ubraną dziewczynkę. Była zupełnie biała na buzi,oczka jej były zamknięte, rączki o zaplecionych paluszkach,leżały nieruchome, cała była zasypana gałązkami geranium. Dziewczynka ta miała być naszą umarłą Joczką. Wydała mi się czymś całkiem innym, komu się wydarzyło coś niezmiernie osobliwego. Byłam onieśmielona jej widokiem,ale nic a nic smutna... Parę miesięcy wcześniej widziałam już zresztą kogoś kto umarł i leżał między świecami w trumnie. Był to Goszczyński. Myliło mnie też czyjeś zasłyszane powiedzenie,że Joczka jest teraz

aniołkiem,co mi się wydawało bardzo dla niej korzystnym a zaszczytnym dla nas... Tylko Mamy płacz martwił mnie i dziwił. Wydała mi się także jakby mniej znajoma, z obcym wyrazem twarzy, którego nie pojmowałam. Jakże nierównocześnie wysuwa życie szufladki człowieczych pojęć ! Stworzenie, które umiało już widzieć obrazy, czuć urodę natury i ludzkich twarzy, było zupełnie tępe nie tylko na śmierć ale na smutek najbliższych. Gorzej...bo gdym następnie w Dyniskach zobaczyła nad łóżkiem Mamy przywiezioną ze Lwowa fotografię Joczki w trumience, oprawną w modry aksamit i owiniętą krepą przed muchami - uczułam szkaradne ściśnięcie serca o to, że widocznie nie ja tylko mam do Mamy prawo, i że mojej fotografii wcale ze sobą na lato nie wzięła... Doskonale pamiętam ucisk i niesmak zazdrości. Było to tym głupsze, że rysunek Tatka, przedstawiający Bolcia, mojego starszego o rok braciszka, także w trumience, wiszący od lat w lwowskiej sypialni rodziców, niczym mi nie dolegał.

W kalendarzu z r.1876, pod datą 2.lipca, zapisał Tatko :

" Dziś, popołudniu, o 6-tej wieczór, odbył się pobrzeb naszego Aniołka. Chociaż deszcz padał, zgromadzili się dość licznie nasi najlepsi przyjaciele. Cudnie wyglądała dziecina, ułożona jakby śpiąca, ustrojona w błękitną sukienkę, którą właśnie tydzień przed śmiercią, chrzestne matki Skólimowskie na imieniny jej zrobiły. Stół na którym leżała, obstawiony wszystkimi kwiatami matki i wszystko to matka sama ułożyła. Trumienka była z białej blachy, srebrna. Wieko przyłożyłem sam i z Henrykiem Rodakowskim wynieśliśmy trumienkę do powozu. Powiezli ją na kolanach: Panny Skólomowskie, Józef Żuliński i Stefan Grzywiński. Pochowana obok prababki swojej a babki Wandzi. Przy tej sposobności doznaliśmy wiele dowodów przyjaźni. Maryla przy całym tym wypadku zachowywała się dość dziecinnie i tylko smutek matki robił na niej wielkie wrażenie. "

A zaraz poniżej, pod datą 16 lipca, krótki zapisek :

" Wyjechaliśmy do Dynisk na usilne zaproszenie pana Juliana Skólimowskiego. "

Bywała w Dyniskach często muzyka. Grywał -o ile nadjechałpan Władysław, starszy syn domu (uczeń ongiś Liszta) którego przypominają mi zawsze wizerunki Jana Kazimierza - grał Staś Niewiadomski ,panna Róża i Mama śpiewały.

Głos Mamy dogadzał mi jak najpiękniejszy zapach, jak jakaś najśliczniejsza rzecz widziana. Sam dźwięk urzekał mnie, jak gwizdanie urzeka jaszczurkę, bo ani słowa ani kompozycja nie były jeszcze dla mnie zrozumiałe. Umiałam siedzieć cicho i nie ruszać się a gdy były przerwy, czekać na jeszcze. Akompaniował zwykle Staś. Miał wtedy może lat szesnaście, może trochę więcej...Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie.. Ubrany chadzał ówczes=

ną modą letnią prawie zawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmująco piękny, podobny do różnych " głównych " twarzy na obrazach i to podobieństwo kłopotało mnie w jego obecności, w sposób przyjemnawo przykry. Lubiłam kiedy grał przypatrywać się jego podniesionej głowie, której rysy niepokoiły mnie i pociągały dziwnie. Raz - pamiętam - narwałam garść stokrótek - same główki bez ogonków tak po dziecinnemu - i nasypałam tę skubankę na klawisze, aby go uczcić. Nie domyślił się jednak owacji i bez ceremonii strzepnął wszystkie pod fortepian.

W Magdalence, koło Dynisk, mieszkał i gospodarował, jeszcze wówczas nie żonaty, młodszy syn PP. Skólimowskich, Józef. Ponieważ bawili w Dyniskach przeważnie krewni lub sami bardzo bliscy, a wszyscy ogromnie go szanowali i kochali, mówiło się o nim poprostu : Józio. Czułam ten ogólny szacunek nawet w moich trzechletnich nizinach.

Zostałam raz wzięta na Magdalenkę dokąd się pojechało po wiejsku, wozami. Niezmiernie podobała mi się trzęsąca jazda w słońcu, obłoki pyłu, konie nie zasłonięte wysokim kozłem -a potem cała wizyta u Józia. Gdy uszczęśliwiona z ciepłej, gwałtownej ulewy, pławiłam się radośnie w lejących strumieniach deszczu, nie mogłam pojąć dlaczego starsi tacy temu nie radzi. Przebierano się potem w jakieś odzieże płócienno- piekarniane, gdyż damskiej, pod kawalerskim dachem nie było. Przy podwieczorku Żana, z nabożnym naciskiem pokazała mi zniekształconą prawą rękę Józia, mówiąc cicho, że gdy się bił za Polskę w powstaniu, Moskale przerąbali mu te dwa palce. Była to pierwsza wiadomość tej powagi o kimś znajomym i pierwsze takie wrażenie, które zapamiętałam mocno. Nigdy dotąd nie zdołałam patrzeć na Józia inaczej, jak z myślą, że się bił za Polskę i że mu za to Moskale palce porąbali. Rozmiar jego znaczenia stał się odtąd w moich oczach dwa razy naturalnej wielkości.

W Dyniskach Tatko zawsze dużo rysował, czemu we Lwowie - tylko że to było w jego osobnym pokoju, lub wysoko przy stole, - trudniej mi było asystować. Tu odbywało się to najczęściej na dworze, na ganku, lub w ogrodzie. Rysował Tatko baby z piekarni, Daćka ogrodnika, spędzającego życie pośród kwiatów i jarzyn, z zazdrości godny sposób spoufalonego z lasem kukurudzy, za którą przepadałam. Stawałam cicho przy Tatkowym łokciu i widok spiczastego ołówka, z pod którego sypały się szybkie, szare kreski, potrzebne wszystkie aby baba była podobna i taka sama, jak żywa siedząca przed nami - przejmował mnie nabożnym uszanowaniem dla Tatkowych palców i zagarniał nawet babę w obręb jakiegoś czarodziejstwa. Puszyło się coś we mnie, że Tatko tak umie, alem go jeszcze samego wcale nie znała, choć czułam, że mnie kocha. Trzy lata to jest jednak wiek bardzo mizerny...

Niebawem wyprowadziliśmy się od " dziadzia" Brajera, którego o=
grody i domy zniknąć miały z czasem bez śladu pod kamienicami ulicy
Brajerowskiej - i zamieszkali przy ul. Sykstuskiej pod Nr. 33.
Mieszkanie to miało długi ganek od podwórza i okna wschodnich poko=
jów wychodzące na jakieś niskie oficyny, ponad którymi widać było
czuby drzew w ogrodzie Potockich. Dalekie - ale zawsze drzewa, a nad
nimi dużo nieba... Strasznie lubiłam te okna. W zimie wymarzały
w najwspanialsze bodiaki lub różane pręty i oglądane poprzez nie
gromady kawek, latających nad dalekimi drzewami, były moim codziennym
zimowym teatrem. W tym samym domu mieszkała pani Fela Brezanowa,
siostra Matki Dory, z córkami Anielką i Bronią, do których nieraz cha=
dzałam w odwiedziny. Pamiętam wnętrze mahoniowych szkatułek, w których
wolno mi było grzebać, zapach tych skrzynek, dotyk jedwabnych motków
o delikatnych kolorach i kryształy na tualecie pani Feli.

Nie uczyłam się oczywiście jeszcze wcale, prócz liter w za=
bawie z Mamą, alem rysowała zapalczywie na wszystkim co się nadarzy=
ło. Bodaj-że już wtedy także pewien lekki haczyk z pieca, dał mi poz=
nać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem " kręcidła", zaczaro=
wanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawą rękę, gramoliłam się
na jakiś podnóżek lub paczkę, (krzesło było na ten cel za wysokie a
na podłodze szło gorzej...) i zaczynało mi się myśleć. Myśleć tak
płynnie, jak leci woda pod kurka, a co najdziwniejsze prawie bez
udziału mojej woli, jakby coś myślało mną - nie jakbym ja coś wymyśli=
wała. Stałam jakby pod jakimś płynącym strumieniem, sama ciekawa
co naniesie.

Zaczęło się to - jak moc o wiele ważniejszych odkryć -
przypadkiem. Ścisnąwszy mocno w prawej ręce zakrzywiony haczyk, od=
czuwałam dorażnie jakby napływ czegoś z poza mnie i równocześnie
myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen, zrazu oderwanych, jak
obrazki, potem spojonych konsekwentnie w długie opowieś=
ci. Z początku nie umiałam tego tak analizować jak dziś, dość mi
było świadomości, że ścisnąwszy haczyk w garści, wpatrzywszy się przy
tym w jego zakrzywiony koniec, naopowiadam sobie różności, o których
mi się przed momentem nie śniło ... Trzeba tylko było wykonać mocno
ściśniętym haczykiem ruch w powietrzu, jakgdyby się je wierciło i to
w tym kierunku, jak kluczem w otwieranym zamku. O swobodzie i obfitoś=
ci z jaką mi się wymyślały i sypały słowa w takich transach, nikomu
nie mogę dać pojęcia.

Zrazu zdawało mi się, że każdy tak potrafi i wcale się z moim
obrzędem nie kryłam. Stawałam całkiem jawnie na podnóżku i z haczy=
kiem w ręce, wyplatałam głośno niestworzone historie. Mama protegowa=
ła to dziwadło, Tatko bał się go trochę, sługi się

[redacted] wyśmiewały i jedynie Adaś, brat mój wystąpił z czasem jako zdecydowany przeciwnik " Kręcidła". Nie było w tym głębszych przyczyn nad pospolity braterski program robienia na złość. Na razie, w mem opowiadaniu Adaś ma się dopiero urodzić.

W jesieni 1877 wzięli mnie ze sobą rodzice pierwszy raz do Krakowa. Miałam piąty rok, umiałam nazwać już wielu królów polskich, z obrazu Cynka znałam królowę Jadwigę, która kochała Wilhelma... Wiedziałam że to on leży na obrazie, w rozpaczy u jej stóp. Umiałam krakowiaczka o Wandzie, co nie chciała Niemca, posiadałam książkę o Panu Twardowskim, w której był śliczny obrazek, jak to czarodziej jedzie karetą po krakowskim rynku i tłucze żonie garnki - słowem zupełnie dość, aby stworzenie tak rozbudzone i egzaltowane wprawić w szał radości, gdym do Krakowa dojeżdżała. Naturalnie że i na Kopiec Kościuszki byłam przygotowana ! Gdy mi Mama pokazała Krzemionki, wiedziałam już, że się tam Twardowski z diabłem zmawiał, nie miałam wątpliwości, kto był dziś największym [redacted] polskim malarzem -- znałam jego fotografię, na której napisał własnoręcznie : Karolowi Młodnickiemu, przyjacielowi od serca - Jan Matejko ". Tego Matejkę żywego miałam także zobaczyć.

Wujowstwa Korczyńskich nie znałam jeszcze, ale wiedziałam od Mamy jacy są kochali i jaka ciocia piękna. Istotnie ciocia była wspaniała, jednak dla moich krótkowzrocznych oczu jej biała, poważna twarz była o wiele za wysoko... Mama miała wzrost bardzo okazały, ale była niższa od cioci Edziowej. Wuj za to, znakomity lekarz i profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu, od razu przypadł mi do serca. Brał mnie na ręce, nosił i miałam tuż przed sobą jego śmiejące oczy, zielonkowate, w ciemnej oprawie, jak oczy Dziodzi. mówił głosem który się musiało lubieć i czułam, że się mną naprawdę cieszy. Bardzo, bardzo pokochałam z czasem moich wujostwa. Narazie byłam jak półprzytomna, podniecona nowością wszystkiego co -(..brzmieć to musi komuś nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą uczciwą..) przepełniało już wtedy odrobinę mego serca w sposób dziwnie gwałtowny. Polscy królowie, Wisła, Twardowski i Matejko, którego miałam zobaczyć! Był we mnie zawsze głód piękna wzniosłości, głód zachwytu, ekscytowany pewno i otoczeniem dorosłych, [redacted] entuzjastów - i dziwacznym nałogiem, który przyśpieszał rozwój moich pojęć w sposób anormalny. Kręcidło!

Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki całą ścianę nawprost wejścia zapełniało olbrzymie płótno " Grunwaldu". Przed nim stało coś, jak przeźroczysta ambona z galeryjką i schodkami. Matejko witał się z rodzicami, potem wziął mnie [redacted] na ręce i ucałował.

- No cóż tam widzisz? - zagadnął obracając mnie ku obrazowi

- Nic nie widzę... Same kolory...

- A ludzi nie widzisz ? - dziwił się.

- Nie.

- Jak to może być?! Musisz zobaczyć...- i wyniósł mnie po schodkach na ambonę,czyli podium,na którym stojąc malował wyższe partie obrazu. - Teraz lepiej? Widzisz już ?

Zobaczyłam teraz za dużo. Ogromne,wytrzeszczone oczyma,brodate twarze,zawieruchę ludzi,koni,wszystko zabliskie,za wielkie...

- Tak. Teraz widzę...- przyznałam ale musiał dostrzec że mi nieswojo,bo mnie xxx zniósł po schodkach i poprowadził brzegiem wzdłuż obrazu.

- Popatrz ! - mówił - Wszyscy na górze to Polacy,a ci na dole to Niemcy. Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

- Ten biedny Niemiec... - powiedziałam, wskazując Lichtensteina. Błębitno biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza,zachwyciła mnie.

- A bój-że się Boga, Niemiec ! " - zgorszył się Matejko,a potem dodał żartem : Otóż to ! Znowu gust niewieści! Nie godzi się z polityką..."

Całę tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym kalendarzu,ale i mnie samej wrażenie i słowa - prócz ostatniej refleksji o kobiecym guście,utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego z dn. 17-10 r.1886,wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej,ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk : A bój-że się Boga -Niemiec !".

.., Wrócił mi on wspomnieniem po latach,na rozstajnej drodze życia,wobec dziwnie podobnej,zwichrzonej,złotej czupryny Niemczyka... Mój Lichtenstein nazywał się inaczej,ale przegrał tak samo.

Nauczona przez Mamę odchodząc, pocałowałam Matejkę w rękę.Znowu mnie podniósł i uściskał,a potem stawiając na ziemi,odgarnął mi grzywkę i musnął palcem po czole. Pierwszy to raz nakreślił mi krzyżyk,co czynił potem zawsze ilekroć później odwiedzałyśmy go z Mamą w pracowni,albo gościli u nas we Lwowie. Zawsze wracało mi w jego obecności poczucie,że to są właśnie te momenty,dla których żyć warto,że po takim krzyżyku muśniętym ręką Matejki na czole, człowiek sam jest jakby wyświęcony,czy pasowany na lepszego,sam sobie więcej odtąd wart i winien...Ale wtedy,byłam jeszcze za mała aby to tak wyrazić,czułam jednak wielkie podniecenie i napuszenie myślą,żem poznała sławnego Matejkę.

Pobyt ów wszakże krakowski nie z samymi zaszczytami dla mnie się łączy. Niestety - nie piękne rzeczy wyznać mi trzeba !

W Krakowie bawili wówczas tylko obaj wujowie -Edward i Adolf - oraz dziadziowie Korczyńscy. Ciocia z Edziem byli w Kobierzynie na letnisku. Byliśmy tam także,aby ich zobaczyć. Edzio chodził jeszcze w sukience jak dziewczynka,był bladawy,bardzo ładny,ale mało mówił

i.nie był wcale mną przejęty.

Raz,podczas naszego pobytu w Krakowie,przyjechała ciocia z E=dziem i byliśmy na obiedzie u Dziadziów. Przyszłam do stołu w złym humorze,a skwasiłam się jeszcze bardziej,widząc,że Edzio dostał dzie=cinne,wygodne krzesełko,ja zaś siedzieć miałam na zwykłym,wypiętrzo=nym poduszkami i albumami. Buntując się i wiercąc,bardzo trudno było na tym usiedzieć.

Mimo moich egzaltacji i estetycznych uniesień,byłam bardzo ła=koma. Podano pieczeń. Zobaczyłam,że Babcia położyła Edziowi na tale=rzu kawałeczek nerki. Resztę wzięli inni...I jego obojętność dla mnie i niewygodne krzesło i jawna krzywda z nerką (w domu ja zawsze dos=tawałam połowę...) dopełniły miary mego rozżalenia.Postanowiłam,że pójdę i nie wrócę. Odczekałam przezornie legominy,a potem,gdy się przy wstawaniu zrobiło zamieszanie,wzięłam z przedpokoju moją nową parasolkę w bukieciki bratków z liliowymi frendzelkami, obróciłam bez trudu klucz w drzwiach i pędem,bez kapelusza,zleciałam schodami ku bramie.

Szłam ulicami,pełna głuchej zemsty i zadowolenia ze siebie. Był ciepły,letni dzień i niczyjej uwagi nie zwróciła dziewczynka idą=ca z niewinną miną wprost niedużego nosa. Pamiętam - naprawdę pamię=tam ! - jak się napawałam satysfakcją,jak doskonale wiedziałam,co bę=dzie za popłoch ,gdy mój brak spostrzegą...Stawałam na palcach przed sklepowymi wystawami, słońce świeciło, zasłaniałam się parasolką,lu=dzie mnie mijali... Nie wiem jak długo to trwało...Tymczasem Tatko, Wuj, malarz Cynk,obecny także na tym obiedzie - wszyscy rozpierzchli się po ulicach...Wreszcie, gdym stała przed wystawą i [redacted] przeglądałam się w pękatym brzuchu mosiężnego samowara - złapał mnie ktoś pod pachy i porwał w powietrze...To Cynk poczciwy,ten sam który malował Wilhelma u stóp Jadwigi, dopadł mnie pierwszy i bojąc się zdrady,porwał na ręce i nie puszczał. Zła byłam jak furia,miłam ochotę wąsy mu oberwać, krzyczeć na całe miasto - ale ambicja mnie wstrzymywała. W milczeniu dałam się nieść razem z otwartą parasolką w bratki...

Nikt nie dowiedział się o powodzie mej ucieczki. Nie było zwy=czaju dawania mi w skórę. Wuj i Mama wymyślili inny genialny sposób. Odtąd zawsze,w dość częstych napadach złości,dostawałam zimny kompres na żołądek, oznajmiano mi,że jestem bardzo chora i kładziono do łóż=ka. Czasem dopiero nazajutrz wolno mi było wstać. To działało świetnie Okład,przymusowa kontemplacja, groza choroby - wszystko to kruszyło moje sumienie i miękłam na czas dłuższy.

Dziadziów Korczyńskich wspominam jak niewyraźne miłe sny.Babcia - siostra mojej rodzonej - oraz cioci Tereni i Celiny w Czerniowcach,

zwana ciocią Lizią, bardzo mi pono sprzyjała, a dziadzio łączy mi się z pierwszym pojęciem o skrzypcach. Grał pono pięknie i Mama bardzo go kochała.

Prócz nich [redacted] mieszkał też w Krakowie drugi syn Dziadziów, Adolf, adwokat. Odwiedziliśmy go. Był nieżonaty, miał duże mieszkanie z którego zapamiętałam czarne rzeźbione meble, obite błękitnym jedwabiem i szereg szaf oszklonych z książkami. Na brzegu jednej z półek, za szkłem, leżało kilka czerwonych kamieni. Powiedziała mi Mama, że przywiezione są z Ziemi Swiętej i bardzo możliwe, że któregoś z nich dotknęła stopa Pana Jezusa. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później jakaś [redacted] religijna czy historyczna relikwia, wywarły na mnie wrażenie równie wstrząsające, jak tych kilka kamyków po owych maminych słowach. Wcześnie byłam obznajomiona z Boskimi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam, że Pana Jezusa, ani nikogo z nieba, nie można zobaczyć. Połową duszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć - drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę.

Robiliśmy wtedy z Wujem, ciocią i Cynkiem wiele okolicznych wycieczek. Do Skał Panieńskich, Mogiły Wandy, Łobzowa... Mnie najżywiej utkwiło w pamięci jedno popołudnie w Krzeszowicach, gdzieśmy zwiedzali park Potockich i gdzie mnie olśnił wodotrysk i rozmarzyły prawdziwe, pływające po stawie łabędzie. Zostało mi też stamtąd wspomnienie pajdy chleba z masłem i miodem, którą - wysuwającą się z niezgrabnych rąk - przycisnęłam z całej siły do serca ! Los zdarzył, że miałam wtedy na sobie ładną, błękitną sukienkę, obszytą falbaneczkami ze strzępionego jedwabiu...Biedna Mama !

Na Wawelu, na moją bajczarską fantazję, podziałały najsilniej kości mamucie u drzwi do Katedry. Groby królewskie to był dla mnie tylko kamień. to zaś były smocze kości! Nikt nie miał serca odebrać mi wiary, że smocze. Mama zwłaszcza miała cudowną tolerancję dla potrzeb mej wyobraźni i jej własna „Lust zum fabulieren" towarzyszyła mi na wszelkich odkrywczych wędrówkach po lasach i dziuplach, które zaludniałyśmy krasnoludkami i innym dziwem dowoli. Nie było to może pedagogiczne, ale niezapomnianie cudowne ! Nigdy zresztą nie spowodowało żadnej pomyłki w rozeznawaniu dwu światów.

Na Boże Narodzenie tego samego roku przyjechała do nas Babcia z Czerniowiec, gdzie u starszej siostry, Augustowej Schally, zwykła była przebywać miesiącami.

Przyjazd jej był dla mnie ważnym wypadkiem i ogromnie barwną porcją wrażeń. Pamiętam rozpakowywanie walizek. Kolorowa inność nieznanego świata zachwyciła moje oczy, gdym ujrzała przepysznie haftowane

szlaki na bukowińskich ręcznikach z tak zwanego czynowatego płótna, lnianych, które w domu Ciotki Celiny przędła i tkała jej mamka, staruszka Katarzyna...Potem rumuńskie jedwabne chustki na głowę, kraciate, błyszczące " testemele" a wreszcie pierwszy oglądany z bliska kilimek, w słomiano żółte płomyki na dnie malinowym i modrym. Klejnot nie kilimek ! Zjadły go mole dopiero na kawalerskiej kwaterze Adasia.

Ogromnie mi się udała Babcia! Przyjechały też słoje pigwowej galarety, barwy jasnego karniolu, w której czerwieni bielały z rzadka ziarnka laskowych orzechów, - różany sorbet i chałwa w drewnianej puszce, coś tłustego i słodkiego, co wcale nie było dobre, ale jawiło się zbyt blisko kilimka i jedwabnych [redacted] " testemeli" aby tym gardzić...

Babcia bywa zwykle siwa i pomarszczona...Moja była dziwnie śliczna, choć niemłoda. Pamiętam ją czeszącą się...Widzę strumień włosów czarno granatowych, sięgających niżej kolan. Nie mogła inaczej dopleść warkocza do końca, jak tylko okręcając go sobie wokół pasa, tak był długi. Rysy jej - zawsze i później - wydawały mi się zbyt paradne na codzień. Oczy miała wielkie, granatowe, jak Joczka, smutne mimo uśmiechu, o ciężkich, długorzęsych powiekach.

W samą wilię tego roku urodził się Adaś.

Z osób bywających u nas lubiałam panią Eustachową Jezierską, a zwłaszcza jej córkę Walę. Wesoła była, miała ładne czarne oczy i okazywała wielkie zainteresowanie moim " kręcidłem". Już w tym czasie je zauważyła kiedy mi się jeszcze ani śniło o haczku, tylko zaciskałam piąstki a zwłaszcza prawą w kułak, wiercąc nim powietrze. Nauczyła się robić podobnie, ku mojej wielkiej uciesze i zdaleka już gdy wchodziła, widziałam jej podniesione pięści, robiące znajome półobroty i jej ładne, czarne, roześmiane oczy... Gdyśmy się po dziesiątkach lat znowu zobaczyły, przypomniała mi moje dziecinne, zaciśnięte kułaczki, wiercące dziury w powietrzu. Wyszła za Bolesława Eulenfelda, zacnego Polaka i autora patriotycznych sztuk popularnych, grywanych jeszcze zawsze. Sama [redacted] także pisała wiele dla scenek.

Z rodziny mieszkali we Lwowie jedynie Wujostwo Pawłowscy. Bardzo lubiłam tę Tatkową siostrę, ciocię Milę i jej męża. Ciocia była elegancka i zabawna, wuj Antoni urodziwy i miły. Dom ich podobał mi się bardziej od naszego, więcej w nim było roślin i kolorów. Ciotka umiała zawsze, choćby na chwilowym popasie, urządzić się przytulnie i ozdobnie. Bukiet, [redacted] ładna, barwna szmatka, jakiś ciekawy czerep, książki -- w momencie musiało być koło niej ładnie. Długo żadne nakrycie stołu nie mogło się dla mnie równać elegancją z tym,

jakie oglądałam podczas imieninowych czy świątecznych przyjęć u wujostwa Pawłowskich. Obrus był zarzucony zielenią paprotki, rosnącej całą chmurą w ogromnym wazonie na postumencie w salonie, delikatnej, jak śniegowe ~~[illegible]~~ gwiazdeczki. Na obrusie talerze niebieskie, pozłacane, na dnie każdego malowana gałązka jaśminu. Koszyki porcelanowe, o pozaplatanych, złoconych rączkach, etażerki z purpurowego kryształu, na których winogrona (św. Emilia w listopadzie!) zmieniały się w klejnoty z bajki. Herbata podawana była po staroświecku, w szklankach a każda szklanka siedziała w srebrnym koszyczku z rączką.

Sypialny pokój wujostwa potrafiłabym namalować jeszcze dziś. Na łóżkach amarantowe kapy w ogromne czarne kwadraty z chwastami na rogach, kanapka i fotele półokrągłe z jasnego drzewa, obite materią w duże piwonie różowe, tualeta na słupkach ze zwierciadłem poprzecznym i róg obfitości wiszący na jednym ze słupków, atłasowy, pełen aksamitnych brzoskwiń i jedwabnych śliwek. Do tych owoców przyszpilała ciocia czasem wycięte z gazety wiersze. Nauczone na pamięć szły potem papiloty. Ciotka bowiem miała sentymentalne gusta i nieraz widziałam ją płaczącą na czułych sztukach. Nie przeszkadzało jej to tańczyć do starości niemal szalenie i świetnie.

W domu wujostwa była też jedna półka, na której stały wylepione kunsztownie z tektury i kolorowego papieru kościółek i forteca. Nie prędko pozwolono mi wziąć do ręki te budynki. Wykonane zostały przez wuja Antoniego, gdy po powstaniu długo odsiadywał ciężkie, austryjackie więzienie. Odnosiłam się do nich podobnie, jak do kalekiej ręki Józia Skólirowskiego. Czuło się, że w wesołym mieszkaniu, obok świergotliwych kanarków i mnóstwa zielonych roślin, znajdują się i te przedmioty posępne i uroczyste.

Wujostwo nie mieli dzieci, ale dom ich był często gwarny, bo zjeżdżała tu ze wsi druga siostra Tatka, ciotka Aniela, jej mąż Walery Maryański i ich chłopcy.

Rzadziej jawił się stryj Edmund Młodnicki z Czerniowiec, najstarszy z rodzeństwa. Skromny, ujmujący dobrocią człowiek, którego główną pasję życia stanowiła muzyka i gołębie... Że zaś miał dzieci w gołębiej ilości, zawsze zaturbowany o któreś i sklopotany do śmierci. Z Ojcem moim nigdy nie był nadto blisko, ale zawsze na "św. Karola" 4-go listopada i na "św. Edmund" nieco później, posyłali sobie dość jednotonne listy z życzeniami i wieściami. Rozeszli się w bardzo młodych latach, a potem łączyły ich już tylko wspomnienia rodzinnego domu. Stryj Edmund na skutek okoliczności, stanął dawno w duchowym rozwoju i z bratem, który do ostatniego tchu pogłębiał się, wysubtelniał i kształcił -nie wiele miał do mówienia. Stryj, gwoli muzyki i gołębi

~~xxx~~

wycinki z gazet. Odczytane kilka razy są, potem na

nie skończył prawniczych studiów, ożenił się przedwcześnie i mocno niedbale, z osobą dobrą ale prostą, [redacted]. Zawsze była między nimi a nami źle zrozumiana odległość, której niepodobna im było bez zadzierki wytłumaczyć, ani też przekonać kiedykolwiek, że to przecie nic innego tylko - inność. Co innego z ciotkami. Te były nam zawsze obie najserdeczniej bliskie choć mało co od stryjostwa Edmundów zasobniejsze. Mama i stryj odnosili się do siebie bardzo przychylnie, śpiewali sobie duety Mendelsohna, Schumanna, mama na fortepianie, stryj na skrzypcach, grali wyciągi z dawnych oper, lub sonat Mozarta - ale mówili sobie "pan" i "pani" jak znajomi. Stryj miał ładny, tenorowy głos i grał na skrzypcach doskonale. Siostry obie kochały go bardzo za jego słodycz i przebaczały mu słabą wolę, której skutki sporo zgryzot kosztowały rodziców. Był to człowiek nie zdolny do brania życia na serio, mimo kłopotów dożywotnich, - wieczysty młodzieniec, artysta-cygan, któremu wszystko co go oddalało od gołębi i skrzypiec, zdawało się niecierpliwiącą zawadą. Przychodził zawsze z kieszeniami pełnymi przysmaków dla nas i wycinków z recenzjami o czerniowieckich ostatnich koncertach i nie prędko pojęłam, że ma się mu głównie do zarzucenia te niezdane egzaminy - i żonę. Wyglądał do końca życia zdumiewająco młodo. Mając lat 80 nie miał siwego włosa i bujna jego blond czupryna miała ten sam rzut co na odwiecznych portrecikach Tatkowych z mikołajowskich czasów. Na dwa lata przed śmiercią przypomniał sobie jakiś piękny widok z Czarnohory i wybrał się jeszcze na tę wycieczkę. Pamiętam z jakim zachwytem opowiadał o niej i jak mu było żałośnie, że nie zastał już zapamiętanego z młodości starodrzewu po drodze. Umarł gdym już była zamężna i pochowany jest w Szczercu.

Znajomymi, z którymi wówczas żyli rodzice najbliżej, była rodzina państwa Piaseckich. Pani była słuszna, ładna i nosiła krótkie włosy, mąż jej, lekarz, był niski, jak karzełek, miał dużą głowę, nosił włosy długie, po łopatki. Były powstaniec, długoletni, nadaremny wielbiciel cioci Anieli, poza tym hydropata, wegeterianin (przyjaciel znanego ongiś we Lwowie doktora Gromma, przyrodnika i dziwaka) - robił wrażenie istoty z bajki, której się trochę bałam. Rodzina ta żywiła się z zasady przeważnie chlebem, mlekiem i owocami i wyjeżdżała co roku na lato do Zakopanego, miejsca, którego adres równał się wówczas temu, na którym rak gwiżdże. PP Piaseccy mieli tam rozległą posiadłość, nawet kawałek własnego lasu. Z dziećmi ich bardzo się polubiłam. Najstarsza Tyńcia, nazwana po ojcu Wenantyną, była mi, mimo dużej różnicy wieku, całe życie bliska. Młodszy Genio, chłopak noszący taką

samą blond grzywą jak ojciec, zdolny był, pomysłowy, natomiast najmłodsza Zosia, była dzieckiem ociężałym i zamkniętym tak, że się nawet i później mało nadawała do zabaw. Pamiętam jak z Tyńcią Piasecką, o jakieś osiem lat odemnie starszą, odgrywałam scenę zabójstwa Aliny. Balladyną była ona, uzbrojona w ogromny nóż do rozcinania papieru, malinami zaś deseń na stołowej kapie. Do dziś słyszę serce bijące mi pod fartuszkiem, jak duży zegarek, w chwili gdy się do mnie z nożem zbliżała. Cudowna była emocja czuć jak mnie potem niby zakopuje pod kilimkiem, udającym kwietną łąkę i stawia obok fikus z okna, czyli wróżebną wierzbę, która kiedyś wszystko wyśpiewa... Bardzośmy się do śmierci kochały z Tyńcią, moją naprawdę najbliższą przyjaciółką młodości. Ona była moją drużką, ona trzymała Lelę do chrztu. Rodzicom jej zawdzięczam pierwsze poznanie Tatr w r. 1890, w lipcu, gdyśmy tam obie z Mamą, po uroczystościach pogrzebowych Mickiewicza, pojechały z Krakowa.

Domu Maszkowskich nie mogę nazwać domem "znajomych". Byli to przyjaciele rodziców, bliżsi niż niejedni krewni. Młodzież domowa, czyli : Minia, Staś, Lolo i Anielka - byli wszyscy znacznie odemnie starsi, ale jakoś tak się działo, że mi było między nimi "jak u siebie." Po ścianach wisiały bowiem i tam szkice Grottgera -wizerunki koleżeńskie z czasów, gdy Tatko w Monachium kolegował z ich stryjem - Marcelem - tym samym, którego olejny portret grottgerowski -ten profilowy, w konfederatce - wisiał znowuż u nas nad trymodką w salonie. Lolo i Anielka stanowili zawsze, latami, nieodłączne towarzystwo przy wszystkich świątecznych okazjach, których stałym dopełnieniem bywali młodzi Piaseccy. Cioteczne moje rodzeństwo bowiem - Maryańscy - nie prędko przybyli z rodzicami do Lwowa i po latach dopiero, gdy wuj, inspektor skarbkowskich lasów, przeniósł do miasta swe urzędowanie ,otwarły się dla mnie niezapomniane adresy,-najpierw mieszkania przy ul. Zielonej, a potem w Gmachu Skarbkowskiego Teatru. Czasy te godne są osobnego eposu, na który nie wiem, czy mi tchu wystarczy.

Bardzo ważną osobą w mym dzieciństwie był Dr. Stella Sawicki pediatra, pamiętnikarz z czasów powstania (jako Pułkownik Struś zajmował ważne stanowisko w Rządzie Narodowym) człowiek wielkiej zacności i dobroci. Bardzo blisko żył z moim Ojcem, a potem, gdy się rodzice pobrali - przyjaźnił się z naszym domem. Przepadałam za nim i nazywałam go " Stella", tak jak się mówi do kogoś "Staś" czy " Kazio".

Wtedy też kochany ,najpoczciwszy pan Bełza obdarzać mnie już począł najładniejszymi książkami, jakie wychodziły w Polsce dla dzieci. Jemu zawdzięczam nieporównaną z żadną inną książkę "Złotą Różdżkę"

[redacted] " z wierszami Wacława Szymanowskiego i obrazkami doskonałego, niewiadomego mi autora, [redacted] Poematy wstrząsające o " Kasi i kotach", o " Stasiu straszydle"- o " Grzegorzu i parasolu" i "Michasiu, który nie chciał jeść zupy "...poczem " pięć dni chorował, umarł na szósty " [redacted]...umiałam jak pacierz.

Z wydawanego przez pana Bełzę "Towarzysza grzecznych dzieci" czerpałam znów moc pierwszych ważnych powiadomień o polskiej histori i świecie.. Żałosne strzępki " Towarzysza dzieci" wpadły mi w ręce na wielkim rozsypisku domowym, podczas przebudowy Zaświecia, wyczytane do szczętu przez ~~xxxxx~~ drugą generację, sponiewierane wprawdzie i ledwie żywe, ale pełne godności starego pedagoga, który spełnił uczciwie swój obowiązek.

Bywało u nas wiele osób. Niektórzy ze znajomych przychodzili częściej, naprzykład kolega Tatka, malarz, Franciszek Tepa. Przychodził zwykle wieczorem i zawsze zatrzymywali go rodzice na kolację. Od czasu do czasu przynosił mi pakiecik biszkoptów i z tej przyczyny - a także i innych - anektowałam go sobie na wyłączną własność, jak rówieśnika.

Mimo wieku było w nim istotnie coś dziecięcego. To zapewne zbliżało go do mnie, a czyniło mniej ciekawym dla rodziców, choć go lubili bardzo. Dla mnie był w sam raz. Słodki ten, uderzająco piękny, delikatny człowiek dał mojemu dzieciństwu dużo radości i pokazał ścieżki do źródeł, z których zaczerpnęłam więcej, niż mógł był kiedykolwiek przypuścić.

W roku 1853 był p. Franciszek zaproszony przez rodzinę Potockich w podróż do Egiptu. Towarzyszył im jako nadworny malarz i tam też powstały jego najsłoneczniejsze akwarele, tam odnalazł swój " genre" szerszy, śmielszy, od poprzednich miniatur, stamtąd przywiózł w oczach te kolorowe wspomniania, których kształtu i blasku starczyło jeszcze i dla mnie - po latach. Opowiadał mi o Egipcie. Jakże dobrze i wdzięcznie pamiętam te wieczory, gdy za oknami, wymarzłymi w lodowe kwiaty, dzwoniły wzdłuż ulicy Zimorowicza sanneczki, a w pierwszym pokoju syczał żółty, pękaty samowar, ja zaś siedziałam obok pana Franciszka na zielonej sofie pod lustrem i słuchałam. Tatko rysował zwykle przy jasnej lampie, Mama haftowała krzyżykami - ja zaś brnęłam z Tepą w rażącym, miałkim piasku po kostki i byłam coraz bliżej wielkiego Sfinksa...

Dziwnie dobrze, po malarsku opowiadał. Cieszyło go pewno, że go ktoś jeszcze choć tak mały słucha. Zaglądaliśmy razem w twarz obalonemu posągowi Ramzesa w jakiejś arabskiej wioszczynie, dławiło mnie gorąco ciosanego korytarza piramidy, czułam jedwabny powiew

nietoperzych skrzydeł u powały, bolały mnie ramiona od chwytów Araba przewodnika, windującego nas na szczyt... Razem z Tepą siedziałam nakoniec w uchu Ramzesowego kolosa w Abu-Simbel i dzwoniłam nogami nad piaszczystą zboczą, sypiącą się miałkim złotem ku Nilowi. Ale przedewszystkim, razem z panem Franciszkiem, współczującym sercem przyszłego zbieracza, przeżywałam pokusę ułamania pewnej wąskiej, omotanej pasmami płótna rączki dziewczęcej i zabrania jej ze sobą, daleko na północ na pamiętkę, na dowód że się nie śniło...

Kilka razy musiał mi pan Tepa opowiadać, jak to było... Jakieś właśnie rozkopane podziemia, pokazywane za wielką protekcję wielkiemu magnatowi i jego świcie - smukła mumia młodej księżniczki, z którejś zamierzchłej dynastii - cyfra porządkowa obojętna była i Tepie i mnie... Natomiast rączka, zdobna zielonym pierścieniem, wąska, o długich paluszkach, drobna i niepokojąco cienka w kostce, rozpowita już cokolwiek z pasemek - fascynowała nas oboje..." Tylko nieco przy[redacted] zostać w tyle, gdy wszyscy pójdą przodem ku wyjściu..." Myślę że dziś bym już tego nie odczuła, ale wtedy każdym razem oddychałam z rozkoszną ulgą, gdy przychodził moment w opowieści, kiedy pod palcami malarza chrupnęło coś, jak sucha [redacted] gałęź. Potem jeszcze chwila emocji, gdy pasma lniane nie chciały puścić łupu i trzeba je było po ciemku, szybko, przeciąć scyzorykiem...

Rączka egipskiej księżniczki, znajoma mi dobrze z ubogiej pracowni - lodowni raczej! - pana Franciszka (wchodziło się tam wprost z bramy, po paru schodkach, w drzwi lewe na parterze, przy ul. Sykstuskiej) leży teraz w gablocie zbiorów Ossolineum i każdy ją może oglądać, razem z zielonym pierścieniem i mumią kota obok.

Nieraz też powtarzać musiał pan Tepa swą niefortunną przygodę z hrabią i krokodylem. Kąpali się razem w Nilu z Potockim i ponieważ Arabowie napomykali, że w tym miejscu, u skalistego wybrzeża Koroska, nie trudno o krokodyla, przyszedł malarzykowi niemądry koncept zabawienia się w tę przykrą reptylię. Nawiasem mówiąc miał Tepa prześliczne ręce o długich, twardych paznokciach, które nawet w starości i biedzie starannie utrzymywał -- zupełnie portretowe ręce! Tymi tedy paznokciami obu rąk, dawszy poprzednio nurka, chwycił nagle pod wodą niby w szczęki jaszczura nogę Potockiego. Potocki - zupełnie słusznie - nie tylko nogę wyrwał, ale z całej siły wierzgnął nią w kierunku napaści. Ugodził wszakże nie krokodyla w zęby, ale Tepę w piersi i to tak silnie, że biedak ciężko swą psotę odcierpiał.

Miałam ukochaną wielce, malutką wyżlicę kurlandzką, której było na imię Katula. Córkę Katuli, śliczną Nolkę, podarowałam pani Aszpergerowej. Gdy z kolei Nolce wydarzyły się piękne psięta, pani Aszpergerowa ofiarowała Tepie zachwycającą biało żółtą Fadurcię. To

była ostatnia pociecha jego biednego, kawalerskiego żywota. Kadurcia " bywała" razem z nim w znajomych domach, brał ją ze sobą do [redacted] kawiarni Schneidra i cała dzielnica znała pieska i jego pana (noszącego czarny kapelusz z krezami i podczas demi-saison`u drapującego się w pled tabaczkowy z frendzlami) . Wschodnim pono obyczajem Tepa nie wołał nigdy swej Kadurci po imieniu, ale gdy się za innymi pieskami, czy między dorożki zapędziła, krzyczał dziwnym, gardłowym głosem : Tulu ! Tulu ! Tulu !... Kochał tę psią odrobinę resztką czułości, ona zaś dzieliła się ze starym malarzem ciepłem swojego maleńkiego serduszka, grzejąc go dosłownie, gdy zastygał w nieopalanej pracowni. Gdy go wreszcie, dosyć przypóźno, zabrano do szpitala, aby się zagrzał przed śmiercią, nie było sposobu rozłączyć psinę z malarzem, [redacted] ani malarza z psiną. Dopiero gdy umarł, ustąpiła Kadurcia z piersi swego pana, na której leżała zwinięta w kłębuszek. Potem u zacnej pani Aszpergerowej, pieszczona i szanowana, dokonała kosmatego żywota, dużo pewno szczęśliwiej od swego biednego pana.

Pogrzeb Tepy wypadł w zadymkę diablą ! Na wydmuchu, koło głównego szpitala, głowy urywało tym kilku wiernym, którzyśmy poszli za jego trumną. Tatko szedł z panią Aszpergerową, ja, omotana szalikami jak cebula, dreptałam u łokcia starego Henryka Skarbka, podówczas prezesa Koła lit. art. czy [redacted] Twa. Sztuk Pięknych.. Myślę, że jeśli dusza egipskiej księżniczki miała jaką urazę do Tepy, to gdy w tym momencie, przeważywszy na szalkach oryzysowej sprawiedliwości jego biedną, przemarzłą dolę, porównała ją ze swoją - machnęła niechybnie jedyną rączką i odpuściła polskiemu malarzynie !

X

X X

Kamienica przy ulicy Sykstuskiej, w której zamieszkaliśmy, należała do żydów Horowitzów. Z galerii naszego drugiego piętra widziałam nieraz na ganku poniżej, służącą gospodarzy, niosącą na [redacted] srebrnej tacy śniadanie z kuchni, na której obok masła i pieczywa, leżały stosy czosnku i cebulek z długimi, zielonymi ogonami. Córka, czy wnuczka naszego gospodarza, którego sama jeszcze pamiętam w jedwabnym hałacie, wyszła później za adwokata, a potem posła? Natana Loewensteina.

Służyła u nas [redacted] wówczas Józia, ta, która pozowała Chmielowskiemu do jakiejś świętej i sama widocznie wyjątkowo zaufania godna, bo wolno mi z nią było chodzić czasem, gdy ulicą "Majerowską (dziś Trzeciego Maja) szła po mleko do " kowalki" Rudolfowej, lub do "greislerei" Joanny Schlarb, naprzeciw naszej bramy i frontowych okien. Szyld xxxxxx tej Joanny, przyjemnej Szwabki o blond warkoczach ,utkwił mi na zawsze w pamięci, ponieważ na jego ogromnych [redacted]

biało na czarnym lakierowanych literach uczyłam się czytać. Tam też chadzałam czasem z Józią,aby sobie zmienić cztery drobne centy na duże,nowe czterocentowe miedziaki,które lśniły wspaniale i za które można było kupić w cukierni ciastko z kremem,wielkie,jak złożona we czworo serwetka. Były tam też rocks-dropsy kwaskowate w szklannych słojach,kręcone laski osianego cukru,miętówki,cukier lodowaty w kryształach na szpagacie i " lodesy" obrzydliwe,krochmalne tabliczki,które się - niewiedzieć dlaczego - lubiło... Ówczesną ulicę Majerowską tworzyły od strony Jezuickiego Ogrodu dwa szeregi naprzeciw siebie stojących dworków z ogródkami od frontu. Na miejscu gdzie dziś Gmach Uniwersytetu,nie było jeszcze nawet późniejszych znacznie Łazienek Diany. Jedynie ujście ulicy dziś Trzeciego Maja ku Jagiellońskiej,zalegało kilka wielkich kamienic. Tą tedy ulicą dreptałam niejednego wiosennego ranka z Józią na ciepłe mleko do " kowalki". W ogródku,który się mijało,przed cofniętym w głąb dworkiem,w którym przez pewien czas mieszkała pani Fela Skólimowska,pamiętam na kopczyku osnutym bluszczem, omszały posążek Amora.. Józia tłumaczyła mi,że to jest taka biedna sierotka wygnana przez macochę i skamieniała...

Józia ta,dała mi też pośrednio pierwsze pojęcie o znikomości spraw ludzkich...

Był maj,w kuchni u Józi na oknie stał w słoiku bez,w którym wyszukiwałam pięciolistne kwiatki. Miała go zawsze całymi wiechami. Przymawiałam się nieraz o ten bez i marzyłam aby go samej móc łamać. Raz ,w jakieś niedzielne popołudnie, pozwolono Józi wziąć mnie ze sobą do jej przyjaciółki,która miała ogród z tymi bzami i córeczkę w moim wieku,Wincusię. Po drodze opowiedziała mi Józia,że Wincusia jest jedynaczką,prawie tak jak ja, tylko jej rodzice są bogaci. Te słowa dobrze zapamiętałam,bo mi Józia wytłumaczyła,że " bogaci" to są tacy ludzie,którzy nie muszą mieszkać w kamienicy,tylko w swoim domku i mają ogród,do którego nikomu obcemu nie wolno wchodzić. Ja tylko dlatego tam idę,bo mama Wincusi jest Józi przyjaciółką. Opowiadała mi,że wszystko to będzie kiedyś Wincusi,gdy dorośnie.

Ogromnie byłam przejęta niezwykłością losu tej dziewczynki. Domek,do którego-śmy szły,stał gdzieś w okolicy górnej Sykstuskiej,parterowy,jak niemal wszystkie tam wtedy,ze sztachetkami od ulicy,przez które z daleka już zobaczyłam bez.

Wincusia zawiodła moje oczekiwania. Miała czarny,ceratowy fartuszek i wyszarzałe trzewiczki. Matka,w chustce na głowie,jakaś zapewne stolarzowa czy inna majstrowa,siedziała na trawie przy rabatkach i wstała na nasze powitanie. Częstowała nas potem kawą,której mi Józia pić nie dała,musiałam poprzestać na garnuszku mleka i preclach.

Przesadna moja wyobraźnia została ostudzona dotkliwie, bom już sobie narotała całkiem inne rzeczy, gwoli tego " bogactwa". Myślałam że zastanę wspaniałości, złociste i haftowane stroje i takie wysokie, długie okna, jak w obrazkach do bajek... Pomimo zawodu przejęta byłam jednak świadomością, że domek i bzy i narcyzy i różowe, wiszące serduszka z białą kroplą u nosa [redacted] i sztachety i wszystko w pokojach będzie kiedyś Wincusi, tej samej, z mysim ogonkiem... Obdarzona ogromnym pękiem bzu, wróciłam ucieszona, że Wincusia przyjdzie kiedyś także i do mnie. Nie przyszła jednak...

Jakoś niezbyt długo potem, - już liście na drzewach były gęste - zobaczyłam Józię rzewnie płaczącą. Opowiedziała mi szlochając, że Wincusia umarła a matka " mało nie oszaleje z żalu ". Mówiła, że pogrzeb będzie " śliczny" i może mi rodzice pozwolą zobaczyć. Struchlałam ! Więc to tak ?! Tak niedawno jeszcze była - i już jej nie będzie ?! Wincusia, która tyle, tyle miała na własność, teraz umarła i leżeć musi w trumience, jak Joczka ! Ale Joczka nie była bogata, mieszkała w kamienicy, nie miała ogródka do którego nikomu wchodzić nie wolno... I cóż się teraz stanie z tym wszystkim ?! I matka, która " szaleje" z żalu... Ginęłam z ciekawości, jak się z żalu szaleje...

Koniecznie się naparłam na ten pogrzeb. Wincusia umarła na zapalenie płuc, więc nie było obawy, abym się jakąś biedą zaraziła i poszłam z Józią. Było to może pierwsze tak głębokie wstrząśnięcie, jakiego doznałam... Miałam już szósty rok zaczęty i bardzo przytomnie próbowałam myśleć... Strasznie byłam zniechęcona. Doskonale pamiętam refleksję, że właściwie nie warto cieszyć się niczym skoro to tak...

Józia do wnętrza domku mnie nie wpuściła, przez otwarte okna słychać było jednak, jak matka Wincusi krzyczy. Okropne to było ! Tłum wszakże cisnący się do sztachetek i otaczający błękitną, wynoszoną trumienkę imponował mi. Nawet po śmierci Wincusia górowała nad innymi dziećmi, tym choćby, że umarła. Widziałam, jak wyciągają szyjki, żeby dojrzeć trumienkę i krzyczącą matkę. Nie miałam wątpliwości, że tak krzyczy bo kochała Wincusię bardziej, niż Mama Joczkę.. I to się nazywa, że " matka szaleje..." Patrzyłam i nie budziło to we mnie współczucia bynajmniej. Było takie brzydkie i dla oczu i dla uszu.. Cóż Wincusi po tym ? Co jej po ogrodzie, domu, bzach, który " były" jej własne ?

Od tego czasu w historiach moich, bajanych za sprawę [redacted] haczka, jawiły się bogate umierające dzieci i moc akcesoriów wspaniałych, które mnie nic nie kosztowały, a jakimi chciałam sobie wynagrodzić zawód doznany wobec żywej Wincusi i jej matki, siedzącej w chustce na głowie koło grządek. Mnie samej nigdy nie było w tych [redacted] bajaniach. Zostawałam zawsze na brzegu, jako widz i słuchacz. Coraz bardziej zagospodarowywałam się w tej dziedzinie fantazii, powoli stawała mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała, żem miała życie rozdzielone na dwie połowy - jedną rzeczywistą, szarą, drugą -

urojoną, pełną barw i wspaniałości...

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwariowałam, lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, żem połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hipnotycznym transie, na marnotrawstwie nerwów szalonym i bezpożytecznym. Przychodziło mi zbyt łatwo więc nie chciało mi się tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam użycie z niczym nieporównane, użycie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy postaci o imionach i losach narzucanych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo zależeć nawet od stopnia mego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam, że się zdarzały wypadki w tym świecie i słowa które były dla mnie niezrozumiałe. Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej.

Rychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego, co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tym cudactwem coraz skrzętniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustalało swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm. nieostrugany ze śliskiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią żłynek sztywnego, białego papieru, szeroki na półtrzecia centymetra, ścięty, jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy, niż salonowe świece do kandelabra. Adaś tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił, że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam, już jako narzeczona Wackowi, gdy powiadomiony o tym dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony, wziął odemnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki. Dotrzymałam - i już trzydziesty piąty rok minął odkąd złożyłam berło mojej młodości. Żal mi było za nim długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku. Na pociechę zaczęłam wtedy więcej pisać, bo poprzednio z chwilą gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całego prawego ramienia. Myśli stawały się normalne i dorzeczne odrazu, zawisłe jedynie od przyczyn rzeczywistych i rozebrane z tysiąca kostiumów, które przed chwilą miałam na zawołanie. Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że dość by mi było ścisnąć na nowo "kręcidło", aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

W r. 1878 pojechaliśmy na wakacje do Żurawna.

Dożywotniczką majątku była pani Ewelina z Siemianowskich

na zaproszenie pani Ewel.

I-voto Tadeuszowa Żebrowska, II-o voto Tadeuszowa Chajęcka, prababka Ks. Kazimierzowej Czartoryskiej.

Gdy ja miałam rok szósty, ona była staruszką pomarszczoną, jak włoski orzech. Drugi jej mąż jak się dowiedziałam później -- nie miał jeszcze wówczas lat trzydziestu ! Był wszakże niezwykłej tuszy i wcale tak młodo nie wyglądał. W pałacu, prócz tych dwóch głównych osób przebywało stale kilka młodych panien : wnuczki pani domu, panny Skrzyńskie z Włodzimirzyc Anna i Wanda i siostrzenica pana Chajęckiego, panna Maria Taborska. Siostra mojej babki ciocia Terenia bar. Wentz zu Niederlahnstein, znakomita w swoim czasie nauczycielka i wychowawczyni, długoletnia właścicielka i kierowniczka Zakładu wychowawczego dla panien we Lwowie, pierwszej polskiej pensji tej miary i zasługi w naszym mieście -- po zwinięciu tejże pensji, kształciła kolejno szereg uczennic jak : Klaudia Czaykowska z Knihynicz, Aleksandra Dzieduszycka z Izydorówki, a obecnie panny Skrzyńskie i pannę Taborską. Ojciec mój przyjaźnił się zdawna z panem Chajęckim i dzięki temu stosunkowi ciocia Terenia objęła naukę w Żurawnie, a my, przez oboje gospodarstwo, zostaliśmy zaproszeni na wakacje. Dla pani Chajęckiej miała Mama specjalny pietyzm jako dla powinowatej Grottgera, w której domu bywał tu jeszcze wyrostkiem i od której pierwszego męża wiele doznał przyjaźni.

Cudowne były te żurawieńskie wakacje ! Pomimo rozdwojonego mego istnienia, starczyło mi wrażliwości dla moich obu światów. Przejmowałam się wszystkim namiętnie, umiałam się cieszyć szalenie [redacted] i zamartwiać na umor, zachwycać się i złościć, co wskutek zdenerwowania nieuniknionego przy fantastycznym nałogu, przesadzałam we wszystkim do niemożliwości. Właściwe przyczyny i rozmiary tych przeżyć pozostawały prawie zawsze głęboko we mnie zatajone, tak że wybuchy jawne, które mi się zdarzały, radosne czy desperackie, wprawiać mogły w słuszne zdumienie moich najbliższych. Mimo miłości ku nim, rosnącej razem ze mną, żyłam wewnętrznie w całkowitej samotności, jakby w drugim pokoju, z którego wychodzi się wprawdzie, ale " mieszka się" tylko w nim.

Dawny, przebudowany następnie z gruntu pałac w Żurawnie, był wówczas dużym, piętrowym dworem o dwu tarasach, z podjazdem opartym na filarach, którego ładną akwarelę zostawił Ojciec w swej żurawieńskiej tece. Pałac otaczał pięknie utrzymany ogród, którego xxx obrzeżem płynął Dniestr. Pamiętam na tym pobrzeżu altankę chińską, o dziobatych narożnikach, wyklejoną wewnątrz papierem w figurki z parasolami, [redacted] dziwaczne rośliny i smoki, pod której ścianami w głębi stały wąskie kanapki, obite malinową materią. Dziś - jak słyszę - śladu po niej nie ma nawet w pamięci obecnych właścicieli Żu=

rawna. Opodal pagody,również nad Dniestrem,wznosiła się kamienna kolumna z popiersiem króla Jana z wieńcem laurowym na czole. Znikła już pewnie również,zanotowana na szczęście w tece Tatkowej,podobnie jak krzesło Sobieskiego,odrysowane w żurawieńskiej xxxx zakrystii.

Poprzez cieniste zakamarki i aleje szło się do wielkiej woliery z dzikim ptactwem. Stała w cieniu starych drzew,zionąca z daleka zgnilizną. Siedziały xxx w niej kanie i jastrząb, najwyżej i najciszej ciemniał majestatyczny orzeł skalny. W osobnej przegrodzie na dole migał pomarańczowymi ślepiami zaspany puhacz.

Niestety z [redacted]x powodu Dniestru nie było mi wolno chodzić samej po ogrodzie i tylko część słoneczna,między pałacem a oficyną - wcale zresztą niepoślednia i pełna kwiatów - była mi wyznaczona jako mój rewir. Pasterką moją była Ewcia, córka ogrodnika,[redacted] znająca wszystkie kwiaty po imieniu. Do dziś zachowałam w pamięci woń żółtych,japońskich różyczek,których girlandy wiły się wokół słupków podjazdu.

Tu, na głównym gospodarskim szlaku,miałam sposobność stykania się z Busią, jak,za przykładem domowych panien, nazywałam panią Chajęcką. Stara dama wyglądała zawsze jak sztych kolorowy z dziennika zamierzchłych mód. Zwłaszcza rano, gdy kładła kapotkę z kwiecistego batystu,głęboką i okrągłą jak tunel,wiązaną pod brodą,jeszcze i teraz,z dawnego nawyku,chroniącą zgrzybiałą twarz przed opaleniem. Na ramionach nosiła Busia szal kolorowy i kilka rzędów dużych pereł,na zawsze odkrytej, pomarszczonej szyi. Staruszka bardzo była na mnie łaskawa i brała mnie nieraz ze sobą do chlewów,urządzonych z niebywałym staraniem. Miała bowiem osobliwsze upodobanie w świnkach, doprowadzone z wiekiem do dziwactwa. Trzeba było w końcu forteli,za pomocą których pan Chajęcki,w zmowie z ekonomem, pozbywał się zbytniej załogi w chlewikach. Świnki istotnie były utrzymane jak cacka, żartowano sobie,że każda miała osobną szczoteczkę do zębów,a wskutek wieści wyczytanej w jakimś postępowym podręczniku,jakoby kolor [redacted]x fiołkowy wpływał dodatnio na świńskie nerwy i tuszę,zaraz dostały Businе fioletowe szyby w okienkach. Zdarzyło się raz,że w czasie codziennej wizytacji u świnek,pękł jeden ze sznurów pereł pani Chajęckiej i drogocenne kulki posypały się między prosięta. Istna ilustracja ewangelicznej przypowieści,z której sporo było dworowania w pałacu.

Mieszkałam nie z rodzicami,ale przy cioci Tereni,w apartamentach panien. Przepadałam za nimi,ponieważ były ładne.Hanka Skrzyńska (późniejsza Kazimierzowa Winnicka z Turad) bawiła się ze mną wesoło,jak rówieśnica. Najlepsza była zabawa w powożenie,gdy Hanka, duża i dorosła, [redacted] biegła przez słoneczną amfiladę naszych po=

koików, a ja za nią, trzymając końce jej ogromnych, złotych warkoczów, uradowana, że takie długie, jak lejce.

Panna Taborska - późniejsza Sroczyńska - krucza brunetka, nosiła włosy obcięte niżej karku, humor miała kapryśny, a gust w ubieraniu się - trochę cygański, jak jej uroda. Do zabawy ze mną się nie nadawała alem ją zawsze wciągała w moje bajania, przebierała w suknie z bajki i długo, czarnowłosa istota z mojego drugiego świata, miała smagłą hardą twarz, krótkie loki i posępne, czarne oczy panny Taborskiej. To pewne, że jej prawdziwa biografia nie była ani trochę podobna do zmiennych losów jakie przeżywała w moim zarządzie. Gdy sobie dziś przypomnę ten niedostępny strumień fantazji i widzeń, jaki mi towarzyszył niemal stale, aż do wyjścia zamąż, mogę go porównać jedynie do nie mającego ani początku ani końca, kolorowego, zawrotnie płynnego filmu nieznanego wówczas jeszcze kina.

W Żurawnie chodziło się w pogodę do kąpieli. Szłyśmy - same damy ! - do budki na zboczy ogrodu i kąpały się gromadnie. Szła razem Ewcia ogrodniczka, która mnie pilnowała ilekroć znajdowałam się poza domem, ona też opiekowała się mną w kąpieli. Czasem nie było to łatwe. Dniestr płynął bystro i trzeba było dobrze uważać, żeby nie wpaść w nim razem do Czarnego Morza. Wiedziałam o tym Czarnym Morzu i groza jego zatruwała mi kąpiel. Bałam się tej czarności nieznanej szalenie i tymbardziej nie chciałam się utopić. Wyobrażam sobie, że i tamte panie, wszystkie z Mamą na czele, nieraz miały ze mną kłopot bom była strasznie żywa. Mimo trwogi, rada jednak chadzałam razem.

Poważny i naturalny sposób w jaki rodzice odnosili się przy mnie do dzieł sztuki, antyków i innych [redacted] mitologii, uczynił, że bez nijakiego ambarasu umiałam widzieć wszelką piękność w rzeźbie, obrazie czy Dniestrze... Hanka Skrzyńska, biało-złota i smukła jak boginka była w mokrych draperiach kąpielowej białej koszuli takim skończonym cudem, że zagapiona w jej ruchy i słońce na [redacted] ogromnych, jasnych włosach, ani mi przez głowę nie przeszło, że jest to poprostu młoda, nieubrana panna. Wcześniej od historii naturalnej znałam bajkę Andersena o " Wodnicy " a jedną z najwcześniejszych bajek, jakich słuchałam była Illiada, poznana dzięki streszczeniom Tatka, a potem Odysseja, opowiadana mi przez ciocię Terenię. Miałam najwyżej sześć lat, gdym rysowała homeryckie ilustracje. Jeden taki utwór przedstawiający szlechetnego Eumeja, stojącego przed Penelopą i chowającego za siebie z żenadą patyk - symbol jakoby jego niskiego stanowiska - znalazłam niedawno pośród zebranych jeszcze przez Ojca, moich najdawniejszych smarowideł.

Podczas kąpieli w Dniestrze podniecał mnie też wielce widok nadbrzeżnej widnej z tego miejsca łączki za rzeką, na której rosły okazałe drzewa, a do której przywarło wspomnienie królewskiego obozu

i podpisanego tam ongiś żurawieńskiego pokoju z Turkami. Zawsze bo=wiem i na każdym miejscu dźwięczały mi w uszach budzicielskie słowa Mamy, Cioci Tereni, czy Tatka, padające na świeżą, czystą kliszę ma=leńkiego mózgu, który je chwytał i brał na tajemniczy warsztat wyo=braźni.

Naprzeciw naszej kąpielowej budki, również za rzeką, widać było wzgórze Bakocynu, w którego wnętrzu spały jeszcze bezpiecz=nie pokłady żurawieńskiego alabastru.

Po deszczu Dniestr bywał mętny i jeszcze szybciej rwący. Niósł wtedy na sobie warstwy trocin z jakiegoś odległego tartaku, niby tar=tą bułkę i tworzące się na wodzie, także do bułek podobne, okrągłe kłębki żółtawej piany. Mama i panny kąpały się mimo bułek, ja siedzia=łam na brzegu i dziwiłam się, że chcą.

Wnętrze pałacu było znowu kopalnią wrażeń innego rodzaju. Wszystkie frontowe pokoje zostały mi w oczach dziwnie ogromne. Przez salon szłam i szłam i przestrzeń między dwiema jego serwantkami, wydawała mi się wycieczką. W jednej z tych szafek, oprócz filiżanek porcelanowych, ażurowych koszyków, kryształów i zielonawych kieliszków, mnożących się zawrotnie w jeszcze zieleńszej zwierciadla=nej głębi -- znajdowała się kolekcja muszel, koników morskich, gałą=zek korala --a nade wszystko "morski szatan", nieduży, o krągło roz=dziawionej, suchej paszczy. Ten szatan w równej mierze przerażał mnie jak pociągał. Musiałam koniecznie na niego patrzeć i nieraz sama za=dawałam sobie próbę, czy potrafię minąć go i nie spojrzeć? Rzadko kie=dy się udawało. Koniki morskie także były niepokojące. Okropnie ba=łam się, aby się który nagle nie skurczył lub nie wyprostował. O wiele bardziej działały na mnie straszydła, niż sarowita białość malowanych imbryków i śliczne bukiety na porcelanowych paterach.

Żurawieński salon musiał być istotnie ogromny, bo się w nim mieściły dwa okazałe garnitury mebli z kanapami, fotelami i gromadą krzeseł, wokoło stołów. Jeden garnitur miał obicie szmaragdowo zie=lone, drugi płowo złociste. Fortepian, konsole z lustrami pod sufit, owe dwie serwantki, których górnych pięter nigdy dojrzeć nie mogłam? i jeszcze w nim było tyle błyszczącej posadzki ! Meble, jak to dziś mogę osądzić nie były żybt piękne. Trójgarbne kanapy drugiego ce=sarstwa, z których na domiar jedna, ta złociście płowa, miała zu=pełnie cynicznie rozprute wnętrzności ..W ich głębi zawsze coś się ruszało i trzęsło. Pani Chajęcka, lubująca się widocznie w pew=nym typie stworzeń, chowała całą familję gołych piesków, które cały boże dzień drżały, jak galareta, miały stroskane, pomarszczone twarzyczki jakichś pokutujących widziadeł. Na głowach wichrzył się im kłaczek białego czubka jakby strachem podwiewanego w górę. Skó=ra tych istotek była różowa jak na wędlinie i stale wstrząsana

dreszczem. Szczurzy, nagi, zawsze podkulony ogonek, nóżki stąpające ze wstrętem po zimnej podłodze - słowem istni potępieńcy, których socie ty wszakże serce starej damy potrzebowało widocznie. Dość, że wnętrz= ności złoto-płowej kanapy pełne były stale tych golców nieszczęsnych mających tu prawo obywatelstwa i gniazda rodzinne. Biada gościowi któryby o zmierzchu usiadł był przypadkiem na tej kanapie ! Nastę= pował wybuch utajonej golizny, z kłaków i sprężyn wysypywały się rozzłoszczone straszydła i gryzły bez pardonu ! Przyrodnicze zamiło wania staruszki nie kończyły się wszakże na gołych pieskach i świn kach ! Na terasie, od strony parku stała wielka kopulasta klatka z papugą.. Jaskrawa Ara, jakby zadławiona własnym, grubym językiem, ciągle coś majstrowała w artretycznych łap, kipiała jakąś - raz na zawsze gotową - pasją. Także stworzenie złe i cierpiące, którego obłąkane wrzaski niosły się daleko w ogród.

Bardzo dużo muzykowało się w Żurawnie. Pani Chajęcka prze padała za Mamy śpiewem, bywała więc muzyka w kościele. Mama z Panią Michałową Dzieduszycką, najstarszą z trzech wnuczek Busi, śpiewała na chórze podczas sumy duety, - wieczorami po kolacji znowu śpiewa= nie. Przyjeżdżał Leopold Starzeński nieoceniony pono towarzysz, autor patriotycznych dramatów wierszem, jak " Gwiazdy Sybiru" i " Czaple pióro", poza tym doskonały danser, deklamator i muzyk ; zja= wiał się przyjemnie śpiewający " Miśko" Sozański przebywała często córka pani Chajęckiej, a matka pani Dzieduszyckiej i panien, pani Ludwikowa Skrzyńska z Włodzimirzec. Domownikiem niemal był rezydu= jący w Żurawnie-miasteczku nadworny lekarz PP. Chajęckich, dr. Rudnic= ki. Portrety wszystkich tych osób znajdują się w żurawieńskiej tece Ojcowej.

Śnią mi się z tego lata wycieczki na połów ryb i raków na Bakocyn, ale clou mojego sezonu stanowił udział w procesji Bożego Ciała. Ubrana w niebieską sukienkę i wianuszek z mirtu przewijany stokrotkami, sypałam kwiatki przed Przenajświętszym Sakramentem. Obok jak dwie drużki, szły biało ubrane córeczki sędziostwa Hajwa= nowiczów, a dworskie dziewczęta trzymające się w pobliżu, dosypywały nam wciąż kolorowych płatków w koszyczki. Procesja ta, widok błysz= czącej ~~xxxxxxxxxx~~ w słońcu monstrancji, żółty baldachim i zahaf= towany w figurki ornat proboszcza, chorągwie, wianki na głowach dziew cząt niosących ołtarzyki i własny udział w tym pochodzie, wszystko to dokonało przyłomu w moim wnętrzu. Porwały mnie - że tak powiem - motywy duchowne i zaświatowe. Treść moich bajań roiła się do świętych, tłoczyła od chorągwi, ołtarzyków, kaplic, krzyżów, a tematy rysunkowe czerpałam odtąd także z ~~xxxxxxxx~~ dziedziny religijnej, z niejakim tylko uwzględnieniem królów, królowych i królewien... Pro=

cesje, Msze, jakieś apoteozy, tajemnicze obrzędy, pełne aniołów i dziewczynek w wiankach, urozmaicone tylko czasem motywem świeckim jak państwo młodzi lub (pewnie wspomnienie Joczki..) umarłymi dziećmi, leżącymi płasko na uroczystych posłaniach... Karteluszki z tymi kompozycjami znalazłam pochowane w kartkach kalendarza z owego zamierzchłego roku. Na jednej z nich jest dopisek Takta, na drugiej Mamy. Rada powitałam te ołówkowe dokumenty, świadectwa współczesne, dowodzące, że nie zmyślam, wiarygodne ślady tego narwaństwa, które brało początek z " kręcidła".

W dzień św Zuzanny odbył się ku czci pani Skrzyńskiej bal dla jej córek. Napatrzyłam się postrojonych pań i panien i od tego wieczora ilekroć czytała mi Ciocia bajkę z " Tysiąca i jednej nocy " o latającym dywanie, zawsze kojarzyła mi się ta jazda ze wspomnieniem popielatego ogona sukni pani Dzieduszyckiej, na którym po śliskiej posadzce obwoziła mnie za sobą wokół znajomego salonu. Obniesiona na rękach pana Chajęckiego, obejrzałam wspaniale nakryty stół pełen kwiatów, etażer owoców, tortów, srebra i kryształów i tego wieczora zobaczyłam - naprawdę pierwszy raz w życiu - wielką urodę Mamy. Oswojenie, codzienność, roztrzepanie sprawiło, żem dopiero wtedy, widząc Mamę w sukni wyciętej z lekko przypudrowanymi włosami, w których różowiły się blade, płaskie malwy, całą w jasno popielatym jedwabiu, podkreślonym gdzie-nie-gdzie smużką różowego aksamitu, stanęłam jak urzeczona. Mama miała wówczas lat 28 i była niewiarygodnie cudowna ! Mimo woli porównywałam inne twarze kobiece z nią i wracałam do niej jak do zjawiska.

A były na tym balu różne śliczne panie, oprócz domowych. Przyjechała pani Aniela z Wolskich Pawlikowska z Bereżnicy Królewskiej, z matką i siostrami Heleną i Zosią. Panna Helena Wolska była ubrana całkiem biało i miała u skroni z obu stron białe lilie. Brzmi to dziwacznie, ale miało być śliczne, a ona sama przepiękna. Tatko chciał ją koniecznie narysować do swej teki, ale pani Wolska nie pozwoliła gdyż znajdowały się w tej samej tece portrety obcych panów... więc.. niewypadało!

Nim się bal zaczął położona spać z głową pełną wrażeń i kolorów zasnęłam nie prędko a i potem budziłam się często. Muzyka huczała, jak pół sny jawiły się przy mnie domowe panny, różowe od tańca, wpadające do naszych pokoików, stawiały koło mego łóżeczka talerzyki pełne balowych tortów - i znikały znów.

Reszta lata minęła rodzicom jak jedna wycieczka przeciągła. Więc najpierw Daszawa u pani Felicji z Dobrzańskich Sozańskiej, towarzyszki lat dziecinnych Tatka - Daszawa gdzie się urodził. Szwagier pani Sabiny z Pawlikowskich Feliksowej Dobrzańskiej

komornik Kremarski, prowadził tam ongiś kancelarię, równającą się obecnie adwokackim i notarjalnym równocześnie. We własnym, osobnym dworku mieściło się mieszkanie i biura, których klientelę stanowiła cała ziemiańska okolica. W kancelarii komornika Kremarskiego, pracował młody prawnik Ignacy Młodnicki, ożeniony z panną Karoliną Wiktorią Komarnicką, którą poznał w Bereżnicy u jej opiekunki, pani Dobrzańskiej. Tu, zanim dziadek, jako sędzia polityczny, objął samoistny posterunek, mieszkali dziadkowie szereg lat, tu urodziły się wszystkie ich dzieci : Edmund, Emilia, Karol i Aniela, - tu umarła najmłodsza Sabinka, otruta przypadkowo jakimś płynem przeznaczonym do nacierania koni, a podanym dziecku przez roztrzepaną niańkę, zamiast dziecinnego lekarstwa. Stąd - brany na dno sań, jeździł Tatko z rodzicami na Pasterkę do Żydaczowa i przymierał ze strachu przed dudnieniem wielkich organów, -tu stała serwantka Babki....ale o tym opowiem później.

Witał się Tatko z Daszawą i wzajem czule był witany.

" Lileczka wszędzie bardzo grzeczna " - notuje Mama w kalendarzu -- " i coraz to nowych zaskarbia sobie przyjaciół.."

Dziś ta sama Daszawa stała się jednym z centrów i skarbców krajowego przemysłu.

Zatrzymali się potem rodzice w Stryju, gdzie Tatko chodził do szkół, a stamtąd, najętym, jak Mama pisze " wcale porządnym powozem " podążyli do Kruszelnicy, w gościnę do bawiących tam na letnisku Władysławostwa Skólimowskich. Pierwszy raz znalazłam się wtedy na najdroższym mi na świecie szlaku. Doskonale dziś wiem, co czuć musiał Tatko na tej powrotnej pielgrzymce ku miejscom swej szczęśliwej młodości, które chciał Mamie pokazać. Co czuł poznając z daleka granatowe kontury gór, oddychając znów tym niezapomnianym powietrzem, które po latach stać się miało i moim najrodzeńszym... Tak kochał te góry, że aby jego tęsknocie dogodzić, a moje naderwane płuca ratować, ruszyły Babcie swój wentzowski kapitalik, który dał początek Storożce.

W Kruszelnicy w ogromnym drewnianym dworzyszczu Podhorodeckich - dziś już od lat nie istniejącym - zwieszonym na długość całej jednej polaci, gankiem nad Stryj, mieszkała, prócz Skólimowskich pani Feliksa Brezanyi z córkami, Bronią i Anielką. Wszyscy pili żętycę ów środek sympatyczny swojej epoki, który - ile że znajdował się w górach - pomagał na płuca. Okropna, jakby nalewka na świeżym serdaku, którą mnie zaraz nazajutrz też poczęstowano. Pani Izabela Skólimowska, synowa Matki Dory, chroniczna do późnej starości suchotnica, była jedną z tych kobiet, które cały dzień chętnie zostają w szlafroku, ~~ale dobre, ale do niczego~~.. Z domu Jastrzębska, nie

 42

miała w sobie ani śladu drapieżności, zawsze coś gubiła, zapominała, zresztą kochająca i cierpiąca. Twarz jej, o zapadniętych oczodołach drobnym nosie, policzkowych kościach wydatnych i ustach wklęsłych a zaciśniętych, miała coś trupiego, co mnie, cnoć małą, przerażało. Troje [redacted] jej dzieci : Janka najstarsza, Leonek, faworyt matki i Wa=lerka, kopciuszek, wciągnęli mnie w swoje zabawy i dobrze mi się działo w tej kompanii. Nic mi wszakże tak nie dogadzało w Kruszel=nicy, jak konfidencja ze Stryjem, który płynął dosłownie popod samym domem. Dworzyszcze otaczała biegnąca dookoła weranda i zachwycający był obryw pod nią, zarosły malinami, wierzbami i kaliną, opadający stromo ku samej wodzie.

Tatko, z pannami Skólimowskiemi i Tadziem robił wyciecz=ki w góry, reszta pań brała udział tylko w wyprawach wozami do Urycza i Skolego. Ja zostawałam w domu z panią Felą i dziećmi, do których należała też mieszkająca w tym dworzyszczu z matką mała Zosia Dzieduszycka. Miała główinę ostrzyżoną krótko przy skórze, gładziutką i nazywałam ją z tej racji : aksamitką. Była to dziew=czynka chorowita, z nóżkami w żelaznych maszynkach, ale dziwnie miła. Wolałam ją od Janki Skólomowskiej, zawsze jakiejś posępnej i nie=pokojąco podobnej do matki i od Walci, młodszej i zahukanej przez brata-faworyta, Leonka. Trójkę tę dyniską nie wesołe czekały losy.

Gdy Janka była już dorosłą panną, Dyniska już się rozpadły na dobre. Uczyła się może najwięcej i najstaranniej, podczas gdy Walcia rosła przy niańce w piekarni. Miała ogromny talent do rzeź=by. Specjalozowała się w zwierzętach, które modelowała z niezwykłą zręcznością, w świetnie obserwowanym ruchu, z pamięci. Chleb, wosk, - gliny zdaje się nie zaznała - były materiałem z którego je lepiła. Ojciec tymczasem pił coraz gruntowniej, matka pielęgnowała swoje dziwnie długotrwałe suchoty, Leonek usiłował na stancjach lwows=kich zgłębić gimnazjum - a w [redacted] dyniskim parku coraz to które stare drzewo padało na opał i żyd Reiss coraz się stawał zuchwalszy. Nic dziwnego, że ponure oczy Janki robiły się jeszcze bardziej posępne. Oprócz rodziny i przyjaciela pana Władysława, Dra, Jaroszyńskiego, nikt prawie nie zaglądał pod cieknący i trzeszczący dach. Zamiast kształcić świetnie zdolną dziewczynę na artystkę, dać jej poznać świat lepszy i umieścić bodaj we Lwowie, trzymał ją ojciec na wsi, gdzie marniała i grążyła się w coraz beznadziej=niejszej zapadni. Wreszcie, któregoś karnawału, postanowił ojciec wprowadzić ją w świat. Była na paru balach we Lwowie, ale posępna, zacięta jej maska raczej odstraszała niż pociągała danserów. Wy=padła jakaś zabawa w okolicy, nie domowa, ale jakiś piknik w mies=teczku, oczywiście ziemiański. Pani Izabela, jak zawsze kaszlała, pojechał więc ojciec z Janką sam. Panna nie miała ochoty, prosiła się, aby zostać, nie pomogło - musiała. Na balu, dość niedługo po

)* Odnośnik do str 35

Jedna z nich była zdolną " charakterystyczną"
za dyr.Horżycy we Lwowie w latach 1935-6

przybyciu,ojciec zdążył się upić w bufecie. "Iluminowany" -stawał się wymowniejszy,a tym samem groźny. Janka ginęła ze wstydu. Zaszedłszy za ojcem do bufetu chciała go namówić do domu,ale nie tylko ani słyszeć nie chiał,ale zobaczywszy córkę,począł ją zalecać zgromadzonym tam mężczyznom i namawiać,aby się jej dobrze przypatrzyli - bo warto. Uciekła i w garderobie,pośród futer i salop, odczekała pory kiedy wreszcie wyniesiono pana Władysława, już całkiem nieprzytomnego do xxxx sani. Wracali tak o mroźnym [redacted] zaranku do Dynisk. Ojciec upity jak bela,dziewczyna w balowej sukni,z umyślnie odrzuconym futerm, samobójczą rozpaczą w sercu. Półprzytomną,bez okrycia, zdjęto [redacted] w domu z sani. Umarła w jakieś dziesięć dni potem na zapalenie płuc,majacząc w gorączce o tej strasznej balowej nocy. Dr. Jaroszyński ratował ją,jak mógł ale [redacted] mu się nie udało.

Leonek po daremnych wysiłkach skończenia studiów koczował po różnych krajach,był nawet na Kaukazie przy nafcie,umarł jeszcze młodo,ożeniwszy się parę lat przed śmiercią. Żona jego była z domu Hoszowska. Zostawił dwie córeczki.

Walcia wyszła zamąż za pana Świeżawskiego i była nad wyraz wszelki nieszczęśliwa.

Oto pokrótce dzieje wnuków Matki Dory, które się ze mną bawiły w Kruszelnicy.

Ostatek lata spędziliśmy w Rożniatowie u wujostwa Maryańskich. Ciocia była mi znajoma już i kochałam ją bardzo. Dziś dopiero mogę osądzić jak wiele było między nami podobieństwa. Ta sama egzaltacja, ten sam głód wzniosłości, potrzeba wrażeń głębokich kult pamiątek.. Tyle,że ciocia Aniela była lepsza,czulsza,miała miększe serce na bliźniego odemnie. Ale mieszanina czujnego humoru z sentymentem, jawiąca się w nagłych przeskokach,jak u Tatka i u mnie - czyniła mi ją wcześnie bliską i zrozumiałą. Wuj był duży,zawsze zaśpieszony i zasapany,o głosie tubalnym,wysilał się widocznie by siać postrach między chłopcami,co w żaden sposób mu nie szło. Musiało się go kochać,choć krzyczał okropnie,sapał i groził. Trudno było o jaskrawszy kontrast jak między tymi dwojgiem. Ciocia subtelna,powiewna,bladawa,z dwojgiem smutno-bławatkowych,ogromnych oczu, mówiąca głosem zciszonym i ładnym, - wuj rwetesnik,rzucający lapidarne ukazy,trzaskający drzwiami,umiejący gdy żona zasnęła półżywa po migrenie -ryknąć jak ranny żubr przez pokoje :

- Cicho chłopcy! Mama śpi! "

W tym Rożniatowie zaznałam pierwszej huśtawki,asystowałam przy zielonym misterium kiszenia ogórków,pływałam tratwą po staw=

ku, poznałam smak pieczonej w popiele kukurudzy,widziałam z bliska pierwsze ule i zawarłam dożywotnie braterstwo z Walerkiem Maryańs=kim, trwające niezachwianie do dziś,czyli pół wieku z przyczynkiem. Niedobrani gruntownie z Adasiem, z tym bratem ciotecznym zostaliśmy sobie przyjaciółmi od czasów pierwszej, pieczonej w popiele kuku=rudzy, poprzez [redacted] wszystkie tomy "Trylogii", rycerską musztrę, [redacted] w której następstwie dostałam od Walerka dyplom na rotmistrza i razem z nim w Mikołajowie budowałam pierw=szą fortecę z grochowych tyk -aż do Wielkiej Wojny i przez wojnę po której generał Maryański,były szef sztabu Armii "Wschód",pod komendą generała broni Tadeusza Rozwadowskiego a wówczas dowódca D.O.K. we Lwowie, otrzymał zaszczytną misję odprowadzenia [redacted] z Cmentarza Obrońców Lwowa trumnę z prochami Niezna=nego Żołnierza na plac Saski w Warszawie.

W ciągu grudnia tego samego roku 1878,podczas ostatniej zimy spędzonej w mieszkaniu na Sykstuskiej,gdzie zapoczątkowane przez Mamę odbywały się moje dziecinne,cotygodniowe soboty - nad=szedł wielce dworny, [redacted] po francusku pisany list "Busi" Chajęckiej,zapraszający nas na święta Bożego Narodzenia do Żurawna.

Nie było już wtedy tak wesoło,jak w lecie. Pan Chajęcki nie=domagał na płuca,panny Skrzyńskie spędzały Święta w domu -była tyl=ko - oprócz gospodarstwa i nas - panna Taborska z ciocią Terenią. Pierwszy raz w życiu jechałam wtedy saniami po wysokim,puszystym śniegu,polem...

Poczciwy " Dziapciuś ",jak nazywałam pana Chajęckiego,kazał wystroić dla mnie drzewko prześliczne. Stało w salonie między dwoma garniturami,przymocowane do żyrandola,z którego odjęto wszystkie wiszące kryształki i przytwierdzono do gałązek niby sop=le lodowe. W kątach jadalni ustawiono snopy zbóż,a podłoga tak by=ła zasypana ziarnem,że co moment ktoś się na nim ślizgał. Ale nie wolno było zamiatać aż nazajutrz. Po wilii i choince - z tupotem, bełkotem i brzękiem wtoczyła się do salonu gromada straszydeł,pro=wadzących coś kudłatego,co chwytało za suknie i nogi - Turonia! Górą zaś wyciągał żyrafią szyję okropny potwór-kłapacz, niby bo=cian,niby koń, bo miało to dziób zębaty i płaskie drewniane nogi, niby olbrzymia kaczka,którymi wielki czyniło łoskot o podłogę. Przeraziłam się tej kompanii okropnie,choć na krótko,bo zaraz mnie uspokoił widok żywej,ludzkiej ręki,wysuniętej na moment z pod ku=dłów Tura. Cieszyłam się jednak gdy te cudaki podudniły w dół po schodach,kłapiąc i pomrukując.

 46

Raz jeszcze, następnych wakacji, w czerwcu 1878 roku, byliś=my w Żurawnie. Z tego drugiego letniego pobytu (który tak mi się w pamięci miesza z pierwszym, że mi trudno ustalić napewno co kiedy było)- została mi w oczach Bereżnica, dokąd wybrali się rodzice z wizytą i mnie wzięli ze sobą. Tatka łączyła z Bereżnicą moc wspomnień, o których jeszcze wówczas nie wiedziałam, -dość, że był tam jak w domu i cieszył się każdym kątem. Bawili tam [redacted] wtedy rodzice pani Pawlikowskiej, państwo Wolscy ze Lwowa, rodzice panny Hali i Zosi, a były też i domowe dzieci. Dwie dziewczynki - starsza ode mnie Saba i rówieśna Sewa. Innych nie pamiętam. W ja=kiejś chwili postawiono mnie na stole i oglądano zbliska. Panie mnie całowały i głaskały, a jakiś pan powiedział: Ależ śliczna! " Miałam różową sukienkę z guziczkami białoróżowymi, jak cukierki i różową kokardę na czubku głowy. Nie raz mówiono przy mnie, żem ład=na, nie raz na ulicy wpadały mi w ucho takie słowa, ale jakoś to przelatywało mimo... Teraz, na tym stole, wydało mi się ważniejsze i bardziej uwagi godne. Na dłuższy czas zgłupiałm potem na swój temat i miałam wielką niewygodę z tą sprawą.

Drugą wycieczką z Żurawna była jazda do Przeździeckich, zna=jomych państwa Chajęckich, mieszkających w okolicy Bakocyna. Pan Przeździecki bawił pono wiele lat w Turcji i miał w domu prawdzi=wego Turka w zawoju i hajdawerach, który usługiwał.

Jeździło się też co niedzieli na sumę do miasteczka, za czym przepadałam i ze względu na samo jechanie i na nabożeństwo, którego tajemniczość, estetyczna solenność, niezrozumiałość, niesio=na falami organów, przejmowała mnie zawsze nęcącą grozą.

W Żurawnie-miesteczku odbyło się też przedstawienie na do=broczynny cel, w którym brali udział oboje rodzice, panny domowe, pani Michałowa Dzieduszycka i przemiły " Miśko" Sozański.- pewnie i inne osoby, ale już nie pamiętam. Grano sztuczkę [redacted] La Bi=che'a " Uściskajmy się " w ładnych strojach rokoko. Panna Taborska była idealną Bertą. Tatko Follvillem - zaś Leopold Starzeński napisał umyślnie jednaktówkę p.t. " Stała pogoda", w której świetną złośnicą była pani Michałowa Dzieduszycka. Naturalnie najprzyjem=niejszym okresem był czas prób, które się odbywały na wielkiej galerii na pierwszym piętrze. Tylko Misia Sozańskiego, który nie miał cierpliwości kuć podczas lata i wizyty, swojej roli, z niesły=chaną cierpliwością wzięła w obroty ciocia Terenia, a panny przy=gotowały dla niegp słój konfitur w nagrodę pilności. Pokonał w końcu i rolę i konfitury...

A potem skończyło się dawne Żurawno.

Pani Chajęcka przeżyła-o tyle młodszego-męża, który umarł

niebawem... Odwiedzałam go z rodzicami, gdy już dogorywał na suchoty. Mieszkał wówczas w pałacyku Ulanieckich przy placu Bernardyńskim i był zmieniony do niepoznania. Wspominany był w naszym domu długo i serdecznie. Doskonałe jego podobizny są też w żurawieńskiej Tatkowej tece.

Ale wracam wstecz.

Mieszkamy przy ulicy Zimorowicza 12 -(potem zmieniono numer na 16 i tak już zostało.) Ciocia Terenia jest już z nami na stałe. Muszę z nią mówić po francusku i po niemiecku, co mnie oburza. Czytać i pisać po polsku nauczyła mnie Mama jeszcze na Sykstuskiej.

Przy naszym mieszkaniu na drugim piętrze jest długi, żelazny ganek, nie taki jak na Sykstuskiej, z pomiędzy którego drewnianych, wychełtanych balasków raz omal nie wypadłam na bruk. Wogóle tam zostały moje najszaleńsze lata... Tam, już wylatującą przez okno na widok zobaczonego na dole Tatka, chwyciła mnie na czas ciocia Mila Pawłowska, przy czym ona połamała paznokcie obu rąk, ja zaś rozdusiłam sobie niemiło żołądek na gzymsie... Tam, wbrew ostrzeżeniom, rozgryzłam chyłkiem obcięty liść [redacted] arunu, zwanego pospolicie " aronem", którego sok pali niczym kwas solny. Gdy mnie opętaną okropnym bolem i rozwrzeszczaną podniósł nadbieg[redacted]ły z drugiego pokoju Tatko, miałam usta oparzone i spuchnięte tak, żem słowa wypisnąć nie mogła. Mamy nie było i Tatko widząc leżący obok liść, który pokazywałam, nie wierząc aby to mogło mieć związek z moim nieszczęściem, podniósł go do ust także. Nastąpił efekt podobny, tylko bardziej opanowany. Gdy Mama wróciła z miasta zastała nas jak dwie opłakane karykatury...

Z ganku naszego widać było Wysoki Zamek, Ratusz, całe miasto, połyskujące o zachodzie tysiącem purpurowych szybek - słychać było wieczorem przenikliwy, dawno już umilkły dzwonek-sygnał na zapalenie latarni, - niósł się Anioł Pański z Katedry, a przed spaniem odzywał się z pobliskiej Cytadeli, ponad drzewa nieznajomego mi jeszcze wtedy Zaświecia, capstrzyk - nieporównany z niczym capstrzyk Haydna, coś związanego tak na zawsze z moim szczęśliwym dzieciństwem i młodością, że tego jednego po Austrii żal mi gorąco i za tym jednym po niej tęsknię...

Nie było jeszcze wysokich kamienic dzisiejszego Lwowa. Z naszego ganku rozciągał się widok przestrzenny, daleki, aż do lasów za rogatkami.

Właścicielami kamienicy byli niejacy państwo Izdebscy, którzy oprócz tego trzymali " fiakry". Z naszego ganku widać było

jak na dłoni całe podwórze i gospodarkę stajenną. Adaś cały dzień tkwił między żelaznymi prętami ganku i razem z rówieśnym Adasiem sąsiadów naszych PP. Grelińskich, kontemplował konie i końskie sprawy. Fiakry stanowiły dla całej kamienicy rodzaj czasomierza, dzięki któremu wiedziało się, kiedy pierwsza w południe, kiedy jedenasta w nocy i kiedy piąta. O tej porze cały dom trząsł się od huku wjeżdżających lub wyjeżdżających bramą powozów. Pamiętam rozkoszne uczucie rano, gdy wstrząs ten znajomy - śpiącą na wąskiej jesionowej kanapce - rozbudzał mnie na chwilę. Wiedziałam, że zaraz znowu zasnę i sprawdziwszy, że u kowala obok słychać już kucie (o 8-mio godzinnym dniu pracy jeszcze się wówczas nie śniło...) a zatem jest dopiero piąta - obracałam się twarzą do różnokolorowych paseczków obicia kanapki - i spałam dalej...

Byłam już wówczas gruntownie zagospodarowana na świecie. Miałam w głowie moc najróżniejszych pojęć i powiadomień. Dzięki licznym ilustracjom i reprodukcjom, w które nasz dom obfitował, znałam ogromne mnóstwo obrazów i widoków, nazwisk malarzy, miejscowości, strzępków historii, które mi się jawiły na obrazach, miałam ukochanych bohaterów, -tak jawy, jak baśni - ale świat bajek Andersena mieszał mi się jeszcze ciągle z rzeczywistością. Wszystkie " rzeczy" była dla mnie za jego sprawą milczącymi istotami, które tylko dlatego nie gadają, bo nie chcą... Stąd obyczaj nazywania osobnymi nazwami sprzętów domowych, który mi został do dziś - ba! - nawet części odzieży. Spora już byłam gdym miała ulubiony słomiany kapelusz, który z niewiadomej racji nazywał się " Bilo".

Historii greckiej uczyłam się zrazu na Homerze, powszechnej na pięknym wydaniu Memorabiliów Geigera (książki, którą Tatko cenił dodatkowo, jako pamiątkę po ukochanym koledze i przyjacielu młodości - Marcelu Maszkowskim.. ale o tym jeszcze się później rozgadać przyjdzie ..) uczyłam się - wyznać trzeba - przeważnie ze złością, a zwłaszcza rachunki były mi wprost fizyczną udręką. Nie mogłam ! To też z racji mego rozbudzenia wogóle i marnego wieku, nie zmuszano mnie do tego zbytnio. I Mama i ciocia Teresnia, obie uznały, że trzeba na mnie fortelu i uczyłam się, ani wiedząc jak, - opowiadaniem. Na tej wązkiej, jesionowej kanapce, na której sypiałam, zakopana o zmroku w wielki, popielaty pled cioci - słuchałam bez tchu tej tulącej mnie do siebie, mądrej i słodkiej nauczycielki, która niczym najciekawszą bajkę - mówiła mi o prawdzie. Poznałam w ten sposób historię polską i starożytną, zaś Tatko dopełniał stosownymi ilustracjami, które bądź z domowych zapasów dobierał, bądź z biblioteki Seminarium nauczycielskiego męskiego

w którym uczył - pożyczał dla mnie. Później dopiero, z latami, dałam się nagiąć do foremnych lekcji i godzin nauki, które bardzo nierychło zaczęłam lubieć...

Im coś było dziwaczniejsze, mniej podobne do dnia dzisiej=szego tym mi się więcej podobało. Rozmiłowana za sprawą Tepy w Egipcie, domagałam się opowadań o Wschodzie, który mnie nęcił, jak każde dziecko, najbardziej. Był u nas tom gruby niemieckiego wy=dania Bajek z tysiąca i jednej nocy. Ileż wieczorów przeszło nam z ciocią na zgłębianiu tych cudów. Harun Al Raszyd był dla mnie postacią bardziej rzeczywistą, niż panujący w Austrii żywy cesarz. A gdy się zrobił na świecie huczek spowodowany odkryciami Schliemanna - umyślnie wybrałyśmy się do cukierni Grossa przy Hetmańskich Wałach, dla obejrzenia niemieckiej ilustracji, która przynosiła podobizny złotych przedmiotów ze skarbca Pryama. Cała ta nieszczęśliwa, wykopaliskowa familia znana mi była doskonale, najpierw z opowiadań Tatka, a potem cioci na wąskiej kanapce i tru=dno odtworzyć to wrażenie z jakim patrzyłam na rzekome trzęsidła Heleny i długie, z migotliwych blaszek zausznice. Mocno utwierdzi=ło to we mnie wiarę, że wszystkie bajki mogą być kiedyś odkopane.

Wyraźnie dzielił mi się już rok na cztery pory, które zna=czyły się dla mnie znajomymi etapami. Więc : Jarmark św, Jura, wyjazd na wakacje, Zaduszki i Gwiazdka.

Wiosna - to były pierwsze śnieżyczki, przyniosione z rynku w twardo ściśniętych pęczkach, data moich urodzin - 13 marca- i imienin - 25 marca. Pachniały mi te dni zawsze ślicznie hiacyntami i jakimiś przez rodziców najtrafniej pod słońcem obmyślanymi radościami. Spełniały się stale jakieś " najgorętsze " życzenia n.p. aksamitnie miękki ołówek Faber nr 2-gi, - albo prawdziwy orzech kokosowy, czy grube serce z czekolady, wybrane śmiałą myślą za wystawą Rotländera lub pudełeczko biletów wizytowych, z różowe=go seledynowego i błękitnego kartonu... O urodzinach moich pamię=tała też niezmiennie moja chrzestna matka, Leonia Sawczyńska, ja=wiąca się zawsze z bardzo dostojną swą mamą i młodszą siostrą Jadwigą, aby mnie w tym dniu czemś miłym udarować. Przyjęcie stano=wiła stale czekolada z oblewanymi cukrem sucharkami. Imieniny bywały gwarniejsze, bo przychodzili na nie liczni moi młodociani znajomi, starsi i młodsi,- Lolo i Anielka Maszkowscy, Tyńcia, Zosia i Genio Piaseccy, Zosia i Jadwiga Trzemeskie, August, Cezar i Józio Hallerowie -- ale ci bywali już trochę później.

Wiosna kończyła się czymś, dziś już bezpowrotnym, corocznym, majowym jarmarkiem na placu św. Jura.

Umiało się na pamięć wszystko, co tam było do zobaczenia i doznania, ale urok z roku na rok nie malał bynajmniej. Już sama dro=

ga przez rozkwitły bzami i pachnący młodym liściem Ogród Jezuicki uspasabiała świątecznie. Ogród ten był znajomy do ostatniego zakamarka. Wszystkie wiosny i jesienie spędzaliśmy tam z wózkiem Adasia, a potem już oboje na piechotę, pod niewyczerpanie cierpliwą opieką Mamy lub Babci. Pod olbrzymim, dziś już ściętym kasztanem, który kwitł w różowe wieżyczki osypujące się potem na ścieżki, była nasza ulubiona ławka. Stamtąd urządzało się śmiałe wypady w inne aleje i wracało pędem pod kasztan. Pamiętam się w białej, chłopskiej sukmance, którą mi ciocia Terenia kazała zrobić na wsi w Żurawnie, wyszywanej pięknie czarną i czerwoną włóczką, przepasaną pąsową krajką i w takiej chuścinie na głowie. Brodziłam w trawie sięgającej mi pasa, zdmuchując świetliste kule mleczów. Wysokość tej trawy może świadczyć o dwojakiej prawdzie : moim maleńkim wzroście, lub niedbałym zarządzie ogrodu...

Ale chodźmy na jarmark...

Z daleka już dolatywały charakterystyczne, nosowe dźwięki harmonijek, na których się " grało" oddechem - metalowych, podłużnych przedmiotów o kwadratowych celkach, z których lada chuchnięcie dobywało mdlejący jęk.. Niektórzy twierdzili, że umieją z tych jęków układać melodię, ale trzeba było silnej wyobraźni aby uznać, że jest to krakowiak, czy " Jeszcze Polska .." Pomiędzy to niosły się donośniejsze piski gwizdawek, pawie zadęcia trąbek, co wszystko uszlachetniała pewna ogromna katarynka, wygrywająca równocześnie Poloneza Ogińskiego. Tak! Już tu zaczynało się użycie !

Wreszcie na słońcem zalanej, otwartej przestrzeni, zaczynało coś czernieć i błyszczeć...Białoczerwone namioty z piernikami i ogromne stosy poukładanych kunsztownie denkami ku niebu, polewanych, kamiennych garnków. To się rzucało w oczy najpierw. Chorągiewki, o narodowych barwach, skrzyżonane nad wnętrzem piernikowego pawilonu, stroiły - te do szopki podobne - drzwi. Wystawa pierników wyglądała w nich jak scenka jakiegoś jadalnego teatrzyku. Cóż tam były za niemowlęta piernikowe we wszystkich wielkościach, jakie serca rozłożyste i wyzłacane ! Ile gatunków innych pierników, o kształtach obrzędowych, corocznych i takiej samej dekoracji ! Nad wszystkim zaś unosił się zapach miodu, krochmalu i święta...

Jakże skurczyły się od tej pory serca piernikowe i ludzkie!

Najpiękniejsze były namioty Józefa Zimmera i Franciszka Staffa, ojca poety. Później dopiero zasłyną Józef Czyński z Jarosławia.

Między tymi namiotami szczęśliwości była cała uliczka, którą szło się po parę razy z rzędu i pasło oczy - nim został zrobiony

wybór. Zaczynało się zawsze od takich oględzin wszystkiego..

Były i namioty z zabawkami, najpokuśniejsze wszakże, chłopskie, rozłożone bywały w miałkim prochu " placu". Pamiętam tam nieodżałowane lalki, gatunek wymarły bez śladu, które hurtem nazywałam " Margorendy". Były te Margorendy całe z drzewa, coś między kręglem a damską figurą w sukni empire, stale buraczkowego koloru, o ramionach głupkowato odstawionych od tułowia. Miały długie szyje a na nich okrągłą, jak makówka głowę, o malowanej twarzy, różowej z silnymi wypiekami, jaskrawą kropką ust, dwoma czarnymi kropkami oczu i kreseczkami brwi. Fryzurka z rozdziałkiem zachodziła im modą z trzydziestych lat głęboko na policzki i kończyła się greckim węzłem na kulistej czaszcze. Margorendy bywały nieodmiennie brunetkami... Obok nich pamiętam jeszcze jeden gatunek zabawek zaginionych : kamienne kule, czarne, pokryte żłobionym ornamentem, bardziej geometrycznym niż tamte roślinne z pisanek. Wewnątrz miało to gipsowe gałki i potrzęśnięte - kałatało. Żłobienia miały barwę popielatą i były bardzo rozmaite. Nazywałam je " smocze pisanki" i do dziś nie wiem do czego służyły. Jako zabawka dla małych dzieci były za ciężkie, dla starszych również nie miały sensu. Może taiło się w nich jakieś znaczenie symboliczne, zrozumiałe tym którzy je wyrabiali ? Dziś ich już nie widać nigdzie.

Naturalnie były na jarmarku wózki dla lalek malowane, spotykane jeszcze i dziś, zaprzężone parą koników jaskrawej maści, - kogutki, którym gwizdało się w ogonek, gliniane rumaki-centaury z jeźdźcem bez nóg, wrośniętym w wierzchowca, - pasiatego jak zebra, - skarbonki , fujarki, sita, rogoże plecione, kropidła, łyżki strugane z lipowego drzewa - ale nade wszystko : pierniki i garnki ! Co za garnki !! Zielone, brązowe, żółte, siwe - od największych do malutkich dla lalek, dzbanuszki, kubeczki, miseczki - także wymiarów jakie kto chciał - a błyszczących do słońca piękną polewą, jak mokre. Świat zaginony już niemal, wyparty na zawsze przez aluminiowe nowinki, napewne kruchszy od nich, ale o ileż powabniejszy, bardziej malowniczy ! Wytłukł się razem z pieśnią ludową, której - jak twierdzą badacze - nie przyrasta ; minął, jak pyszne podlwowskie sukmany ze szkaplerzem dziwacznym na plecach, które czasem tylko na jakim starym gospodarzu zobaczyć jeszcze można we Lw Rynku ; zatracił się, jak białe "magierki", wełniane czapy okrągłe, okolone różowo-zielonymi kreskami włóczki, czapy wciągane na głowę jak pończocha, o podwójnej warstwie, których naprawdę bez narysowania opisać nie podobna.

W głębi, za placem z garnkami i namiotami tłoczyła się mnogość innych kramów, ale te już mi były obojętniejsze. Wisiały tam szeregi bułanych bucików chłopskich z cholewami, jeszcze nie czer=

nionych,-połcie słoniny,osobny kram z biczami prawdziwych korali,koło których kupiła się publika sielska i przedmiejska.Buty sprzedawali szewcy z Uhnowa -co mi nie było obojętne,gdyż przez Uhnów jeździło się do Dynisk. - Słoninę sprzedawali tylko chrześcijanie ,co do korali jednak jestem prawie pewna,że Żydzi siedzieli w kramach.Na ogół nie było ich widać na "jurajskim" jarmarku [redacted] zupełnie.Osobną rozkoszą dla nas -dzieci - był głęboki,suchy, biały proch pokrywający plac.Szło się się po nim dużo dłużej,ni n.p. ścieżką ogrodową i okoliczność ta przewlekała słodkie trwanie użycia. Mnie na domiar przyśniwał się Egipt i pustynia a namioty z daleka przypominały " Stary Testament " Dore`go.

A potem powrót o późnym majowym,rozzłoconym zachodzie przez ogród. Niosłam w objęciach nieodmiennie : nową Margorendę,fujarkę związaną w mej wyobraźni na zawsze z malinowym wspomnieniem Balladyny, - jakiś śliczny garnuszek i pachnący miodem torę piernikówcałusków. W ogrodzie więcej teraz było starszych niż dzieci,bez pachniał a powietrzem przelatywały,niby uskrzydlone,nosowe tony harmonijek,chrabąszcze majowe, których najczęściej słabe moje oczy nie dostrzegały i tym zabawniej było uczuć taki buczący przelot mimo nosa,czy ucha. Zwykle wbiegało się jeszcze na momnet do rotundy na [redacted] kolumnach zdobnych w baranie czy cielęce głowy ,na to tylko,aby tupnąwszy o jej posadzkę, usłyszeć pod stropem znajomy figiel echa,naśladującego do złudzenia trzaśnięcie w pulchny policzek... Jarmark " jurajski" to było ostatnie silniejsze wrażenie przed wakacjami.

Po powrocie z wakacji do domu Zaduszki dopiero stawały się etapem od którego zwykło się liczyć czas. Zawsze w razie pogody brana byłam także na cmentarz. Jechało się z wieńcami i latarniami fiakrem. Bardzo pilnowałam żeby coś także trzymać,bodaj paczkę świec,gdym była mniejsza - potem nawlekałam na siebie wianek i bardzo byłam podniesiona na duchu,że go wiozę do Grottgera. Wcześnie bowiem wiedziałam kim był,że narysował wszystkie obrazy które wisiały na naszych ścianach (w salonie okrywała prawie całkowicie jedną z nich "Wojna" w pysznych zdjęciach, opodal wisiały fotografie " Lituanii) że Mama była jego narzeczoną,ale nie wyszła za niego,bo umarł na suchoty we Francji. Raz mi to opowiedziała Żana Perkowska jedna z dyniskich Mamy przyjaciółek,a potem szczegółowiej ciocia Terenia. Wiedziałam,że on sadził dąbek rosnący w drewnianym kubełku koło Mamy biurka i bluszcz,rozkrzewiony w ładną,zieloną ściankę,rozpiętą na wysokiej kratce z listewek,którą gdy przyjść mieli goście,obracało się zawsze liśćmi na pokoj.

Grottger wogóle był jedną z tych postaci, jak n.p. Marcel Maszkowski, które, choć dawno nieżyjące, były z nami stale, kochane, znajome dziwnie, wyraźne i swojskie. To też cały coroczny obrzęd zapalania świateł na ich grobach był dla mnie uroczystością, która nie powszedniała mi wcale. Wówczas małośmy jeszcze mieli " swoich" grobów. Grottger, Bolcio i Joczka, Marcel - z paletą na krzyżu. Pradziadek Leopold Wentz i jego żona, której śliczny profilek znałam z czarnej sylwetki, wiszącej nad łóżkiem cioci Tereni - byli jacyś nieuchwytni... Nie mogłam się do nich przychęcić, choć co roku paliła Mama na kamyku nad nimi światełko.

Gdyśmy przybyły na cmentarz zjawiała się zaraz stara babina - Zosia Suska, dawna służąca cioci Tereni z czasów, gdy ciocia miała pensjonat przy Pl. św Ducha i gdzie jako narzeczony Mamy bywał Grottger. Zosia, z powodu złego wzroku, nie mogła służyć i przez całe lato do jesieni posługiwała koło grobów, zamiatając, podlewając kwiatki i tym sobie zarabiała. W zimie tulono ją zawsze w jakimś klasztorze. Bardzo była miła. [redacted]. Ona zawsze szła za nami, aby pozamiatać koło grobowca, posypać piaskiem - i jej się dawało drugą świecę, aby założyła wieczorem. Mama zawsze patrzyła na nią z rozczuleniem, bo nie tylko przypominała jej dawne czasy, ale i jeden, bardzo z jej strony piękny gest. [redacted] Oto gdy Grottger umarł i wyłoniła się kwestia sprowadzenia jego trumny do Polski, w skromnym domu cioci i babci wielkie powstało zaturbowanie... Miały kapitalik, ale trudny do ruszenia natychmiast. Wtedy Zosia Suska przyszła z płaczem do babci ofiarowując swoje uskładane centy na ten cel, nim tamten fundusz się uruchomi. Nie przyjęto oczywiście tej sumki, ale wdzięczność została na zawsze. Poczciwa Zosia dawno już nie żyje i kto inny nasze groby obsypuje piaskiem.

Prześliczny cmentarz Łyczakowski bywał w tym dniu jeszcze cudowniejszy. Zdarzały się jesienie pogodne i długie i całe złoto liści trzymało się na drzewach. Kasztany zwłaszcza podświetlone mrugającymi płomyczkami, robiły wrażenie czegoś nie rzeczywistego i pamiętam, jak w takiej chwili olśniła mnie myśl, że podobnie jaśnieć musi " światłość wiekuista" tyle, że trwa jeszcze dłużej, niż ciągle.

Po zapaleniu latarni u grobowca Grottgera, po ułożeniu wianka, Mama klęcząc modliła się zwykle dłuższą chwilę, a ja ukradkiem patrzyłam to na nią, to na tę kamienną postać kobiecą na pomniku. Wiedziałam, że jest związek między obydwoma, że Mama odchodząc, pochyli się zawsze jednakim ruchem nad obrzeżem grobowca i ucałuje szorstki kamień, że na przyszły rok przyjdziemy tu znowu i znowu zapali

na pokój. (węgle

świeża

ner, bardzo piękny (

się światło. Potem szłyśmy do pradziadka Wentza, do prababki i Joczki. Zawsze mi było zawcześnie do domu. O zmroku rozmigotanym światłami, potykając się na dojrzałych kasztanach, wychodziliśmy z cmentarnego dziedzińca, aby już piechotą wracać do miasta. Trzeba było przepchać się przez podwójny strumień nadchodzących dopiero i tych, którzy już wracali. Wzdłuż ulicy Piekarskiej, ze strony prawej rozwieszone były wianki na sprzedaż, zielone całkiem i ubrane papierowymi kwiatkami - z drugiej strony jezdnej drogi, pod drzewami krzyczał, mamrotał i przygrywał długi, bury szlak stłoczonych jeden przy drugim - dziadów. Dziś nie widuje się ich na Zaduszki w takim zgęszczeniu. Może jeszcze gdzieś na prowincji - na dorocznych odpustach czy pielgrzymkach... Dziady mojego dzieciństwa to były złe sny, zbiorowisko straszydeł -podmorskie jakieś polipy, pomiędzy które - półżywa ze [redacted] zgrozy - przemykała potem moja pamięć, jak owa andersenowska wodnica między algami. Wielu z nich rzępoliło na skrzypcach, przebierało na lirze, inni tylko jęczeli, jak z czyśccowej czeluści, przewracali białkami, lub wytykali z łachmanów ręce podobne do połamanych patyków.

Raz, gdyśmy [redacted] mijały ten rozdzierający żywopłot ludzkiego cierpienia i nędzy, opowiedziała mi Mama swoją przygodę na cmentarzu przeżytą [redacted] Miała obyczaj od młodości do późnego wieku, być zawsze na cmentarzu w wieczór [redacted] Wilii nim zmierzchło i podczas Rezurekcji. Chadzała zawsze sama jedna. Właśnie w taką Wilię, gdy już szarzało i gdy stała w głębokim śniegu zapalając na grobowcu Grottgera światło, usłyszała tuż przy sobie głębokie westchnienie. Odwróciła [redacted] głowę i zamarła z przerażenia. Bez szelestu przybliżała się do niej wysoka postać, [redacted] okutana w białe draperje, z twarzą zupełnie czarną, w której tylko białka oczu połyskiwały. Zjawa dyszała i po momencie milczenia, przez którego trwanie nie rozumiem jak można było nie oszaleć ! - widmo zagadało łamaną francuszczyzną. Pokazało się że mara przynależy do goszczącej właśnie we Lwowie trupy Syngalezów, jest kobietą, której (rzecz normalna w naszym klimacie !) umarło maleńkie dziecko i jego grobku jako chrześcijanka, poszukać przyszła w ten wieczór na wielkim białym, obcym cmentarzu.

Na prawo od zakrętu, naprzeciw miejsca gdzie dziś stoi kostnica anatomii przy Szpitalu, rozciągały się wtedy (- do dziś zresztą)- rozległe błonia, na których wiosną ćwiczyło zwykle wojsko. Związane z tą wesołą porą roku, głosiły się tu wtedy hasła trąbek - podobnie jak capstrzyk związany był z bastionami Cytadeli i godziną dziewiątą wieczorem. W zimie jednak, kiedy przestrzeń tę okrył obrus śniegu, dreszcz przechodził na myśl o nieszczęsnych wielbłądach oryginała, Baworowskiego. Gdy ciocia Terenia była jeszcze malutka, pasły się tutaj, odziane w siatkowe czapraki z purpurowych i żółtyvh Sznurów. [redacted]

jeden przy drugim - dziadów. Nie widuje się międ

pobliży pomiędzy, które - pożywa ze xxxxxx zgrozy - przemykała potem moja pamięć, jak owa andersenowska wodnica między argami. Wielu z nich rzępoliło na skrzypcach, przebierało na lirze; inni tylko jęczeli, jak z czyśćcowej czeluści, przewracali biał=kami, lub wytykali z łachmanów ręce podobne do potarganych patyków.

Raz, gdyśmy xxxxxx mijały ten rozdzierający żywobyt ludz=kiego cierpienia i nędzy, opowiedziała mi Mama swoją przygodę na cmentarzu przeżytą. xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx Miała obyczaj od mło=

Na prawo od zakrętu, naprzeciw miejsca gdzie dziś stoi Kos=tnica anatomii przy Szpitalu, rozciągały się wtedy - do dziś zre=sztą - rozległe błonia, na których wiosną ćwiczyło zwykle wojsko. Związane z tą wesołą porą roku, głosiły się tu wtedy hasła trąbek - podobnie jak capstrzyk związany był z bastionami Cytadeli i godziną dziewiątą wieczorem. W zimie jednak, kiedy przestrzeń tę okrył obrus śniegu, dreszcz przechodził na myśl o nieszczęsnych wielbłądach oryginała Bakurowskiego. Gdy ciocia Terenia była jesz=cze malutka, pasły się tutaj, odziane w siatkowe czapraki z pur=purowych i żółtych sznurów. xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

Zawsze, ilekroć mijać mi wypadło to błonie przy cmentarzu, jawiły mi się owe wielbłądy, które napewno uległy temu samemu losowi, co dziecko Syngalezki.

Co krok, to jakieś ciekawe wspomnienie...Choćby n.p. wnętrze pracowni rzeźbiarskiej Juljana Markowskiego, przy ul. Łyczakowskiej - już bliżej miasta - zaludnione także nie własnym, ale Maminym przeżyciem:

Już po rozejściu się z mężem, Babcia z małą Mamą mieszkała czas jakiś w tym domu, gdzie za żelaznymi sztachetami, na trawą zarosłym dziedzińczyku, stały gotowe kamienne nagrobki. Las figur i krzyżów... Tam mieszkała też pani Laura Płażkowa, serdeczna przyjaciółka Babci i jej syn Edwin, który wraz z małym Julkiem, wnukiem właściciela domu, też rzeźbiarza Szimzera - stanowił towarzystwo Mamy, bardzo jej oddane. Zdarzyło się, że Mamie zdechł kochany kanarek a ona i obaj starsi przyjaciele, postanowili pochować uroczyście ptaszka. Wtedy Julek Markowski odbił pokryjomu na ten cel czubek gotowego już marmurowego pomnika. Skończyło się wielką skórobitnią smarkacza i znacznie upposzczonym pochowkiem faworyta.

Z tym Julkiem Markowskim miała Mama jeszcze jedno wspomnienie. Matka jego, Włoszka, chorowała na płuca i trzymało się dla niej dojną kozę dla leczniczego mleka. Koza była biała i zamknięta zwykle w komórce, rzadko i z małym zyskiem wypuszczana na chudą trawę między nagrobki, nie miała humoru, co dzieci ze zmartwieniem zauważyły. Nie wiem które wpadło na pomysł zrobienia kozie przyjemności, by jej choć w części dać złudzenie gór. Cały bowiem kozi smutek przypisany został przez dzieci tęsknocie za górami. " Przyjemność" wykonana została w ten sposób, że oboje powlekli ciężkie i niechybnie oporne zwierzę po drabinie na stryszek a stamtęd - jakimiś sobie znajomymi przejściami - na dach. Nie przewidzieli jednak, że koza - czy zainspirowana istotnie górskim położeniem okolic, w których się znalazła, czy wyprowadzona z równowagi niespodzianą gimnastyką - nie ograniczyła się do domowego dachu, ale wybierze się na sąsiedni, a potem puści i na dalsze... Dzieci nie mogąc ścigać jej po kruchych gontach przyległych domków, musiały wezwać pomocy starszych. Ta nie na wiele się przydała, bo koza nieczekając, była już na jakimś szóstym dachu i dopiero wezwany kominiarz zniósł w czarnych objęciach białą turystkę w niziny...

Długie, jesienne wieczory sprzyjały pogawędkom na wąskiej kanapce i ciocia z niewyczerpaną cierpliwością dawała mi się

zanudzać pytaniami. Domagałam się opowieści o jej dzieciństwie i o tym wszystkim, co - dzięki natarczywym moim wywiadom przeżywałam - acz z drugiej ręki.

O takiej szarej godzinie słuchało się o zasypanej Pompei, o Partenonie i lordzie Elginie, o jednym popołudniu,gdy to Sebast= ian del Piombo wezwał Michała Anioła,żeby śpieszył,gdyż w pewnym ogrodzie pod Rzymem " schodzi" jakiś marmur,który wygrzebany " zszedł " istotnie jako grupa "Laokona" znana mi doskonale z wi= zerunku i odlewu głowy u Maszkowskich na szafie... A gdy wreszcie robiło mi się za twardo pośród sławnych kamieni, prosiłam o opo= wieść o ludziach.

Zdarzało się to najczęściej,gdy Rodzice poszli gdzieś na wieczór - co w owych zamierzchłych,gościnnych czasach było dość częste - a my z Adasiem zostawialiśmy z ciocią Terenią w domu. Z początku,we troje bawiliśmy się w ulubioną " aptekę",zabawę po= legającą na zgromadzeniu wszystkich możliwych flaszek i słoików, które różni potrzebujący przychodzili potem kupować.Improwizowało się przy tym coraz to nowe typy,z tym,że kilka z nich jak :lokaj hrabiny,głupkowaty stróż i zalotna pokojowa -powtarzało się już stale... A kiedy Adaś musiał już iść spać,mnie wolno było jeszcze chwilę zostać. I wtedy to najczęściej,uproszona przeze mnie cio= cia Terenia, wołała z kuchni Józię,aby jej zdjęła z nad łóżka [redacted] " Quod libet ".

Ów"Quod libet " była to jakby płytka szuflada,nie duża, wieszana na gwoździu,jak obraz, pokryta szkłem,podobna do tych, w jakie się zamyka zbiór motyli. Dno jej wyścielone [redacted] podwato= wanym,białym atłasem,pełne było poprzyszpilanych drobiazgów,naj= przeróżniejszych pamiątek,a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień. Pomysł malujący wyraziście romantyczną epokę w której powstał,- zaczarowane,sentymantalne pudełko,dziś może [redacted] śmieszne - za pomocą którego wszakże - niech sobie kto mówi co chcę - ludzie tamtych czasów umieli chwytać lepsze chwile życia za jedno pióro bodaj, pióro wyrwane w locie i przyszpilić je do białego atłasu tak mocno,że i ja - po tylu latach - mogłam nie= jednemu się napatrzeć, niejednym się nacieszyć, niczego prawie nie zapomnieć... Pamiątki to czasem nic innego,tylko te rozbiega= jące się obręcze na wodzie,w którą wpadł kamyk... Póki drży owa najsłabsza, najdalsza - jeszcze się wie,że to ślad istnienia ja= kiejś rzeczy czy duszy, co znikła...

Quod libet cioci Tereni to był zbiór plastycznych ilustra= cji do opowiadań jej o pradziadkach, o hrabinie Moszyńskiej, o Re= verterach, malutkiej Mamie, powstaniu... Pochylona nad zatrzęsie= niem tych okruszyn, pogrążałam się ze szczętem w odległy świat młodości cioci Teresy i Babci.

Były tam mebelki dla lalek,którymi bawiła się prababka

Wentzowa,- naczyńka szklane, jak z serwisu krasnoludków, kawałek gromnicy, którą trzymano w palcach umierającego pradziadka Leopolda, karnet cioci z pierwszego balu - choć sama nie piękna ślicznie pono tańczyła -- złocony z bukiecikiem niezabudek, - płowe włoski małej Adeli Revertera, umarłej dzieckiem we Lwowie,- róża wyjęta z włosów przez Jenny Lind - tej samej z bajki Andersena - i podana przez wielkę śpiewaczkę uroczemu Teofilowi Reverterze, po jednym z tryumfalnych jej występów we Wiedniu. (Niewdzięcznik dał ją zaraz ususzyć w panieńskim quod libecie !) Była kokarda tegoż Teofila, uszyta mu przez siostry, którą nosił podczas rewolucji w roku 1848 na barykadach Wiednia, - był różańczyk z ziarnek perłopławu, pobłogosławiony ongiś przez Katarzynę Emmerich, obok ułamek mozaiki z Pompei. - pierwsza z grubego, zielonego kordonka robótka dziecinna Mamy, po której, bez mała siedemdziesiąt lat, nie spoczęły jej pracowite ręce... Był widoczek zamku Reverterów w Tollecie, namalowany akwarelą przez hraniankę Matyldę, najukochańszą uczennicę cioci i przyjaciółkę dozgonną jej i naszą - połamany wachlarzyk z miniaturą, migocący od pozłocistych pailletek po prababce Helenie.. W jedwabnym woreczku piasek z Janikulu przywieziony z Rzymu przez hrabinę Moszyńską... I z tych wszystkich okruchów układało się opowieść o czasach i ludziach, którą przypominam...

W roku 1776, -gdy młody kapitan i komendant szwadronu, baron Karol Emeryk Wentz zu Niederlahnstein i jego żona -bar. Helena Ehrenburg z domu - bawili z garnizonem w Zwichau, urodził im się - po śmierci dwu starszych dziewczynek - pierwszy syn. Staroświeckim obyczajem, który miał jakoby dziecku przynosić pomyślność - a także zapewne jako akt pokory starannie urodzonych rodziców - trzymał go do chrztu " pauper canis" ,jakiś dziadek kościelny, co w żartobliwym a nieścisłym polskim przekładzie z łacińskiej metryki brzmieć by mogło prawie jak :"biedna sobaka".

Leopold Emeryk -bo takie otrzymał imiona - gdy dorósł służył -podobnie jak jego ojciec -zawodowo w austryjackim wojsku. Zdarzyło się, że stacjonowany został ze swoim regimentem w Galicji. I tutaj - podczas jakichś manewrów, w domu Antoniny Szeptyckiej, (I-voto Jakóbowej hr. Komorowskiej)* poznał jej wychowankę, prześliczną panienkę, Polkę, Kordulę Korbacnównę. Ojciec jej Jan bar. Korbach, z niemieckiej rodziny spolszczonej zupełnie, a pochodzącej z Koblencji nad Renem, przebywał jako pełnomocnik i konfident

---

* Antonina z Werbny Pawłowskich - I-voto Jakóbowa Komorowska kasztelanowa nowosielska, matka Gertrudy Szczęsnowej Potockiej i jej siostry Korduli Teodorowej Potackiej - II-voto Józefowa Szeptycka, starościna stanisławowska.

była

Szeptyckich, [redacted] w Galicji. (Żona jego podolanka, Anna z Różyckich) W roku 1788, w Nowemsiole, we dworze byłej kasztelanowej nowosielskiej, JMP Antoniny (już podówczas Szeptyckiej) urodziła się Korbachom córeczka. Chrzestną matką jej była panna Kordula Komorowska, siostra nieszczęsnej " Marii " Malczewskiego, później Teodorowa Potocka, wojewodzina bełzka, po której ochrzczona w Kulikowie dziewczynka otrzymała imię. Po wczesnej śmierci matki, opiekę nad ~~xxxxxxxxx~~ sierotą objęła pani Szeptycka i Potocka. Rozpieszczona, mało praktyczna, ale słodka i bardzo zdolna i piękna panna, oczarowała z miejsca młodego kapitana. Zakochał się do bezpamięci - ona nawzajem. Z rodziny kapitana żyły tylko jeszcze dwie siostry rodzone, próżne i obstarnie : ~~xxxxxx~~ Aloyzya- stara panna kanoniczka, dama gwieździstego krzyża na Hradczynie nazywana przez rodzinę Louisą , - i druga, Charlotta, radczyni Jordanowa. Damy ~~xxx~~ te, liczące na to, że brat-jedynak utrzyma się na wysokości obowiązków i zrobi marjaż co się zowie - wpadły w szał ! Nie dość, że bez posagu, ale - Polka ! Tego było baronessom za wiele. Rozpętała się między Pragą a Lwowem złowroga korespondencja - nie mniej końcowym efektem wszystkiego było skwitowanie z wojskowej karjery pradziadka i ślub z Polką, -który się odbył w roku 1813, pod patronatem pani wojewodziny bełskiej. Lamentu barones w Czechach nie było we Lwowie słychać.

Tymczasem kapitan został skromnym urzędnikiem i jak na złość radczyni i kanoniczce, -zamiast syna- rodziły się same córki. Choć ciasno im było wielce, choć nadęte ciotki odzywały się czasem z urąganiem lub nieproszonym współczuciem, w domu Wentzów było jednak pogodnie i pradziadkowie czuli się bardzo szczęśliwi. Prababka odważnie dźwigała obowiązki do których jej nie włożono w młodości. pradziadek wesołym humorem pokrywał niechybną gorycz starego wiarusa Napoleona, córki uczyły się żarliwie i bardzo wcześnie. W najlepszym wówczas zakładzie naukowym dla dziewcząt, Szkole ~~xxxxxxxxxxxx~~ przy klasztorze Wszystkich Św , we Lwowie, kończyła pierwsze studia ciocia Terenia, co przyświadcza przełożona tego zakładu, matka Józefa Kuhn, w r 1827.

Ciocia opowiadała mi jak wracając raz - o ile pamiętam w ~~xxx~~ roku 1825 z egzaminu w klasztorze, przepasana błękitną wstęgą premiantki ze srebrnym medalem na szyi i trąbą świadectwa w ręce - przechodziła Rynkiem. W tej-że samej chwili zachwiała się wieża starego ratusza i nim ciocia zdążyła krzyknąć, runęła w dół. Straszne to miało być widowisko, spotęgowane grozę obawy o ludzi, którzy mogli poginąć. Tymczasem podobno nie zginął n i k t, gdyż godzina była południowa i urzędnicy porozchodzili się do domów. Jedna tylko mała córeczka strażnika, którego obowiązkiem było -wypatrując ognia po dachach - dawać sygnał pożarowy i wygwizdywać donośnym

gwizdkiem godziny (zegara widocznie nie było) -zastępując ojca wybiegła na wieżę,aby "gwizdnąć" pierwszą -ale już nie zdążyła! Z lawiną gruzów osunęła się w dół i osiadła jak w żlebie bez przytomności. Znaleziono ją zdrową,ale oniemiałą na czas dłuższy z przestrachu. Nie wiem ile razy kazałam sobie tę chwilę opowiadać i - mijając nasz szkaradny,kochany,nowy ratusz zawsze podejrzliwie podnosiłam głowę,czy się wieża nie chwieje...

Prababka Wentzowa,której czarną sylwetkę razem z sylwetką pradziadka i miniaturą Korbachów darowałam Leli do Medyki - była długo bardzo piękna. Brunetka,o granatowych jak Babcia oczach i do śmierci olbrzymich włosach,przy których jej drobna,misterna twarz wyglądała zawsze jeszcze drobniejsza. Osobliwszym nabożeństwem otaczała św. Antoniego,w którego parafii pradziadkowie mieszkali i którego imię nosiła pani Komorowska,bardzo czule przez prababkę kochana. Oboje mieli być przedobrzy i przemili,gdyż żadna z córek do starości nie mówiła o nich obojętnie

Ciotki Mamine bardzo nierównomiernie los uposażył. Celina i Teresa były w równym stopniu brzydkie,co Kordula (nazywana potem Kordelią) i Eliza piękne. Ale,z rzadką losu galanterią,nagrodzone to zostało dwom brzydkim większymi bez porównania zdolnościami. Umysł cioci Tereni był jeszcze w późnej starości zdumiewający pamięcią,bystrością sądu,potrzebą zdobywania wiedzy dla siebie i podawania własnej drugim. W mniejszym stopniu,ale także bardzo zdolna i wykształcona była Celina,zamężna wcześnie a nieszczęśliwie za zamożnym ale rzekomo nieznośnym Augustem Schally na Bukowinie. Dwie piękne natomiast,Babcia i Eliza - może dlatego,że nie kształcono ich systematycznie,a środowisko w którym po śmierci rodziców żyć im wypadło, traktowało je w swym pobliżu raczej jako motyw zdobniczy i troszczyło ich przysposobienie do życia nie brało zbyt poważnie - zatrzymały się na poziomie jakby naiwnego dzieciństwa - jedna słodka i cicha - druga żywa i ruchliwa jak wrzeciono,nie umiejąca słuchać hrabiny Moszyńskiej,ich kapryśnej opiekunki - były obie dalekie od nieporównanego umysłu cioci Tereni.Wszystkie cztery za to stały się najżarliwszymi patriotkami polskimi, naprzekór wszystkim przodkom i ciotkom.

Oprócz tych głównych biograficznych szczegółów,mało co wiem niestety o obojgu pradziadkach. Po za tymi głównymi danymi,zachowała tradycja ustna tylko jedno zajście z młodości pradziadka gdy był młodym oficerem stacjonowanym w Linzu.

Oto po weselu któregoś z kolegów, jeszcze z bukiecikami przy mundurach,poszła wesoła kompania nad ranem do jakiejś knajpki...

Zapóźno bowiem i zawcześnie było do domu... Wtedy, pośród najweselszej zabawy, pradziadek uświadomił sobie, że ma na kwaterze gościa, jakiegoś kuzyna, przybyłego do Linzu, którego zostawił u siebie, zamkniętego na klucz, aby go nie budzić za powrotem. Przypomniał sobie, że gość ma wcześnie rano złożyć w banku jakieś pieniądze i nie będzie mógł wyjść przed jego powrotem. Wstał tedy i mimo zatrzymywań rozbawionej gromady, wyszedł. Była zima, śnieg obfity, na chmurynm niebie księżyc, więc prawie widno... Pradziadek szedł środkiem ulicy, w rozpiętym na piersiach płaszczu, z pod którego wyzierał bukiecik weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą - najwyraźniej - samego siebie ! W płaszczu rozpiętym na piersi, z bukiecikiem przy mundurze, wpatrzonego samemu sobie w twarz i kroczącego wprost na siebie - pustą, szarzejącą ulicą. Ujrzał swego sobowtóra i tyle tylko zdążył jeszcze zauważyć, że bukiecik weselny miał ów sobowtór przypięty widocznie z przeciwnej strony, niż on sam, bo gdy się zbliżył, stanął nagle jak przed odbiciem w lustrze.

Zmartwiał z przerażenia, a potem - bez namysłu - zawrócił i pędem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki, gdzie całą kompanię zastał jeszcze przy kuflach ... Długo trwało nim złapał dech by opowiedzieć kolegom niesamowite przeżycie. Rzecz prosta - posypały się żarty na temat zaprószonej głowy weselnika, docinki od oficera, który splamił się ucieczką przed strachem - wreszcie wszyscy, ilu ich było, kiedy już świtało - postanowili tą samą drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek w którym mieszkał stał już prawie za miastem. Jasno już było kiedy dochodzili pod adres i zdala już zastanowił pradziadka widok nawpół uchylonych okiennic parterowego okna, które wychodząc wieczorem zostawił napewno zamknięte. Widocznie kuzynek, nie mogąc się wydostać z zamkniętego mieszkania skorzystał z niskiego okna, które zostawił potem niedomknięte... Dziadek szybko sięgnął po klucz. Klucza w kieszeni nie było ! I dopiero wtedy uświadomił sobie jasno, że kiedy z kolegami wchodził pierwszy raz do knajpki, coś brzękło na kamiennym jej progu. Widocznie klucz ! Zdumienie ich wzmogło się jeszcze, kiedy także drzwi do kwatery dziadka zastali otwarte. I tu straszny widok uderzył ich na wstępnie ! Obok kanapy, na której posłano gościowi, leżał nieszczęsny kuzyn z rozłupaną głową, a kałuża krwi sięgała progu.... Widok ten prześladował pradziadka do śmierci. I do śmierci wierzył, że gdyby nie ów Sobowtór, który go z drogi zawrócił, byłby niewątpliwie zamordowany przez rabusiów razem z tamtym. Rzecz nie wyjaśniła się nigdy. Do dziś też zostało tajemnicą, dlaczego - skoro drzwi były z klucza odemknięte - klucz tkwił w zamku nie od zewnątrz, tylko od środka pokoju.

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna, gdy w r.1831 umarł pradziadek Leopold. Rada nie rada przygarnęła Kordulę do

do swego domu hr. z Moszyńskich Fryderyka, ~~Fryderykowa~~ Moszyńska córka również Fryderyka (!) magnatka, dziwaczka od wczesnej młodości, wnuczka dworaka z sasko-augustowskich czasów, właścicielka niesłychanych obszarów w Galicji i na Podolu, nie żyjąca z mężem, bezdzietna i - mimo bogactw i niezależności - uczuciowo bezdomna. Przez wojewodzinę Potocką znała romantyczną dolę Wenzów i po śmierci ojca uważała za właściwe pomóc bodaj jednej z pięknych utytułowanych dziewcząt. Wybrała najpiękniejszą - Fordulę, moją Babcię. Czy miała szczęśliwą rękę - nie jestem pewna. W jej domu poznała się z czasem Babcia z moim dziadkiem, a hrabina - choć bardzo marjażowi temu przeciwna - nie zdołała mu niestety zapobiec. Celinę i Elizę kształciła też swoim kosztem w jakichś "Stiftach", ale nic bliższego o tym okresie nie wiem. Obie - i Eliza i Celina bywały zapraszane na wakacje do Hrabiny, które zwykle w Kozowie spędzała.

Babcia rosła tedy w zbytku ogromnym. Pani Moszyńska zajmowała we Lwowie dom, w którym się dziś mieści Hotel Europejski, zapełniając go cały swoim dworem, szatnią, stajniami, służbą złożoną wyłącznie z Kozaków, w barwie - tylko, jakoże do osobistej usługi nieznosiła mężczyzn, obsługiwana była przez dziewczęta i to niebieskookie blondynki. Innych bała się. Była osobna panna do straży nad srebrem, inna czuwała nad porcelaną... Co jakiś czas zjeżdżali się z dóbr odleglejszych oficialiści z raportami, co jakiś czas przywoził kozak stamtąd baryłki grzybów, zalanych masłem, pod którymi taiły się warstwy dukatów... Taki fortel na ówczesnego, naiwnego, jak jagnię, bandytę... Czasem jeździła na inspekcję folwarków, przy czym jej zwykle Babcia, faworytka coraz większa, towarzyszyła. W Kozowie, jednym z majątków hrabiny, witał je zawsze w progu dworu zaufany urzędnik Knoff, we fraczku i z rożenkiem, w pluderkach i białych pończochach, z harcapem i peruką ułożoną nad uszami w trzy podłużne rulony, w każdym zaś rulonie, jeśli to było latem, tkwił przewleczony długi pąsowy goździk - kwiatem przy obliczu, ogonem ku plecom...

Opowiadano też o nim, że raz, mając wyjechać naprzeciw pani Moszyńskiej, gdy z powodu zbyt obcisłych, jedwabnych kiulotów w żaden sposób nie mógł usiąść w karecie, pojechał leżąc ~~wzdłuż~~ w poprzek na kolanach dwu siedzących w jej głębi hajduków, w pojeździe otwartym naprzestrzał, któremu z jednych drzwiczek wystawała biała peruka, z drugiej czarne, o lśniącej klamrze i czerwonym obcasie trzewiki...

Podróże hrabiny po jej włościach odbywały się oczywiście trenem powozów i bryk z pościelą, serwisem, gotowalnią i ołtarzykiem polowym, z kucharzem i kapelanem, doktorem i czasem z jakimś artystą cudzoziemcem, gdyż hrabina wielbiła artystów i gdy się

trafił dramatyczny, nieraz na popasie w szczerym polu, kazała mu deklamować jakiś czuły lub bohaterski utwór.

Hrabina Moszyńska była jednym z tych niepowtarzalnych (już dziś) typów, w jakie czasy owe obfitowały. Bogata, samodzielna, nie pogłębiona wykształceniem, głucha na całe gamy tonów, z których harmonia życiowa dojrzałego człowieka się składa, bezdzietna, idąca wyłącznie za impulsem fantazji, czy sentymentu, dobra dobrocią istot bezmyślnych, nieobliczalnych, dziwaczejąca z wiekiem coraz bardziej, nie mająca nikogo, ktoby jej zwrócił uwagę na to, że nie każdy dobry uczynek ma sens, że nie dość rzucić garść złota, aby się stało coś pięknego i rozumnego... W stosunku do mojej Babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i kogoś, kto życie sieroce raczej popsuł, niż zabezpieczył.

Rosła Babcia w niepedagogicznym zbytku - słodka, bierna, strojona i psuta, z nóżkami stale w atłasowych lub prunelkowych płytkich ciżemkach, w sukniach wyciętych zimą i latem, z krótkimi rękawkami, czesana przez pannę służącą, znająca miasto wyłącznie z głębi powozu (gdyż ani hrabina ani Babcia nie chadzały piechotą...) lub z loży cowieczornej. Stałego teatru Lwów ówczesny nie miał, gościli tylko przygodni aktorzy, wraz ze swoim zespołem, opera, komedia - wszystko to " dojeżdżało" tu tylko ze świata. Hrabina zaś namiętnie kochała teatr i stale dopiero po " spektaklu" siadało się u niej do obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przybyłych artystów siadał razem. Dla sławniejszych wydawała rauty i miała obyczaj obdarzać ich kosztownymi upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Franciszka Liszta, którym cała elita Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie "tout Léopol " zjawił się u pani Moszyńskiej. Po obiedzie Liszt grał, że zaś obecni byli Hr. Reverterowa, rodzina przyjaciół hrabiny - ukochanych przez nią - i (młoda Antoniowa Revertera z domu von Hartmann) śliczna i przecudnie muzykalna, śpiewała (jak wytrawna artystka - miał i Liszt niespodziankę, jakich rzadko doświadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instrumentu, podeszła do niego Babcia - w białej sukience, w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych, gładko na policzki przyczesanych włosach - cudna też pono jak zjawienie - i na dany przez hrabinę znak podała Lisztowi na białej atłasowej poduszce pyszną szpilkę z ~~ogromnym brylantem~~ szafirem otoczonym brylantami.

Wykształcenie Babci odbywało się całkiem bez programu. Pani Moszyńska wymagała umiejętności języków dla głośnego czytania

książek, które nabywała cetnarami, więc miała babcia metrów francuskiego, włoskiego, angielskiego, ale nauka bez stałej konwersacji szła powoli i skutek był ten, że Babcia tylko po niemiecku i po francusku mówiła doskonale, - po polsku najsłabiej. Ćwiczeń na fortepianie hrabina nie znosiła, więc nie było mowy o nauce muzyki, dopiero wspólna nauka z młodzieżą hr. Anny Revertera podłożyła jakiś fundament pod babcine wykształcenie. Nigdy jednak nie mogło się ono równać z tym, co zdobyła ciocia Terenia i Celina. Zadaniem Babci, jak zwykle takich istot służących obok papug i piesków za rozrywkę starym, zdziwaczałym oczom, był obowiązek - ciągłej obecności, ładnego wyglądania, gładkiego ułożenia, płoszenia nudy, czającej się we wszystkich kątach. . Hrabina sypiała do południa. Póki spała musiało być w domu cicho jak makiem siał. W południe piła śniadanie, około czwartej się kąpała - wlewając codziennie do wanny flaszkę wódy kolońskiej - potem ubrana jechała z Babcią na spacer lub sama z wizytami. . Około szóstej drugie śniadanie, potem teatr lub koncert i obiad o północy.

Mimo dziwactwa, a może właśnie dla niego, była pani Moszyńska lubiana przez swoich podwładnych. Nikt nie mógł przewidzieć, co w danej chwili zrobi lub powie. Rozmyślnie nie wyrządziła nigdy nic złego nikomu. Wspominała Babcia różne nazwiska jej oficjalistów, uposażonych świetnie, traktowanych familjarnie, sadzanych do stołu obok siebie, zabieranych nieraz do loży. . Rodzina Babeńczuków zwłaszcza, honornej, kresowej szlachty i żona jednego z pełnomocników w dobrach podolskich hrabiny, pani Rogoyska, zażywali specjalnych względów. Pani Rogoyska miała być uroczą, popielato-złotą blondynką, którą mi Babcia opisywała w jubce z rubinowego adamaszku, obszytej wokół sobolami. Kunsztownie haftowała i angażowana bywała do białego haftu, gdy hrabina sprawiała sobie nowe tuziny bielizny, będącej największym, osobistym jej zbytkiem. W gorąco miała pani Moszyńska zwyczaj chodzić cały dzień po swoich apartamentach w długiej, batystowej koszuli, co przy wyłącznie niewieściej obsłudze w pokojach, było raczej cudaczne, niż gorszące. W pokoju, przy zapuszczonych do zachodu storach było ciemnawo i godzinami w tym pół-mroku musiała Babcia czytać głośno, podczas gdy hrabina rozcinała nowe tomy zagranicznych nowości, złożone w jej salonie pod ścianą w wysokie stosy.

Mało kto by się domyślił, że swatką Babci z moim dziadkiem była teatralna mania hrabiny. Ale muszę zacząć od samego początku:

Zbiegł z Francji w czasie rewolucji niejaki Jacques Monné de la Tour i oparł się na południowych Węgrzech. I tam...

Ale nie ! Myślę, że będzie najprościej, jeśli przytoczę tu ustęp o awanturniczej młodości syna owego Jacques`a - Józefa Monné, mego pradziadka - ustęp z zapisków mojej Mamy, odnoszących się między innymi do znanych jej z opowiadań szczegółów o rodzinie jej ojca. 64 55

...... " Dziad mego ojca był francuskim emigrantem z 1793 r. Ze swym dziesięcioletnim synem, Józefem, uszedł na Węgry i tu, z niedobitków fortuny zakupił posiadłość ziemską, której główną intratę stanowiły obfite winnice. Skołatany politycznymi przewrotami żył zaledwie parę lat - samotnie - nie nawiązując stosunków, do czego brak znajomości języka węgierskiego niemało się przyczyniał. Gdy umarł syn jego Józef miał lat około siedemnastu. Był to chłopiec szczególnej urody, talentów wielkich i fantazji, tłumionej jednak całe życie przez ojca w rygorze trudnym dziś do uwierzenia, w przymusie do pedantycznej nauki i (to) w osamotnieniu niemal zupełnym. Prócz przebywających stale w domu metrów Francuzów - nie znał nikogo. Niedziw więc, że po śmierci ojca - która nastąpiła nagle pono na skutek apopleksji - chłopiec oswobodzony od płatnych opiekunów - uczuł się jak tabun spuszczony z dotychczasowego wędzidła ! Sprzedał za bezcen ojcowiznę i puścił się w świat - na oślep - bez celu. Znamiennym jest to, że dziadek, żyjąc sporym już chłopcem przez siedem lat na Węgrzech, tak dalece nie znał miejscowego języka, tak był odcięty od stosunków z ludźmi, że - po odpędzeniu swych pedagogów - z nikim rozmówić się nie mógł. I wtedy to podobno pierwszy raz po śmierci ojca - zapłakał.

Przygody życia mego dziadka, którego znałam starcem pięknym i dystyngowanym - były jak fantastyczna opowieść... Znalazłszy się sam na świecie, postanowił wrócić do Francji, odszukać i odnowić stosunki, zbliżyć się do rodziny... Nie udało mu się to z dziwnych, awanturniczych powodów... Oto jadąc powozem przez Niemcy, spotkał szereg bryk i mijając je posłyszał rodzimą mowę ! Zatrzymał się natychmiast, a dowiedziawszy się, że była to trupa wędrownych aktorów - przystał do nich odrazu, przyciągnięty w dodatku urokiem pierwszej bohaterki... Jak chętnie został przyjęty łatwo sobie wyobrazić, gdy się zważy, że miał przy sobie owe grubsze, za sprzedane winnice otrzymane pieniądze. Z tym też towarzystwem włóczył się po świecie przez całe dwa lata, bogate w rozmaite doświadczenia, które mu w końcu, jako jedyny kapitał pozostały... Wyczerpanie zapasu pieniędzy zmusiło go do opamiętania. Dotąd grywał małe rólki, śpiewał w wodewilach, malował kulisy, grał na wszystkich możliwych instrumentach, nawet gdy wypadło ~~xgrxwaxx~~ odtwarzał role kobiecę - sypał pieniądzmi i doskonale się bawił. Gdy jednak pieniędzy zaczęło brakować, uświadomił sobie wreszcie, że zwykle śpiew jego przynosił mu najwięcej oklasków i postanowił uczyć się go na serio, choć z żalem rozstawał się równocześnie z dotychczasowym trybem życia i swoją znajomą trupą. Śpiewu uczył

się w Paryżu i jakoś niebardzo długo potem był już stypendystą kon=serwatorium w Mediolanie. Głos miał mieć zachwycający, co przy nie=pospolitej urodzie i wspaniałej postawie, otwierało przed nim duże możliwości. Wiem n.p. że szczególniejsze powodzenie trzymało go przez parę lat w Londynie i że śpiewał często na gościnnych występach w Moskwie i Petersburgu. ..."

Wszystkie te szczegóły Mama musiała znać z rodzinnej tradycji a niektóre - oczywiście w " wydaniu dla dzieci "- słyszała [redacted] wprost od dziadka. - Pan Józef, ustatkowawszy się i ożeniwszy - (żoną jego była lwowianka, Anna Rzepczanka, córka zamożnego metra muzyki i miał z nią czterech synów) stał się z czasem rodzajem impresaria w lepszym stylu, a założona przez niego trupa, której był dyrektorem miała doskonałą markę. W tym też charakterze przebywał Józef Monné we Lwowie. Szereg przedstawień przez niego urządzanych zainteresowały hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem i zaczęła go zapraszać. Dowcipny i obyty Francuz przypadł jej do gus=tu niezmiernie, tak że najstarszego z jego synów ,Karola -bardzo zdolnego i urodziwego -zaczęła protegować, wreszcie kształcić włas=nym kosztem. - Oczywiście, z biegiem czasu, nie mogło się było obejść bez zapoznania się obojga pupilów hrabiny -tegoż Karola Monné i mojej Babci - i - jak się rzekło - wyniknął z tego marjaż nie=szczęśliwy strasznie, zwłaszcza dla Babci, która całe życie nie po=dźwignęła się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostat=niego tchu kochanym. Z mężem nie była nigdy rozwiedziona, ale go opuściła własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki za ciężkiej. Mieszkała najpierw sama, z małą Mamą, następnie u siostry, Teresy, później u siostry Celiny, potem w domu moich rodziców, lub [redacted] na Storożce. W roku 1901 życia dokończyła.

Józefa Monné, swego dziadka, pamiętała Mama dobrze. Staruszka tego bardzo mile wspominała. Na młodym gospodarstwie jej rodziców ojciec mego dziadka mieszkał razem. Nosił długie włosy, były srebrne zupełnie, niesforne i bardzo Mamę inspirowały. Wolno jej było sta=wać na fotelu za plecami dziadka, brać grzebień i rozczesywać je, " byle bez pomady! ", jak zastrzegał, gdyż mała, mając trudności z ich ułożeniem, miała zwyczaj pluć na grzebień... Dziadzio malował dla niej bardzo zręczne dekoracje, panneaux na ściany i dobrotli=wie odnosił się do wnuczki. Wycinał i kolorował dla niej małe la=leczki, które stały się z czasem protoplastami dość rozpowszechnio=nej rodziny niejakich Pinkasów, ale o tych kiedyś później...

Własnego natomiast ojca bała się Mama jak widma.

de la To ...zu i jakoś nieuerdzo długo potem był już stypendystą kon=
kied wir ...m w Mediolanie. Głos miał mieć zachwycający, co przy nie=
człowiek ... urodzie i wspaniałej postawie, otwierało przed nim duże
umknął z... . Wiem n.p. że szczególniejsze powodzenie trzymało go
Umarł na ... lat w Londynie i że śpiewał często na gościnnych występ=
Ów tymcz ... kwie i Petersburgu. ..."
w koredj ... _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _ _

malował ...stkie te szczegóły Mama musiała znać z rodzinnej tradycji
fortepi ...re - oczywiście w " wydaniu dla dzieci " - słyszała mo...
się o t... dziadka. - Pan Józef ustatkowawszy się i ożeniwszy -
aktorów ... była lwowianka Anna Rzepczanka, córka zamożnego metra
ratkerz ... miał z nią czterech synów) stał się z czasem rodzajem
wieś pr...a w lepszym stylu, a założona przez niego trupa, której był
znajom... m miała doskonałą markę. W tym też charakterze przebywał
ciepły i ...nó we Lwowie. Szereg przedstawień przez niego urządzanych
był już ...owały hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem i
i miał... o zapraszać. Dowcipny i obyty Francuz przypadł jej do gus=
proteg...ierne, tak że najstarszego z jego synów, Karola - bardzo
ale ni... i urodziwego - zaczęła protegować, wreszcie kształcić włas=
biny, ...tem. - Oczywiście, z biegiem czasu, nie mogło się było
wynik...ez zapoznania się obojga pupilów hrabiny - tegoż Karola Monné
Babci, ... Babci - i - jak się rzekło - wyniknął z tego mariaż nie=
człowi...wy straszne, zwłaszcza dla Babci, która całe życie nie po=
była w...a się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostat=
umieść...nu kochanym. Z mężem nie była nigdy rozwiedziona, ale go
... własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki za ciężkiej.
Mama ...a najpierw sama, z małą Mamą, następnie u siostry Teresy,
Celiny ...u siostry Celiny, potem w domu moich rodziców, lub ...
wreszc...żce. W roku 1901 życia dokończyła.

...Józefa Monné, swego dziadka, pamiętała Mama dobrze. Staruszka
ruszk...rdzo mile wspominała. Na młodym gospodarstwie jej rodziców
rodzic...mego dziadka mieszkał razem. Nosił długie włosy, były srebrne
były s...,niesforne i bardzo Mamę inspirowały. Wolno jej było sta=
jej by...otelu za plecami dziadka, brać grzebień i rozczesywać je,
czesyw...ez pomady! ", jak zastrzegał, gdyż mała, mając trudności z
trudno...eniem, miała zwyczaj pluć na grzebień... Dziadzio malował
bień.. ...j bardzo zręczne dekoracje, panneaux na ściany i dowcipi=
ściany ...osił się do wnuczki. Wycinał i kolorował dla niej małe la=
dla ni...tóre stały się z czasem protoplastami dość rozpowszechnio=
dość r...ziny niejakich Pinkasów, ale o tych kiedyś później...
kiedyś ...anego natomiast ojca bała się Mama jak widma.

Bała się nawet wszystkiego,co miało z nim związek. Choć była wtedy malutka, czuła krzywdę matki i,jak sama opowiadała, ze wstrętu do ojca przeskakiwała zawsze kwadraty posadzki w bawialni,po których zwykł się przechadzać. Byle nie tknąć miejsca, które jego podeszwy dotknęły ! Gdy w sąsiedztwie,dziewczynkom z którymi się często bawiła,umarł ojciec i dzieci, rozpaczając za nim, zaczęły pisać"do Nieba" listy do Tatusia (żałosną skrzynką pocztową były im paszcze dwu kamiennych lwów w ogrodzie...) powzięła Mama dla towarzyszek rodzaj ~~xxxxxx~~ wzgardy za to,że mogą tak dbać o ojca,który wedle jej pojęć był jedynie strachem i zgrozą. Jakżeż jednak mogło być inaczej?

Dziadek mój posiadał jakąś prześliczną szpicrutę z rączką wysadzaną turkusami ~~xxxxxxxxxx~~. Przedmiot ten leżał czy wisiał gdzieś wyżej,niż go dziecko mogło dosięgnąć. Podobał się jednak tak bardzo,że czy wprost czy za pośrednictwem Babci napierała się bliższego z nim zapoznania. Dziadek mój zawołał wreszcie małą, ~~xx~~ zdjął pożądany objekt z gwoździa czy z półki i kazał jej położyć obie rączki na brzegu stołu.Nim przewidzieć zdążyła co nastąpi, ojciec trzasnął ją z całej siły po leżących ufnie małych rączynach...Taki był dowcip...

Wspominała też Mama inny, równie chyba okrutny. Oto raz,gdy mała migała palcem poprzez płomyk świecy,ucieszona że to nic nie parzy i że to tak można - ojciec, zaszedłszy ją raptem od tyłu,chwycił i ~~xx~~ siłą przytrzymał jej rękę nad świecą ! Jeśli to miał być chwyt pedagogiczny,mający na celu oduczenie dziecka na zawsze " igrania z ogniem " trudno nie oniemieć z osłupienia nad taką pedagogią !

W pokoju Dziadka stała wielka szafa z książkami,zasłonięta czterema,luźno wiszącymi,chińskimi smokami, haftowanymi na zielonawym jedwabiu. Były to stylizowane sępie,o ślepiach wytrzeszczonych, całe ~~xxxx~~ nastroszone jakby złotymi płomykami - pyszne i w ruchu i w kolorze. Pochodziły z Drezna, z okresu,gdy król August urządzał słynny chiński pawilon. Darowane zostały przez Aurorę Koenigsmark (a może Cozel? dziadkowi ~~xxxxxxxxxx~~) hrabiny Moszyńskiej,ta zaś darowała je Babci.

Mama, tak się bała ojca, jego szafy z książkami i tych wydymających się przy każdym otwarciu drzwi, haftowanych straszydeł,że raz, zakradła się z nożyczkami do pokoju, wsunęła się pod firanki, aby nie widzieć z bliska wytrzeszczonych oczu i zawsze jakby żywego oddechu złocistych gadów i - tnąc od lewej strony długo i cierpliwie, spruła i pocięła w kawałeczki trzy znienawidzone, drogocenne ~~xxxxxxxxxx~~ hafty... Owa sławetna,wysadzana turkusami szpicruta ~~xxxx~~ dziadka została dnia tego ponownie zdjęta z półki... Zostawiła na

obu rękach uparcie milczącego dziecka ciemne, krwawe pręgi. (wiem o tym z relacji mojej Matki) Ostatni, cudem ocalały haft wisi dziś w salonie na Zaświeciu)*

Dziadek mój był jednym z tych ludzi, dość częstych zresztą którzy są wręcz kim innym dla domu, a innym wobec ludzi. Towarzysko pono czarujący, miał mnóstwo przyjaciół (przyjaciółek niestety także) śpiewał dobrze przy akompaniamencie gitary, patriota, należał do wszystkich związków i robót narodowych, w zawodzie swoim wykształcony (studiował za granicą) miał nazewnątrz opinię człowieka- obywatela bez zarzutu. Mam wrażenie, że umysł jego był głębszy i bardziej lotny od babcinego. Na tym jednym punkcie s skłonna ~~jestem~~ ~~za~~ ~~i~~ ~~uznaczę~~ byłabym go usprawiedliwić, naturalnie do pewnej granicy. Okoliczność ta nie usprawiedliwiała ~~xxx~~ absolutnie cynizmu i formy w jakiej zaczął żonę zdradzać i życie swe dalsze urządził.

Od pierwszej niemal chwili pobrania, był Babci niewierny. Kochliwy, raczej wrażliwy na kobiety, miał stosunki na wszystkie strony. Z czasem żony podwładnych były jego przyjaciółkami, zwłaszcza ładniejsze. Mama z dzieciństwa zapamiętała Babcię niemal zawsze zapłakaną.

Kobieta, która była powodem ostatecznego rozbicia ~~xxxxxxx~~ małżeństwa Babci, była narzeczoną młodszego brata mego dziadka, kapitana Albina Monné. W parę lat po pobraniu się dziadków Albin zaręczył się z panną Przybysławską. Jasna, różowobiała panna "Johańcia " bywała też w domu braterstwa narzeczonego i często w czułych do niego listach, znaleść można było do tego podobne dopiski :

" Pani Monnowej powinszuj. Wszystko dobre jej ~~żyxxxxxx~~ życzę z duszy. Żeby ją Pan Bóg pocieszył tak jak ona mnie, bo przez nią wiele dobrego doświadczyłam..."

Aż raz zobaczyła mała Mama, jak panna Johańcia włóczy się na kolanach za cofającą się i zgarniającą fałdy sukni Babcią - szlocha i o coś błaga...

We wiele lat później dowiedziała się od cioci Tereni o ~~xx~~

*)

==

Smoki te musiały istotnie mieć w sobie coś fascynującego. ~~Przxx~~ Przeszło pół wieku później, podobny los omal że nie spotkał i tej ostatniej z ocalałych sepii...i to znowu z ręki dziecka. Dzieci nazwały ją sobie "Furia" a mała Lela tak się jej bała że starszy od niej Julek zdobył się na rycerski, acz równie niszczycielski gest i wystrzygł oczy haftowi. Uszkodzenie naprawiła po mistrzowsku panna Strowska, czyli Panomcia, czyli Dziudzio - opiekunka i wychowawczyni całej zaświeckiej piątki i złocista " Furia", na podmorskim, seledynowym tle zwietrzałego jedwabiu, aż do wybuchu wojny w r.1939 - wiała się strzępiatą smugą na ścianie hall`u "nowego Zaświecia".

powodzie
właściwym ~~podłożu~~ tej sceny: Dziadek mój uwiódł narzeczoną brata, która w rozpaczy prosiła żonę uwodziciela, aby skutki wzięła na siebie. Babcia, zabardzo zaskoczona i zanadto młoda i rozmiłowana w mężu, nie była zdolna wysłuchać prośby panny Johańci, czym równocześnie wydała wyrok na siebie. Dziadek przeniósł się ze Lwowa na stałe, zamieszkał bez skrupułów z panną Przybysławską i miał z nią 14-cioro dzieci. Ślub jednak wzięli dopiero po śmierci Babci w roku 1901, w Przemyślu. Zdradzał i ją gdzie się dało, tyle, że ona była wytrzymalsza od Babci, która cicha i złamana, zapadła w cień na całe życie. Kochając tego złego człowieka, nie mówiła o nim prawie nigdy, ani się tym mniej nigdy nie skarżyła sama.

Najpoczciwsza ciocia Terenia rozejrzawszy się wówczas w położeniu, wzięła sama ~~xxxxxx~~ w ręce losy siostry i Mamy. Babcia ani energiczna, ani praktyczna nie była nigdy, u samego wstępu do życia ugodzona okrutnie, ~~xxxxxx~~ tym bardziej apatyczniejsza ~~mniej~~ jeszcze zaradna się stała. Ofiarny poratunek Cioci umożliwił im obu egzystencję spokojną i uwolnił od poniewierki.

Dziadek interesował się jednak Mamą, próbował podtrzymać z nią stosunki, do których jako nie rozwiedziony mąż jej matki, miał prawną swobodę. W skutek tego jawił się czasem w Zakładzie cioci Tereni. Skrępowanie stałe obu stron cechowało te rzadkie widzenia. Czy co materialnie pomagał w owych czasach żonie nie wiem, ale wątpię aby to mogło w ich położeniu coś ważyć jeśli by nawet-tak. Od czasu do czasu obdarzał córkę czymś modnym i ładnym. Wiem też że zawsze, ilekroć rozmowa zeszła na drażliwe tematy, podkreślał z wielkim naciskiem, że nie on usunął się pierwszy, ale Babcia dom jego opuściła. Było to prawdą - ale jakże zrozumiałą !

Dziadek był na ślubie moich rodziców a potem parę razy jeszcze na ich gospodarstwie. Przy jakiejś niewiadomej mi bliżej sprzeczce na temat herbarza Paprockiego, leżącego u Ojca w pracowni, co dało asumpt do dyskusji politycznej, tak gorącej, że zakończonej pono ciśnięciem przez dziadka książką tą o podłogę - urwały się nawet te, i tak już znikome, stosunki na zawsze.

Widziałam dzieckiem w przejeździe do Krakowa dziadka mego na dworcu w Przemyślu. Pokazała mi go Mama oknem wagonu. Był niski ubrany w czamarę burą z barankiem i granatową rogatywkę. Już siwy podobny wielce do Mamy, z głową jakiegoś dygnitarza z czasów księcia Alby, domagającą się białej kryzy i czarnych aksamitów.

Mam u siebie dwa wizerunki dziadka Monné. Jeden - modelowany przez Mamę medalion, profil w czapce barankowej, drugi - rysunek ołówkowy Tatka, nie licząc kilku fotografii.

Powieściowszym od powieściowego ~~przypadku~~ przypadku jeszcze, gdy Mama wiozła maleńkiego Luka ze Schodnicy na ~~xxx~~ Storożkę, gdy się z ~~zaszą~~

nianią znajdował się w pierwszej w życiu podróży, wsiadł w Stryju do ~~przedziału~~ tego samego przedziału dziadek Monné. Oko w oko zetknął się z Mamą. Zbyt byli do siebie podobni i Mama jeszcze wówczas na tyle młoda, że nie mógł jej nie poznać. Cofnął się też i niebawem przyszedł posługacz po jego walizkę, którą przed chwilą zdążył już położyć na siatce...

Z opowiadań Mamy pamiętam to jeszcze, że jedynym domem w którym Mama małą dziewczynką bywała z ojcem, był dom jego serdecznego przyjaciela Adama Zamoyskiego, patrioty ale dziwaka i człowieka wielce wolnomyślnego, którego wpływ mógł nawet znacznie a ujemnie zaważyć na biografii mego dziadka. Hr Zamoyski miał dworek przy ul. Zielonej, gdzie mieszkał w wolnym związku z osobą z którą się potem ożenił i miał kilka córek. Ale familja jego nie grała głównej roli w tym domu. Było to jakoby wielkie przytulisko wszelkiej biedy narodowej, rozbitków, emigrantów, stacja posiłkowa dla głodomorów i przejezdnych " działaczy" sprawy, którzy ciągnęli do pana Adama, jak w dym.

Stół wielki, jak rok długi nakryty zawsze, zastawiony jadłem i obsiadły " rodakami", pan Adam (uchowaj Boże !Nie hrabia !) pośród nich, perorował, agitował, uświadamiał, działał... Demokrata purpurowy, pożarty ze swoją sferą, prowokował jej opinię swoimi przekonaniami, dziwacząc się do tego stopnia, że gdy się ~~xxxxxxx~~ obecny pałacyk Zamoyskich pod jego kierunkiem budował, córki musiały na równi z robotnikami dźwigać cebry z wapnem, podawać cegły, słowem pracować jak i oni, dla przykładu.

Pan Zamoyski był świadkiem ślubu dziadków, w którego metryce (Tesimonium copulationis) nazwisko jego figuruje.

Dziadek mój - prócz nazwanego już, ~~xxxxxxx~~ na równi z Babcią przez brata skrzywdzonego Albina - miał jeszcze dwóch innych braci (Ludwika i Michała) i pono siostrę, ale ani jej imię, ani żadna wzmianka dotycząca jej losów do mnie nie dotarła.

Michał zapytany w młodości przez hr. Moszyńską czego by się chciał uczyć i jaki przedmiot najlepiej lubi - oświadczył pono że - cukierki ! Hrabina rzecz wzięła dosłownie i dała go kształcić na cukiernika. Miał potem we Lwowie cukiernię i był ożeniony z siostrą grubulki Minki Giżyckiej, o której może zdążę opowiedzieć później...

Kapitan Ludwik Monné, w całym tragicznym, rodzinnym zawikłaniu, wziął zdecydowanie stronę skrzywdzonej bratowej i ~~małej Wan=dy~~ dziecka. Dla ~~której~~ dorosłej zwłaszcza osoba ~~xxxxxx~~ ~~jego~~ stryja stała się źródłem pociechy latami. Wedle relacji Babci i Mamy był to wielki talent aktorski. Monologi przez niego układane, odgrywane i jakby żyte mu=

siały być czymś w rodzaju późniejszych kreacji G.Fiszera. Mówił kilkoma językami i monologi, które stosownie do przedstawianych typów odgrywał po polsku, po niemiecku, czy po francusku, miały być arcydziełami, jako treść i jako interpretacja. Układał je sam i dowolnie, zmieniając w miarę nowych konceptów. Typ starego, wykwintnego metra tańca, Francuza, bursza przy oficerze austryiackim i szlechetki rezydenta - miały być czymś nieporównanym. Nikt tych rzeczy nie ponotował i przepadły razem z życiem człowieka, po którym tylko tych kilka okruchów zbieram troskliwie na papier i chowam razem z paru fotografiami i jednym listem po niemiecku pisanym do Babci. Raz - mała Mama za całą jego dla niej dobroć, odpłaciła mu się niefortunnym pomysłem. Oto narysowała na plecach jego białego munduru, węglem czy ołówkiem, prawie naturalnej wielkości, krzyczące niemowle w powijakach, o czym on nie wiedząc, poszedł beztrosko do kawiarni... Można sobie wyobrazić co czuł, gdy mu wreszcie któryś z jego kolegów powiedział dlaczego wszyscy się za nim oglądają i śmieją ... Dzieci miewają czasem diabelskie pomysły! Mimo swobodnej polszczyzny w słowie, robił w pisaniu błędy, których się żenował. Mamę kochał bardzo wiernie i uważał ją za swoją najmilszą publiczność. Gdy Mama, po zapaleniu stawów dzieckiem, leżeć musiała miesiącami, stryj Ludwik był jej główną radością, rozrywką i teatrem.

Miał to być człowiek brzydki, o twarzy pospolitej i niczym dostojnej głowy mego dziadka nie przypominał. Zacny i prawości kryształowej, szanowany przez przyjaciół i podwładnych, umarł nie żonaty i nie stary. Wielki, niedoszły aktor zszedł z nim razem do grobu.

Zeszłego roku, bawiąc w Kniażycach, znalazłam się przypadkiem w Dzień Zaduszny naprzeciw przemyskiego cmentarza. Za wysokim żółtawym murem widziałam las nagrobków, między którymi znajduje się także grób mego dziadka i "Johańci".

Wszystek smutek, cała krzywda, wina i zło przysypane oto ziemią...Nie żyje już nikt, kto krzywdził, kto grzeszył, nikt kto cierpiał i zapomnieć nie mógł... Może ja jedna jeszcze na świecie wiem, jak było naprawdę. Ale już także nie umiem zdobyć się na żadne żywe uczucie, gdy o tym wszystkim pomyślę...Przeszli - skończyli się...Są nowi, całkiem inni ludzie i czasy.

Gdybyż jeszcze odzyskać pewną śliczną, młodocianą miniaturę Babci, którą dostał ongiś dziadek od Hrabiny Moszyńskiej, a której mimo zerwania nie oddał nigdy!

Jednym z najciekawszych wspomnień Mamy z dzieciństwa jest jedno,do dziś tajemnicze,które mmxmx we właściwy jej,bardzo ży=wy i malarski sposób opowiadała mi kilkakrotnie.

Oto raz, dość już późnym wieczorem,dała Babci znać pani Eyringowa,jej przyjaciółka,że odbywa się u niej właśnie zebranie, na które Babcię wzywa niezwłocznie. Jakaś była racja dla której i mała Mama została zabrana razem. Pono nie było jej z kim zos=tawić chwilowo,czy coś podobnego. Gdy weszły,znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem,że z trudnością posuwały się, by dotrzeć do państwa domu. Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orientację,, zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych. xxxxxx Było cicho,jak w kościele,mówiono tylko szeptem.Jedni po=suwali się w głąb pokojów,drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie pokoju znajdowało się takiego,co było oglądane z nabożeńs=twem. Pani Eyringowa objaśniła o tym czymś Babcię. O małą Mamę mało kto dbał,radziła sobie w ścisku sama. Po jakiejś chwili, przepychając się pośród powłóczystych spodnic i długich czamar, znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony para=wan,za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zie=lonego prześrocza cienie poruszających się nisko głów,ruchy rąk.. Coś się tam działo dziwnego,słychać było jxxxxxxxxxxxx jakiś odgłos monotonny,jakby ktoś modlił się pół-szeptem...Czasem któ=raś z kobiet zapłakała... Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków,ludzi nadchodzących i odchodzących... Wreszcie,jakoże takie dziecko mało miejsca zabiera,przegniotła się Mama za zieloną skrzydło parawana i zobaczyła scenę,na całe życie najwyraźniej spamiętaną. Na klęczniku pani Eyringowej mod=liła się zakonnica,z głową w czarnym,sukiennym zawiciu,z obnażo=nymi po pas plecami. Resztę opływał czarny habit. Do kolan klę=czącej schylały się kobiety,przyklękali na jej widok mężczyźni, wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami,którymi dotykano jej obnażonych pleców,podczas gdy ona modliła się pół-głosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie plecy,pokryte gęstymi nieregularnymi bruzdami,z których niektóre były różowawe i głęb=sze...

- To jest święta męczennica...Bili ją Moskale za Polskę i wiarę...- objaśniła dziecko jakaś stojąca najbliżej pani.

Ale Mama przerażona i wobec niespodzianego widoku nie skora do nabożeństwa,nie zdobyła się na odwagę dotknięcia blizn obnażonych medalikiem,podanym jej przez kogoś.

 72

Odnalazłszy się z Babcią wyszły obie tak jak weszły, w milczeniu. Nazwiska tajemniczej zakonnicy nikt nigdy nie wymówił. Nie słyszała go nigdy i Babcia. Przejeżdżała skądeś dokądś przez Lwów, poprzedzona zapowiedzią poufną... Jakaś taka Matka Makryna Mieczysławska - albo może i ona sama...

Notuję tu jeszcze jeden strzępek, sam w sobie nie ważny - ale związany z maminym dzieciństwem. ~~xxxxxx~~ Znam go z jej opowiadań.

W czasie jej przewlekłej choroby (owo zapalenie stawów) znoszone bywały dla jej rozrywki ze strychu stare kapelusze hr. Meszyńskiej, które jeszcze mali Revertera ~~owie~~ do dziecinnych, amatorskich przedstawień z pudeł wywlekali. Serce mi się ściska z żalu że już do mnie cuda te nie doszły ! Mama urządzała z nich karety dla swoich lalek i woziła je za wstążki po podłodze. Jeden był różowy, morowy, podbity białym jedwabiem, ze wstążkami w biało-różowe pasy, z bukietem piór strusich na czubku. Drugi całkiem biały, pokryty jedwabiem marszczonym w ~~xxxxx~~ karpie, dużą łuskę, z piórami rakowego koloru... Takie wielkie budy do wiązania pod brodą...

Po tym przebytym zapaleniu stawów, pojechała Babcia z Mamą do kąpieli siarczanych ~~xxxxxxx~~ w Szkle, dokąd także i ciocia Terenia im towarzyszyła. Szkło wspominały wszystkie jako śliczną miejscowość, z bogatymi źródłami, z sosnami na piasku i z przypadkowo dobranym przyjemnym towarzystwem.

Była tam także mieszkająca przy dzieciach stara, owdowiała ruska księdzowa, która sprzedawała przędzione przez siebie i tkane ręczniki. Wydarzyła się jej dziwna, przejmująca historia, Babci przez nią samą opowiedziana:

Gdy jako ~~xxxxxxx~~ świeżo zamężna, przybyła na plebanię, z wiosną, plewiąc grządki, zgubiła ślubny pierścionek. Mimo gorliwych, rozpaczliwych poszukiwań nie znalazł się więcej. Tymczasem mijało życie, dzieci rosły i marły rodziły się inne, na grządkach ziemia przerzucona została wiele wiele razy na nowo... Wreszcie umarł " jegomość", księdzowa już stara kobieta, została do jesieni na obejściu, aby przed ustąpieniem się nowemu proboszczowi, zebrać jeszcze ostatni raz - jak zastrzega prawo- letnie plony... Smutna, samotna wybierała z grządki jarzyny rozpamiętując życie nad tą ziemią spędzone - gdy wtem - błysnęło coś pod jej palcami i ~~xx~~ oto zgubiony wówczas w młodości, ślubny pierścionek znalazł się napowrót na jej palcu !

W czasie powstania Babcia moja i Mama mieszkały już razem z ciocią Terenią w Zakładzie jej naukowym, przy pl. św Ducha. Mama miała lat trzynaście, bardzo zaradna zawsze i przytomna, używana była na posyłki poufne, roznosiła karteczki do rodzin nadsyłane okazjami z terenu walk, czasem ustne wieści, których ~~kartkom~~ pismu powierzyć nie chciano - ba! - nawet do więzienia u Karmelitów nosiła prowianty. Znajdowała się czasem pośród nich pomarańcza z wsuniętym od góry, pomiędzy ćwiartki gęsim piórem, którego otwór zatykany był dla niepoznaki z powrotem zieloną " koronką" owocu. W pustej rurce tego pióra tkwił zwitek bibułki z jxkxixkx jakimś porozumieniem czy doniesieniem.

Sam Zakład Cioci gromadził nieraz na narady zebrania liczniejsze, które pod ochroną szkolnej firmy niewieściej i niemieckiego nazwiska właścicielki, jakoś puszczano mimo oczu. Bywali tam : Teofil Dąbrowski, Bronisław Komorowski, młodzi Krzyccy, polegli później bracia owej malutkiej, mężnej Florci, którą raz w momencie paniki, gdy wpadła w nocy rewizja do dworu, podsadzono wraz z plikiem kompromitujących papierów w duży komin. Tam uczepiona sterczących cegieł trzymała się i nie pisnęła ani słowa, nawet wówczas gdy oficer rosyjski, dźgał gołą szablą w górę, na oślep przeszukując xxx czarną głąb komina. Nie znaleziono jej, ale gdy dziecko, półżywe domownicy potem wyjęli zxkm ze schowka, miało u obu nóżek przecięte pęciny... Bywał Stella Sawicki i cały zastęp ludzi których znałam dobrze z licznych fotografii i o których powiem później. Niestety nazwiska potraciły mi się w pamięci, co gorsza - przepadły fotografie.

Wieczorem Z u Cioci, przy stole założonym kajetami - tym samym rozsuwanym stole, na którym potem Grottger rysował tak często - skubało się szarpie, robiło naboje, szyło bieliznę dla walczących. Scena wyreżyserowana była zawsze tak, aby w momencie mogła przybrać pozór pokoju, w którym uczą się tylko dziewczęta. Raz, podczas nagłego wpadu rewizji do kamienicy, wieczorem, gdy Zosia Suska dała znać o niebezpieczeństwie, w mgnieniu oka wpakowano do kuchennego koszyka cały xxx kram rozłożony na stole i Zosia, z koszykiem w ręce, minęła zbiegając ze schodów dążących w górę żandarmów. Gdy oni dzwonili do Zakładu, przytomna dziewczyna znajdowała się już w mieszkaniu na pierwszym piętrze (gdzie później, latami było Two. Sztuk Pięknych xx a potem kawiarnia " Sztuka) i przy pomocy uprzedzonych na taki wypadek lokatorów, wpakowała całą zawartość swego koszyka omotaną na prędce w szmatę, między kamienną balustradę balkonu a blaszanych, zdobiących go dziś jeszcze rycerzy .

Wówczas też, została w oczach Mamy migawka krótkiej sceny w przedpokoju. Przyszły kwestarki. Bywały to często panie z arystokracji, chętne zawsze w takiej formie pomocy społecznej. Że zaś panował obyczaj składania na cele powstańcze biżuterji raczej, niż pieniędzy, podawały takie kwestarki czarny worek aksamitny, sporych rozmiarów, w który się rzucało kto co mógł. Mama razem z Babcią wyszła do przedpokoju, gdzie przybyłe stały. Zapamiętała Mama jak Babcia sięgnęła ~~xxxxxxxxx~~ spokojnym ruchem obu ramion ku zapince na szyi, na której stale nosiła sznurek pereł. Mignęły zakołysane na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Nie spodziewała się kanoniczka Aloizja, jaki los spotka jej piękne perły, ani ciotka Charlotta Jordan, która je Babci, jako narzeczonej przysłała! Został po nich ślad na ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~, wiszącej na Zaświeciu. miniaturze Aloizji Louisy, i ta wymowna migawka..

W ~~xxxx~~ tych też czasach, nieznany ~~morderca~~ spiskowiec - mściciel, zasztyletował był na Placu Castrum szpiega Kuczyńskiego. W teatrze Skarbka odbywało się właśnie przedstawienie. Wieść o spełnionym opodal gmachu fakcie, przebiegła w mgnieniu oka widownię...W moment potem wpadł do mieszkania jakichś państwa (nazwisko uszło mi niestety !) blady i pomieszany młody człowiek, oznajmiając, że przed ~~xxxxxx~~ momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim...Błaga o przebranie, fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę. Nie było chwili do stracenia...W mig opatrzono go wszystkim potrzebnym i zniknął. Niebawem wydało się, że człowiekiem tym był znany policji rzezimieszek, który, obecny wówczas w teatrze, wpadł błyskawicznie na pomysł wykorzystania momentu, co też z takim powodzeniem uczynił. Właściwy X) ~~zabójca zdrajcy~~ wykonawca wyroku - o ile wiem - pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki, na urządzanej ku upamiętnieniu daty Wystawie we Lwowie, oglądać można było za szkłem witryny ów sztylet, którym zabito Kuczyńskiego. Znajdował się w zbiorze niejakiego Leona Krzemienieckiego, pośród ogromnego mnóstwa pamiątek ~~xxxxxxxxx~~ powstańczej doby, dokumentów, druków, autografów, pieczęci, broni i wizerunków. Pamiętam że, gdyśmy ~~xxx~~ zbiór Krzemienieckiego oglądały na tej wystawie, podszedł do nas on sam, zbieracz (ktoś go nam przedstawił) człowiek dziwnie odrażającego wyrazu, o lisich rysach i małych, czarnych oczkach. Uraczył Mamę jakimś obleśnym frazesem, czyniąc aluzję do Grottgera i związku jego twórczości z powstaniem i z Mamą. Nie lubiła Mama takich komplementów, miała za dobry smak i słuch, aby nie wyczuć ich gipsatury... Odliczywszy jednak subjektywny odrzut, nie mogłyśmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi, jaką miał ten człowiek, zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materiałów mających ~~xxx~~ dla historii powstania ogromne znaczenie. Ja nawet - wyznaję - pociągnięta tym motywem, zagadnęłam Mamę, czy nie zechciałaby dać

Krzemienieckiemu do jego zbioru garstki fotografii z owego czasu, jakie są w domu. Zgodziła się natychmiast i wraz ze mną uznała, że takie okruchy trzeba łączyć i że z osobna są bardziej zagrożone. Pamiętam, że ze wszystkich prawie skrytek, szufladek i albumów wyjęła co miała i za następnej bytności na Wystawie wręczyła Krzemienieckiemu. xxx Poznała się też z nim w czasie Wystawy Zofia Zawiszanka, gustująca już w wówczas w atmosferze powstańczo-konspiracyjnej i rozmawiali czas dłuższy na temat dokładnej a trudnej do dostania wojskowej mapy Królestwa Polskiego, upragnionej przez Zosię, a którą to mapę Krzemieniecki przyrzekł jej dostarczyć, byle mu karteczką o tym przypomniała, bo zapomina łatwo. Było to na rok przed wybuchem wojny w 1914.

Bodaj-że jeszcze przed zamknięciem Wystawy, a może nieco później, gruchnęła wieść o aresztowaniu Leona Krzemienieckiego, jako groźnego od lat szpiega na rzecz Rosji, filaru ochrany, zbrodniarza, który całe litanie denuncjacji ma na sumieniu. Wieść tę podały dzienniki, poczym sprawa Krzemienieckiego ucichła zupełnie. Nie słychać było ani o sądzie ani o wyroku..Siedział zamknięty. Tyle wiedziano. Zbiory, którymi z szatańską chytrością stworzył dokoła siebie nietykalną barykadę(... bo jakże ? Kapłan pamiątek narodowych - i podejrzenie o szpiegostwo ?!) nie wiadomo mi gdzie się podziały.

Już po jego aresztowaniu zaszedł był na Zaświecie jego syn, gimnazjalista, rudy, mizerny wyrostek, z obrazem jakoby Grottgera do rozpoznania. Widziała się z nim Mama i rzecz okazała się nie autentyczna. Trudno z nim było poruszać sprawę ojca, a więc i zbiorów... Potem wybuchła wojna.

W czasie gospodarki Moskali we Lwowie, spotykałyśmy Krzemienieckiego to w tramwaju, to na ulicy...Ocalał zapewne w popłochu, zapomniany w areszcie przez umykające austriackie władze, a teraz zażywał zasłużonej swobody... Po powrocie Austrii -rzecz prosta - już go we Lwowie nie było.

Natomiast dowiedzieli się nasi chłopcy, że syn jego zginął w Legionach...

Między Zaduszkami a św. Mikołajem była jeszcze wilia św. Andrzeja. Józia - ta od Wincusi - bardzo przestrzegała związanych z tym dniem obrzędów. Później ja już sama pilnowałam aby niczego nie zaniedbać. Samo znaczenie xxxx guseł było mi gruntownie obojętne. Mój przyszły mąż nie zaciekawiał mnie, bo ci pa=

nowie, którzy u nas bywali, dalecy byli od budzenia we mnie przeczuć w tym kierunku. Chodziło o emocję, co się pokaże na cieniu, gdy postrzępiony, ciepły i mokry wosk podniosą czyjeś ręce między lampę a biało lakierowane drzwi... Chodziło o coroczny swąd, który po kilkakrotnym przesmażeniu wróżebnej substancji, napełniał wszystkie pokoje...O śliczną fregatę łupinek z zapalonymi świeczkami na wielkiej, mosiężnej miednicy.. Były wróżby z trzewikami, karteczkami na których wypisywało się męskie imiona - dla mnie wszakże główną rzeczą był topiony wosk i pływające światełka.

Św. Mikołaj - zanim zaczął bywać osobiście i przemawiać głosem poczciwego pana Stefana Grzywińskiego, udrapowany w podejrzanie znajomą adamaszkową kapę z łóżka naszej sąsiadki, pani Grylińskiej, - ograniczał się do " podrzucania " w nocy wielkiej, papierowej torby, pachnącej pod poduszką jabłkami i piernikami, chroboczącej od włoskich orzechów i innych niedocieczonych po ciemku przedmiotów... ~~Rano~~ Nad ranem, gdy się już dom przetrząsał od wyjeżdżających powozów i gdy już kowal-sąsiad kuł - obracywało się ją ~~daxx~~ dociekliwie ~~xxxxxxx~~ między właściwym spaniem a powtórnym zaśnięciem. Ale w biały dzień dopiero następowało patroszenie torby i spożywanie o niebywałych porach pierników i pomarańcz... ~~Sxxxxxxxx~~ Św. Mikołaj ograniczał się zrazu wyłącznie do przysmaków i długo niczego innego nad rzeczy jadalne nie znajdowało się w torbie. Wierzyłam ślepo w nadnaturalne pochodzenie tak świętomikołajskich jak choinkowych smakołyków. W końcu - jedno występne sięgnięcie do kieszeni maminego, żółtego futerka zachwiało mocno moją wiarę. Powodowana ciekawością co też Mama z miasta przyniosła wydobyłam z głębokiej kieszeni dwie porcelanowe, strojnie odziane laleczki. Nim się zdążyłam ucieszyć wsunęłam je z powrotem, zawstydzona głęboko moją ciekawością. Im bardziej podobały mi się te lalki, tym winniejszą czułam się wobec Mamy i żółtego futerka, tym srożej ~~xx~~ wyrzucało mi sumienie, żem jej ufność zawiodła, a sobie popsuła radość przygotowanej z takim kochaniem niespodzianki. Nie pisnęłam jednak słowa o całym zajściu i czekałam...Nie było bowiem wątpliwości, że lalki były przeznaczone dla mnie. I oto w jakiś czas po- ~~tem~~ tem znalazłam je pod drzewkiem, niby od Aniołka ! I wtedy jeszcze nie przyznałam się nikomu z domowych, ani do owego grzesznego sięgnięcia w kieszeń, ani do nagłych wątpliwości w zaświatowość darów... Wreszcie, gdyśmy raz z Tepą siedzieli wedle zwyczaju na zielonej kanapie pod lustrem, zwierzyłam się ze wszystkiego...Za uczciwy aby podtrzymywać złudzenie, wydobył mi jednak na pociechę własne wspomnienie z dzieciństwa, dosyć do mojego zmartwienia podobne...

I jemu, jako małemu chłopczykowi, podkładał św. Mikołaj

przysmaki pod poduszkę. Ale Tepa był jeszcze ciekawszy odemnie i dręczył pytaniami starszych. Wtedy ojciec oświadczył mu stanowczo, że św Mikołaj tylko takie dzieci obdarza, które mu ufają. Podejrzliwe nie dostają nic. Tepa, który nie wątpił w nadprzyrodzoność zjawiska, ale chciał je chwycić na gorącym uczynku, postanowił urządzić zasiadkę na świętego. Udał, że śpi i leżąc cichutko czekał co będzie. Wreszcie pochwycił w przyległym pokoju ostrożne postukiwanie drewnianej nogi (ojciec jego stracił był własną w powstaniu listopadowym) drzwi cichutko się odemknęły i znajomy stukot kuli o posadzkę zbliżał się do łóżeczka. Malec usłyszał szelest papieru pod poduszką i już nie było wątpliwości. Wówczas wpadł w rozpacz... Wyrzuty sumienia, żal za złudzeniem, rozczulenie dobrocią ojca były zbyt nagłe i wybuchnęły gwałtownym płaczem, z jakim niefortunny badacz cudowności przypadł do ojcowskiego kolana..

X

Długo przed Bożym Narodzeniem wiedziało się, że dnie te idą... Najpierw przynosił kościelny opłatki, które się kładło na zielonym, jak szmaragd, kryształowym talerzyku. Józia zaś windowała worek z mąką na przypiecek, aby schła. Choć na oko nic się nie działo, czuć było, że jest całkiem inaczej, niż w inne zimowe dni... Jakiś pakiet zajrzany w głębi maminej szafy, odrobina pozłótki na podłodze... Z innym też uczuciem patrzyłam na gwiazdę wieczorną, jedyną taką dużą, jaką moje oczy dostrzegały. Wiedziałam, że to ta, Trzykrólska... Wreszcie jawiły się rodzynki na kuchennym stole, które Józia wieczorami obierała. Wolno mi było przy tym asystować, choćby dlatego także, że w tym samym czasie złociło się w pokoju orzechy. Adaś spał zwykle wcześniej od mnie i nie miał żadnych podejrzeń...

Kiedy się Józia wyprawiała po ryby był to znak, że już tylko dwa, trzy dni czekania. Zdejmowało się uszaty, szary, porcelanowy garnek z wysokiej półki kuchennej, zawsze ten sam i w nim potem przechowywała się studzona ryba, wedle przepisu babki Młodnickiej robiona, przysmak, bez którego Tatko Świąt nie uznawał. Salaterka tej ryby jawiła się przy wilii, reszta mieściła się w tym szarym, uszatym garnku. Mama sama pilnowała przyrządzania tej potrawy, jak i wydawania wszystkiego do ciasta, także wedle dawnego przepisu z domu Tatka rodziców. Cóż to była za obrzędowa emocja, gdy do kuchni nie było wolno, bo " ciasto rośnie" ! Przedtem i podczas wybijania żółtek, mieszania i sypywania zielonych skrawków cykaty i kopiatego talerza rodzynków - bywałam obecna. Potem kuchnia zmieniała się w tajemniczy przybytek a uprzejma zwykle Józia - w jędzę ! Ale warto było czekać, gdyż dostawałam zawsze osobną, śliczną "młodą" struclę

)* Odnośnik do str 68

Kiedy już jako narzeczona, poszła Mama przed ślubem " po krzyżyk" do pani Sawczyńskiej, godna matrona, o gorzkim i raz na zawsze wzgardliwym wysunięciu dolnej wargi i zawsze lekko przymrużonych oczach powiedziała niechętnie :

- No, już ja tam Wolskich nie lubię, ale daj ci Boże samo najlepsze...

Owo " już ja tam Wolskich nie lubię" stało się potem u nas umownym skrótem dla czyjejś nikomu do niczego niepotrzebnej prawdomówności.

i z przystawionego podnóżka oglądałam ją między " dorosłymi" leżącymi miękko na podełsanym obrusiku, na łóżku cioci Tereni, w pierwszym pokoju. W tym to czasie, nieodmiennie chwytał mój bystry nos zapach sosnowych igieł, zapach drzewka, które nigdy o innej porze tak cudownie i odrębnie nie pachnie, jak takie przemrożone, wniesione do ciepłego pokoju...Ale tylko przez moment... Potem zapach ten gdzieś się podziewał i zostawała tylko zachwycająca pewność, że się nie zdawało...

Ponieważ salonu nie opalało się stale, tylko gdy goście xxxx xxxxxxxxxxx przyjść mieli, lub na Wilię, zamknięte drzwi tego pokoju były czymś naturalnym. Tam odbywało się misterium choinkowe.

W dzień Wilii, w południe, przychodzili zwykle PP. Sawczyńscy oboje, czasem z córkami, stale z synem Henrykiem. Podczas gdy się xxxxx gości przyjmowało w ogrzanych pokojach, Henryk zostawał w salonie. Ponieważ był bardzo wysoki, jego coroczną, ochotniczą funkcją było przytwierdzanie świeczek do gałęzek. Potem się jawił i on... Wizyta ta odbywała się gwoli urodzin i imienin Adasia, który był synem chrzestnym pana Zygmunta Sawczyńskiego. Cała ta rodzina, wysoce światła i pełna cnót i zasług, choć wolna na pozór od sentymentu, patrząca na świat i bliźnich przeważnie krytycznie, miała głęboki kult tradycji i wszyscy jej członkowie odznaczali się wielką wytrwałością i pamiętliwością o tak zwanych " przyjaźniach" co nie zabezpieczało jednakże nikogo przed ostrą czasem nagłą, a nieprzewidzianą szczerością. Zato nigdy, przez przeciąg lat kilkudziesięciu, nie zdarzyło się, aby się w ten dzień ktoś ze Sawczyńskich u nas nie zjawił. Dziś - xxxxx odwiedzanie - choćby nawet ze względu na jego rodziców takiego szkraba, jak ja, czy Adaś wtedy - przedstawia mi się jak coś wręcz już muzealnego...

Na wilię nigdy prawie nie byliśmy sami. Przychodził stale ktoś z samotników, artystycznych rozbitków, aby nam nie było bez pary a jemu bezdomnie...Czasem Tepa, czasem pani Aszpergerowa, a choćby Minka Giżycka, siostra Michałowej Wonné, jedyna z tamtej rodziny bywająca u nas istota, sympatyczna, karykaturka ludzka, pękata stara panna napełniona po szyję samą poczciwością, entuzjazmem i potrzebą piękna. [redacted] Bardzo lubiłam Minkę. Zostawała u nas często na herbacie, albo przychodziła wieczorem i ponieważ miała osobliwy dar opowiadania, jak wielu ludzi z czasów, gdy się mniej czytało - zawdzięczam jej opowieść romansu p.t. " Duch szybu", z życia górników francuskich, której bohater, niejaki Didier, ogromnie mnie inspirował. Ciągnęło się to opowiadanie całą jedną zimę, na raty...

Otóż bywała na Wilię ta Minka, później rzeźbiarz Dykas, pani

Anna Legadé,zawsze ktoś... Przy kutii zwykle Tatko wstawał nieznacz=
nie i zaszedłszy do salonu drugimi drzwiami,zapalał świeczki na
drzewku. Po chwili rozlegał się głos małego,mosiężnego dzwonka,który
cały rok stał zazwyczaj w serwantce i oba skrzydła drzwi salo=
nowych odmykały się ku jadalnemu.

Znajomy pokój wyglądał jak wniebowzięty ! Napełniała go złe=
ta,sypka jasność. ~~Sosenka~~ Choinka, zupełnie przeźrocza i puszysta od długich
igieł,stała w mnogości płomyków,które wszystkie odbijały się w szy=
bach, zalegającej całą ścianę nad główną kanapą " Wojny". Srogie
memento nad szczęśliwością dzieciństwa! Nim się tknęło niespodzia=
nek pod drzewkiem,siadała Mama do fortepianu i zaczynało się " W żło=
bie leży". Śpiewali rodzice oboje, cudowny głos Mamy zdawał się
pachnąć żywicą, błyszczeć pozłótką, czysty baryton Tatka wtórował
bardzo muzykalnie. Do dziś przetrwały mi w melodiach kolęd te ich
głosy kochane, piękne, zanurzone jak w bursztyn słów i pieśni.

x

x x

Jednym z domów z którym rodzice żyli najbliżej był dom
Żulińskich.

Zrazu składał się z matki, pani Barbary z Michelsonów i dwu
synów : Tadeusza i Józefa. Pierwszy lekarz,istny świecki francisz=
kanin, zakonnik idei miłości Boga, Ojczyzny,ubogich - ludzi wogóle.
Zostawił po sobie pamięć człowieka świętego. Drugi - profesor, o ile
pamiętam, przyrody, działacz żarliwy,bojownik o polskość i wiarę,
którego biografia zajęłaby wiele kart budujących i zdumiewających
tym choćby,że mówiłyby o życiu jednego tylko człowieka,którego pro=
gram dnia codziennego starczyłby na pracę dla kilku. Uczył w licz=
nych uczelniach Lwowa,ale głównym terenem jego pracy było Seminarium
nauczycielskie męskie i żeńskie, skąd z pod jego wpływu wychodził
rok- rocznie nowy zastęp patriotycznych nauczycieli,ówczesne kadry
polskich szeregowców idące na wieś, świadome zadania i obowiązku.Nie
było jeszcze wówczas Sokoła ani Twa Szkoły Ludowej. Twierdzami pols=
kości były jedynie takie domy i tacy ludzie,jak Żulińscy. Rodzeństwo
było liczne,ale we Lwowie na stałe mieszkali tylko dwaj bracia z mat=
ką. W domu tym - umeblowanym jak wnętrza pokojów z Grottgerowskiej
" Warszawy ", wisiały portrety,dagerotypy, blaknące fotografie...Bar=
dzo wcześnie znałam treść ich wszystkich. Na jednym z wizerunków
olejnych bielała twarz Romana Żulińskiego, straconego wraz z Trau=
guttem,Krajewskim,Toczyskim,Jeziorańskim na stokach Cytadeli War=
szawskiej. Wiedziałam,że malutka,pochylona staruszka, pani Żulińska

- Matka, była przy ~~tej~~ śmierci syna obecna. Świadomość ta ściskała mi zaw=sze gardło ilekroć całować mi wypadło jej rękę - drobną, szczupłą, któ=ra zawsze dobrotliwie głaskała mnie po twarzy. Nosiła marszczone, bia=łe, tiulowe czepeczki wiązane pod brodą i twarz jej miła - ongiś bar=dzo ładna - przypominała ~~bardzo~~ wiernie rysy obu synów Tadeusza i Jó=zefa, których bardzo kochałam. Wówczas rzadko tylko bywałam tam brana przez Mamę.

Później pan Józef ożenił się. Żona jego, panna Łucja Gros=sówna, córka przyjaciół domu Żulińskich, pełna ruchu, przejasna blon=dynka, bywała ~~xxxxxxxx~~ przedtem także u moich rodziców i zachwyciła mnie raz na zawsze swą kwiatkową urodą, gdy podczas jakiejś skromnej zabawy u nas pochyliła się nad moim łóżeczkiem, aby mi się - wraz z pannami Bronią i Anielką Skólimowskimi - śpiącej przypatrzyć. Świeca trzymana w ręku którejś z panien zbudziła mnie i otworzyłam oczy. Białoróżowa, pod złotym obłoczkiem grzywki buzia Łuci Grossównej, zdobna wianeczkiem niezapominajek, błękit sukienki przy białej szyi i ramionach wydały mi się czymś ~~xxxx~~ wręcz nierzeczywistym! Pamiętam jeszcze inny moment z nią związany, ~~gdy~~ raz zaszedł pan Józef do rodziców w jednym z tysięcznych zapewne narodowo-obywatelskich interesów, jakie go z nimi łączyły ~~i~~ w pozostawionym przez niego w przedpokoju kapeluszu, zauważyłam prześliczną, herbacianą różę. Usłyszałam potem od Mamy, że niósł ją pewno dla Łuci o którą się stara.

W miarę gdym podrastała bywałam częściej zabierana do PP. Jó=~~xxxxxx~~ zefostwa razem. Przez lat kilkadziesiąt, co niedzieli wieczór gromadziła się tam ta sama zwykle gromadka ludzi, którzy w owych cza=sach nazywali się " ziomkowie", lub " rodacy". W salonie Żulińskich pachniało bowiem jeszcze wyraźnie emigracją, skąd do Galicji cała ro=dzina przybyła, mówiło się o Paryżu, jakby się znajdował tuż za rogat=kami... " Pan Seweryn" wspominany czule, to był Goszczyński. Panowie Leonard, Kornel, Agaton - to znaczyło : Hettel, Ujejski, Giller... Całe ostatnie dzieje Polski jawiły się tam w osobach żywych lub rozmowach. Słynne wieczory niedzielne u Żulińskich były jednymi z najpierw=szych moich towarzyskich rozrywek pozadomowych.

W dużym salonie przy ulicy Gliniańskiej (dziś Tadeusza Żu=lińskiego) na drugim piętrze zbierało się co tydzień bardzo czasem liczne grono ludzi. Były to jakby prywatne posiedzenia istniejącego oficjalnie Komitetu Obywatelskiego, ale podczas gdy oficjalny zazna=czał się głównie urządzaniem rocznic narodowych, nabożeństw, jubileu=szów i pogrzebów, prywatny konspirował pożytecznie i praktycznie dla dobra spraw realnych. Nie pora tu na wyliczanie wszystkiego co się w tym salonie ważyło, początkowało, ile pchniętego w życie inicjatywą tych ludzi, pomogło do przysposobienia duchowego pogotowia na czasy

o które się modlili. Ze starszej generacji Żulińskich mieszkają= cych we Lwowie dożyła tych czasów jedynie jasnowłosa zawsze pani Łucia, której jedyny syn Tadeusz, zginął w legionach w r.1916-tym

Niedziele owe były też terenem na którym młodzież seminarzysta obojga płci miała sposobność stykać się ze starszym pokole= niem " rodaków". Galicyjski narybek przyszłego nauczycielstwa lu= dowego słuchał tu od naocznych świadków o niejednym co miał po wsiach przemycać lub bodaj samemu z pamięci nie tracić, miał tu sposobność do nabywania ogłady i do " nauki z poglądu" : jak Pola= kowi w niewoli żyć należy. Różne nieporadne trusie, różni xpanxn młodziankowie gorący w mozolnych odzieżach, ucieszne i świątobliwe karykatury ludzkie, zapraszane na skromne xx zebrańka najczulszym gestem gospodarza, garnęły się do nich z ufnością i brały - ani wiedząc kiedy - niewyczerpane zapasy na życie całe , zapału, po= święcenia i miłości. Trusie wyrastały potem na dzielne dyrektorki szkół, z młodzianków wykluxx wykluł się niejeden poseł na Sejm, niejeden głośny dziennikarz czy działacz.

W salonie siedziała zwykle starszyzna. Wokół stołu okryté= go szydełkową kapą w przeźrocze gwiazdy, na którym paliła się sta= romodna naftowa lampa na niebotycznym postumencie i leżały cięż= kie albumy z fotografiami kupiły się znajome twarze panów :Józefa, wuja pani Łuci p.J.K. Janowskiego, Jana Amborskiego, brali udział w rozmowie panowie Malinowski, Skotnicki, stary pan Apolinary Sto= kowski, (bielutki, schludny staruszek w czamarce ze spinką diamen= tową u szyi, który przez niepamiętny szereg lat, zadawnionym zwy= czajowym prawem, odczytywał zawsze w dzień 3-go Maja tekst Kons= tytucji na wieży lwowskiego ratusza zgromadzonej tam garstce ro= daków. Śmierć jego wprawiła w niespodziany kłopot przyjaciół, gdyż okazało się, że starowinka był - kalwinem. Katolicki ksiądz nie mógł, protestancki nie chciał - nie było komu go pochować. Nie wiem co w końcu wymyślono.) Podnosił też donośny, uważnie słuchany głos pan Mieczysław Darowski, wspaniale piękny, ogromny starzec z oczy= ma koloru starego miodu, człowiek mający w sobie coś z orła i go= łębia zarazem. Weteran 31-go roku, z czarno-błękitną wstążeczką Virtuti Militari przy klapie, obok której jarzył się wąski prążek czerwieni. Była to wstążeczka Legii honorowej, którą otrzymał od francuskiego rządu, jako podziękowanie za dar 70-ciu wagonów własnego zboża, które po pruskim zwycięstwie ofiarował "siostrze Francji " Wówczas, kiedym go poznała on, pan ongiś wielkich obsza= rów nie posiadał już ani ziarenka, gdyż wszystko, do ostatniego, roz= sypał głodującej braci.

Czasem przyjeżdżał ze Stanisławowa pan Agaton. Z żółtą twa=

rzą chińskiego bonzy z obwisłymi,czarnymi wąsami,prezydował zdało się zebraniu i wtedy najczęściej kierowano młodzież do przyległego pokoiku,aby starszym nie wadziła w naradach. Nie lubiłam się tam znaleść. Nie z ciekawości na pana Agatona,który był dla mnie jeszcze stanowczo za trudny wtedy,ale dla świadomości,że w tym przyległym do salonu pokoju umarł kochany pan Tadeusz.

Styczeń był wtedy ostry, mrozy srogie gdy umierał. Mama na całe dni i noce dążyła na Glinińską,aby wyręczyć utrudzoną panią Łucię,ja zaś właśnie zaziębiona siedziałam w domu. On to, pan Tadeusz leczył mnie podczas zapalenia płuc w dzieciństwie i wyrwał z choroby,po której na długie lata zostałam rekonwalescentką. Mam jeszcze ubożuchne podarunki,jakimi mnie wówczas darzył : medalionik z kryształowym wieczkiem,rozsypaną już w kawałki rogową bransoletkę z białymi kamyczkami - mam trwalsze od przedmiotów wspomnienie jego niewysłowionej słodyczy,z jaką się do mnie odnosił. Jedna z tych paru naprawdę świętych istot jakie w życiu znałam. Wiedziałam,że jest umierający,widziałam ciężkie zmartwienie rodziców,było mi strasznie smutno nie móc nawet odwiedzić chorego. Śmierć jego opłakałam gorąco,tym rzewniej,że mnie na pogrzeb nie wzięto. Kaszlałam i mróz był wielki. Pamiętam głębokie wzruszenie,gdym potem pierwszy raz znalazła się w znajomych pokojach i gdym weszła do tego właśnie pokoiku przy salonie. Pachniał silnie aptecznym zapachem medykamentów i choć był już urządzony inaczej,/i/ znikło łóżko pana Tadeusza - zostały szafy z książkami, ów rozczulająco szkaradny bukiet kwiatów pod kolszem,który z chleba ulepiła wdzięczna pacjentka, szafirowe wazony,dekorowane jakby koronkę z białych paciorek - inny taki dar,czuły a niefortunny ...marmurowa,także pod kloszem grupa z porwaną Sabinką,hołd podobny,tylko w lepszym guście - słowem same przedmioty znajome, związane z tym,którego brakło, przesycone nadomiar tym niesamowitym,silnym zapachem,o którym niepodobna było zapomnieć.

Zawsze czułam się skrępowana w tym pokoju i niezdolna do wesołości.

Niech nikt sobie nie wyobraża,że te niedziele miały w sobie uroczystą,posępną powagę katakumbowych schadzek . Bynajmniej. Ludzie którzy się tam jawili i ci,którzy ich do siebie garnęli,mieli zupełnie franciszkańską pogodę serc,toteż bezpośrednio nieraz,po bardzo czasem ważnych dyskusjach nad krajowym Sejmem lub złymi wieściami ze Śląska czy Poznańskiego - inicjował najzacniejszy pan Józef gry towarzyskie,w których brali udział wszyscy,starsi i młodsi. Grano w talarka, kotka i myszkę,sam gospodarz,profesor, siadał mężnie na cenzurowanym,wysłuchując dobrotliwie znoszonych na niego plotek. Pamiętam raz,w "mruczku", godnego pana J.K.

Kajetana Janowskiego, jednego ongiś z członków Rządu Narodowego w 1863-cim - jak stojąc w kole z trąbą nut w ręce ekscytował głuchym chrząkaniem odzew, w którym trzeba było głos znajomej osoby rozpoznać. Raz podczas " talarka", sąsiadem moim był pan Agaton.

Bawiono się w " farby" i " spowiedź", zaś najhałaśliwszą bywała zabawa w " podróż", kiedy to Madryt musiał na komendę znaleść się w Petersburgu, a Petersburg w Madrycie, komenderujący zaś upatrywał jak jastrząb, puste po którejś ze stolic krzesło, by na nim usiąć w zamieszaniu. Srogo przy takich wojażach cierpiały staromodne mebelki, ale śmiechu było coniemiara i niejeden poczciwy, ludowo-szkolny marjaż brał w tych podróżach początek. Były to zabawy adwentowe lub wielkopostne. Po Bożym Narodzeniu śpiewało się chórem kolędy, a w karnawale nawet się i tańcowało trochę. Pan Józef siadał do fortepianu i wypędzał "Przepióreczkę z prosa", młodzież zaś puszczała się z rozpędem większym od przestrzeni w pląs mazurowy... Lampa na wysokiej łodydze wędrowała wtedy na trymodkę, skromniutki dywan pod kanapę, starsze panie kupiły się gdzieś pod ścianami, z których ciemne portrety nieboszczyków przychylnie poglądały na tę uciechę.

Forma gospodarska tych przyjęć ogromnie była prosta. Zasiadało się wprawdzie przy stole pięknie zasłanym obrusem, przy stojącej pośrdku lampie, ale nieodmiennie przyjęcie stanowił półmisek t.zw. " mieszaniny" t.j. różnych wędlin krajanych w plasterki, chleb z masłem, dobra herbata w szklankach, do której cukier podawany był na talerzu w kawałkach rąbanych "z głowy" i etażerka zawsze takich samych ciastek domowych, które się nazywały : badjanki. Nigdy niczego więcej. Czasem w karnawale podawano do herbaty chrust, nazywany tam z warszawska : faworkami.

Z dziewcząt najmilsza mi tam bywała Kazia Winnicka, córka Tomasza, także jednego z głównych filarów powstania - kozak dziewczyna o trzy głowy wyższa odemnie, z ładną, pociągłą twarzyczką i czarnymi oczyma , pełna niewyczerpannego humoru i dobroci. Obok niej pamiętam Jadwisię Zielonczankę, później Sędzimirową. Ojciec jej, partiota i działacz, brał udział we wszystkich ówczesnych lwowskich " robotach" narodowych. Należał do grupy tych starszych panów, którzy się kupili koło lampy na wysokim postumencie w chwilach gdy młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z Kazią i Jadwisią, przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, ofiarowałyśmy Platonowi Kosteckiemu w poranek uroczysty jubileuszu jego publicystycznej pracy, wieniec od Polek, z biało-czerwonymi wstęgami. Kazia była Polską, Jadwisia Litwą, ja - mój Ty Boże! - Rusią... Istnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostiumach i z tym wieńcem.

Mówiłyśmy przed jubilatem,każda po kilka strof,z jego słynnego wiersza,zaczynającego się od słów :

W Imię Otca i Syna
To nasza mołytwa,
jako Trojca tak jedyna
Polszcza,Ruś i Łytwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat"gente Ruthenus,natione Polonus " straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno,bo panny Modzelewskie, Marconiówny,Aleksandrowiczówny,Deskurówna,Grossówna - starsze były znacznie od nas.

Wśród zastępu innych,młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek,mignęła mi się raz także Maria Bartusówna,poetka,córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe " Sonety przedślubne", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę przed małżeństwem,które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić przed gruźlicą,której w parę lat późmiej uległa,młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Maria Bartus i u nas,na Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące,jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, którymi - nie zdjąwszy czarnych,skórkowych rękawiczek, krajała pomarańczę,jak jabłko ! Pamiętam sok cieknący aż ~~xxxxxxxx~~ do łokci,pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni.~~xx~~ Do dziś nie wiem, czy tak była niedołężna,czy zaambarasowana. Strasznie miała być pono nieśmiała i opowiadał pan Józef,jak przy egzaminie z zoologii,gdy ją pytał,w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wymówienie słowa :"świnia.". Tak się to dosłownie brało wówczas - poezję !

Z wiela " masek" na czcigodnej scence tego domu spotkanych,przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się Stanisław Konopka, recytator.

Człowiek bez wieku,ucharakteryzowany jak wówczas jeszcze wielu na powstańca,w zrudziałej czamarce,pasie z klamrą i butach z cholewami, o długich,uczernionych włosach spadających ze znaczną tegoż szkodą,na biały prążek kołnierzyka,z miną na zawsze klęskową i podfarbowanym wąsem, jawił się na niedzielach rzadko,dość jednak często,aby mi zostać w pamięci dokładnie.

Nie przypominam sobie żadnego słowa, któreby ~~xxxx~~ było jego słowem, słowem pana Konopki. Umiał natomiast wszystkich,bez przesady, wieszczów na pamięć,umiał z dokładnością fenomenalną ~~xx~~

całe dramaty,wszystkie polskie poematy i wiersze-był jakby automa= tem pełnym obcej treści,która się zeń na zawołanie umiała sypać, jak z worka... Zważywszy,że recytacja (słowa " deklamacja" nie znosił...) była źródłem jego zarobku,że za skromnym wynagrodzeniem - ilustrujący w gimnazjum godziny " polskiego" występujący często z recitalami własnymi w Sokole,czy Gwieździe,- nie mógł każdym, tysięcznym razem przeżywać treści wygłaszanych utworów. - czynił istotnie wrażenie automatu o zdumiewającej mechanice. Stawał zazwyczaj przy ogonie fortepianu, raz na zaw= sze patetyczny i feralny. Gorzał i stygł równocześnie z temperatu= rą danego utworu, syczał jadowicie, chichotał szydersko,wysuwał oczy z głowy tak,że groziły upadkiem na dywan, krzyczał, [redacted] aż sie sąsiedzi płoszyli, słaniał się ze śniadymi wypiekami na spotniałej twarzy,chrypł i dech tracił ale gadać wierszem nie [redacted] nie przestawał.
Pozatym [redacted] milczał niesamowicie,jak rzecz.

Ponieważ bolała go obojętność,zawsze go dobra pani Łucia prosiła o recytację. Nigdy mnie jego sztuka nie wzruszała ani przez moment... Przeciwnie,na długo obrzydło mi niejedno przecud= ne,popsute wspomnieniem głosu i sposobów pana Konopki,tak jak tan= detna reprodukcja obrazu może obrażać arcydzieło. Dziś wszakże do= piero urósł moim dojrzałym oczom pan Konopka do powagi symbolu. We wspomnieniu tej smutno śmiesznej figury uosobiła mi się jakby cała deklamatorska tromtadracja patriotycznego gadulstwa,która tak się ma właśnie do miłości Ojczyzny,jak dewocja do pobożności. Ten rozgadany wierszem, wieczysty powstaniec o farbowanych wąsach, ma dla mnie plastykę jakiejś kukły z narodowych jasełek,syntezę czegoś bardzo przedwojennego,co do witryny muzealnej przynależy, co wszakże bardzo było głośne i szkodliwe w swoim czasie i xxx kto wie czy jeszcze w czternastym roku przy werbunku legionowym nie zaważyło...

Nic temu nie winien pan Konopka. Biedny,pomylony duchowo rozbitek,zapomniany dziś niechybnie " rodak",uczciwie pracujący na chleb,niezawsze słodki,a skąpy chleb,który może mnie tylko jednej jeszcze przypomina sie jako bezwiedna przenośnia -żywy, śmiesznawo bolesny symbol owych czasów.

Dziwnie dokładnie rozkruszył się dom państwa Józefostwa.

Gdy pan Józef,najzacniejszy,najświętobliwszy umierał,syn jego jedyny tak mu był obcy, córki tak inne,choć najzupełniej szanowne,że chcąc papiery swe z czasów powstania,korespondencję i dokumenty przekazać w dbałe ręce - upprosił o przyjęcie ich moją Mamę. Syn jedynak zginął w legionach,jako piłsudczyk,socjalis= ta,żydofil, - córka najstarsza wstąpiła do klasztoru,inne wsiękły bezbarwnie w szarość pracy zarobkowej. Jedna jest współwłaścicielką

kina w Paryżu,pozatem wirtuozką na fortepianie, jedna owdowiała wychowuje dziecko, najmłodsza jest sanitariuszką. Wszystkie prócz zakonnicy,grawitują ku socjalizmowi i wielbią Piłsudskiego. Pani Łucia mieszka sama i gdy ją odwiedzam,wzruszają mnie jeszcze nie=które przedmioty z tamtego kochanego domu. Stół - z tą samą kapę w gwiazdy szydełkowe, lampa na wysokiej łodydze z piękną,spiżową figurką niewieścią, stare,ciemne portrety pani Barbary,Romana i Tadeusza Żulińskich...

Bo tamtego,kochanego domu już nie ma.

X

X X

Innymi,z którymi żyli blisko moi rodzice,był dom państwa Grzywińskich. Znowu matka staruszka i syn pan Stefan, w dodatku jeszcze trzy córki, panny Aniela Jadwiga i Maniusia. Pochodzili z Poznańskiego,ale do Lwowa przybyli via Warszawa, gdzie przyzostał syn drugi, pan Józef, dobry kontuszowy aktor tamtejszej sceny.

Nie można sobie wyobrazić ludzi milszych i pogodniejszych. Dlaczego osiedli wszyscy we Lwowie, niezupełnie dobrze wiem,nie dziwię się jednak,że się do niego przywiązali na zawsze. Babcia Grzywińska, jak ją nazywałam, miała pewien pański partes,jako świetnie ongiś wykształcona i wychowana panna - zapomniałam jej panieńskie bazwisko - wiem tylko,że była bliską krewną Kościelskich Mielżyńskich, Donimirskich i że były w pokoikach jej domu różne jaśniepańskie sprzęty. Pozatem,że byli niesłychanie mili wszyscy, odznaczali się również niesłychaną,doskonałą już niemal brzydotą. Najmniej brzydka była najmłodsza z rodzeństwa,panna Maniusia o pięknych istotnie warkoczach i oczach,ale z osobna spotkana,mogła rów=nież zastanowić szpetotą nosa i ust. Najprzeraźliwiej szkaradna była panna Aniela, najstarsza, po której mniej już zdumiewali młodsi - pan Stefan i panna Jadwisia - zupełne anioły w ludzkim ciele. Panna Aniela i Maniusia były nauczycielkami wydziałowymi,pan Stefa był - o ile wiem - tylko muzykalny. Panna Jadwisia zajmowała się domem, robiła pajęcze koronki wypiekała niezmierskie ciastka,szyła odzież dla wszystkich domowników,zawsze promieniejąca pogodą, pełna żartów i słodyczy.

Ta to gromadka ludzi kochała nas serdecznie i wzajemnie była ~~od~~ przez nas kochana. Istnienie ich opierało się - poza pensjami nauczycielek - na jakiejś sumce żelaznej i przy ówczesnym tanim życiu pozwalało sobie na gościnność.

Raz lub dwa razy w miesiącu conajmniej szło się do Grzywińs=

kich albo ich gromadka jawiła się u nas. Zwykle wieczorami. Ponieważ cała rodzina z panem Stefanem na czele, słynęła z świetnego dowcipu, a Tatko mój miał sławę podobną, od pierwszego powitania w przedpokoju krzyżować się zaczynały paradne koncepty i wybuchy śmiechu - i - ~~xxxxx~~ jakby coś rozweselającego nasycało powietrze -dowcip raz rzucony podlatywał coraz wyżej, świetniał, podrywał ku sobie nowe tak, że naprawdę bywały to istne koncerty humoru, pełne twórczego talentu i bogactwa... Pan Stefan, nie tylko facecjonista starej daty, poza którym przywidywało się zawsze jakby tło szlacheckiego dworu, - szkaradny, jak grzech śmiertelny a ~~xxxxxx~~ pełen dystynkcji i gładkości słowa, mówił bardzo powoli i bez uśmiechu rzeczy, których śmieszność polegała, jak w każdym dowcipie, nie tylko na niespodziance pointy, ale i na sposobie wygłoszenia. Otóż ten sposób nie miał sobie równego ! Przyczyniał się do efektu i głos nosowy, niski (ten sam, którym przemawiał do ~~xxxxx~~ mnie nasz coroczny- póki wiara trwała - święty Mikołaj...) i charakterystyczna, warszawska dykcja, której niepodobna - napisać. Dialog pana Stefana z Tatkiem to było używanie tym zbytkowniejsze, że wszystko przepadało momentalnie i nie tylko dziś, po latach, ale i wtedy doraźnie nie było można odtworzyć tej wietrzejącej natychmiast przyczyny szalonego śmiechu, przytrzymać dłużej czegoś, co jak substancja lotna traciło się - zaświeciwszy.

Póki Babcia żyła - latami - mieszkali państwo Grzywińscy w zabudowaniach Klasztoru ~~PP.~~ Panien Benedyktynek. Już samo to wnętrze działało na moją wyobraźnię. Amfilada słonecznych, małych celek o sufitach niziutkich, wygiętych w łuki sklepione, z oknami w grubych murach, jak ~~xxxxxxx~~ w pokoikach osobnych, strojnych bluszczami? z jedną celą większą, która nazywała się salonem, co zresztą zaznaczał fortepian, garniturek mebelków obitych czarnym rypsem, talerz z biletami, koszyk z kolorowymi owocami z marmuru i kantorek pana Stefana, niezapomniany kantorek z lusterkami, w którego szufladkach ~~xxxx~~ wolno mi było grzebać do woli ! " Babci" pokój był najbliżej kuchni. W jednym z dwu głębokich okien wisiała klatka z kanarkiem, poprzez którego ~~xxxxxxxx~~ " śpiw" - tak tu wymawiano to słowo -toczyła się ~~xxxxxxx~~ zawsze rozmowa. Babcia siedziała zwykle w kącie ceratowej, czarnej sofy przed stołem, owinięta w tyftyk rakowego koloru, z koronką czarną na głowie i w ogromnych okularach, na jeszcze ogromniejszym, niekształtnym nosie. Była już wtedy wiekowa (dzieci jej także, prócz panny Maniusi, która była jeszcze "prawie" młoda) ale ~~xxxxxxxxxxxxxx~~ przedziwnie żywa i zabawna. Za mną przepadała. (Ach! Jakże przemiłe jej liściki mam jeszcze w szufladkach!) i opowiadając mi o swym dzieciństwie, zabawiała mnie wystrzyganiem z papieru misternych sylwetek, co umiała mistrzowsko ! Trzymając

przed sobą kartkę papieru, z przedziwną pewnością wystrzygała nożycz=
kami w przeciwnym od oczu kierunku np. grupę sarn, jelenia z łanią,
(przy czym poroże jelenia miało kontur artystycznie doskonały) cza=
sem bywała to ka[p]liczka wśród świerków - i znowu podziwienia godne
były gałęzie drzew. Czasem charty pędzące za szarakiem... Ludzi nie
wystrzygała nigdy. Może zniechęcały kochaną Babcię profile jej włas=
nej " dziatwy" ? - dość, że jej zwierzęta były zachwycające, zdumie=
wające szybkością i brawurą z jaką powstawały...

W lwowskim klasztorze Sacré Coeur wychowywała się cioteczna
wnuczka Babci, Maniusia Donimirska, córka pana Antoniego, znanego
patrioty i działacza w Księstwie. Z tą Maniusią widywałyśmy się p
podczas Świąt, które dla zbytniej odległości od domu, spędzała u cio=
ciów Grzywińskich. Bardzo lubiłam tę dziewczynkę. Śliczna była i
jakaś inna niż tutejsze dziewczęta. Może nie tak chwytna w rozmowie
ale głębxxxx głębsza, entuzjastka bez frazesu i zdumiewająco szczera.
Choć miałam także dość wcześnie swoje wewnętrze życie, nie byłabym
umiała tak siebie komuś innemu wytłumaczyć. A nie było to takie na=
logowe " mówienie o sobie" cechujące banalne podlotki. Raczej głoś=
ne myślenie przed kimś, z kim się ma ochotę razem myśleć. Pamiętam
raz - ponieważ istniał zxyxxxz dawny obyczaj chodzenia rodziców po
Wilii do Grzywińskich - zaproszona przez Babcię i uproszona u rodzi=
ców przez Maniusię, zostałam tam na noc i spędziłam pierwszy dzień
Świąt z nimi.

Cóż to była za radość i przygoda! Zbudzić się w innym niż
zwykle pokoju, na ceratowej sofie Babci Grzywińskiej, wprost okna z
bluszczem i okrytą szczelnie chustką klatkę z kanarkiem, słyszeć
syczenie wielkiego samowara koło drzwi do kuchni i ciche krzątanie
się kochanych istot... Okryta wielką pierzyną - zimno tam musiało
być porządne !- pxxxxxłxxxx patrzyłam na zamarznięte jak błona, małe
okienko i rozkoszowałam się poczuciem niezwykłości, jaką przeżywam.
Potem nadeszła w berlaczach i katanie babcinej Maniusia Donimirs=
ka i gadałyśmy razem pod pierzyną jak w zaspie, póki się w pokoju
nie zrobiło ciepło i nie pozwolono mi pójść myć się za babcin, zie=
lony parawan koło pieca...

Na Mszę św., poszłyśmy do kościoła Benedyktynek i byłam dość
oświecona już wówczas żeby usłyszeć z pożytkiem, dobrze już dzięki
cioci Tereni obeznana z listami Odyńca i z Mickiewiczem, że zakon=
nicą w tym klasztorze była i umarła ongiś Marcelina Łempicka.

A potem - gdy naukę skończyła - wyjechała Maniusia pod Toruń
do rodziny i wyszła zczasem za mąż, za magnata kresowego Świackiego,
który miał olbrzymi majątek graniczący z Białowieską puszczą. xxxxx
Dziś, utraciwszy wszystko, pracują w Toruniu na życie, oni oboje
i ich jedynak syn.

W tych malutkich celkach klasztornych mieszkali Grzywińscy latami. Zczasem sprowadzili się w ich pobliże i Państwo Józefowie Żulińscy. Mieliśmy tedy w bogobojnym obejściu dwa adresy kochane. Ostatni raz byłam u PP. Grzywińskich po wilii z rodzicami w r. 1893. Towarzyszył nam Tateczek, już jako mój narzeczony. Zawsze się brało z domu ręczny dzwonek i gdyśmy już stali pod drzwiami, nie pukając trząsł Tatko dzwonkiem i intonował głośno " W żłobie leży.." Zaraz robił się hałas wewnątrz ,drzwi odmykano i wpadaliśmy w objęcia pana Stefana, panien Anieli, Jadwisi i Maniusi i z miejsca wybuchał śmiech, fajerwerki konceptów, dworowania rozkoszne, którym nie było końca. Pamiętam, że Tateczek struchlał na widok brzydoty tych najmilszych ludzi i wyrzucał nam, żeśmy go dość wczas nie przygotowali na wrażenie. Istotnie nad miarę byli szkaradni... Ale co za serca, co za pogoda niezmącona, jaka prostota, a zarazem lita ogłada ludzi najlepszego tonu ! I jak nas kochali serdecznie!

Na szereg lat przed wojną wyprowadzili się do Bolechowa, kupiwszy za ową sumkę żelazną posiadłość xxxxxxxxxxxx z domkiem. Tam umarli pan Stefan i panna Aniela. Panna Maniusia wyszła zamąż za pana Ksawerego Deskura, zaś panna Jadwisia jeszcze jej dzieciom jest opieką i błogosławieństwem.

X

X X

Na pierwsze piętro kamienicy gdzieśmy mieszkali sprowadzili się niemal równocześnie z nami PP. Bilińscy, rodzina składająca się z owdowiałej matki, dwu córek Maryńci i Jadwisi i syna Stasia. Matka, Rudroffówna z domu, wysoka, bardzo poważna i miła pani, zxxxxx zainicjowała stosunki i często bywałyśmy u siebie z tymi dziewczynkami. Były ogromnie grzeczne, samowite, dobre i choć moja fantazja nie mogła w nich znaleść towarzystwa, lubiłam je, pomimo, że stale dawano mi je za przykład, jaka być powinnam. Nie miałam złudzeń, że mi daleko do tej doskonałości. Impetyczna byłam bowiem i niedbała a nade wszystko leniwa okropnie.

U Pani Bilińskiej zebrał się komplet dzieci na naukę tańca. Chodziłam także. Muzyka, gwar kręcących się dzieci, wszystko razem podniecało mnie bardzo i zajmowało aż do zacietrzewienia. Chodził na te komplety i brat mój cioteczny, Bronek Maryańki, którego nie lubiłam nigdy, podczas gdy on wyróżniał mnie wybitnie. Przy " wybieranym" do mazura pomijałam go skrzętnie, on zaś równie skrzętnie zawsze mnie angażował. Wiedziałam, że danserowi odmawiać nie wypada zła byłam, ale bezbronna. Wreszcie w jakiejś chwili, gdy znów się ku

mnie zbliżał, uszłam w głąb mieszkania, przemknęłam się do przedpokoju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana- na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy dreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju Ciocia. Po jakiejś chwili zobaczyłam, że się w obu pokojach palą lampy i że Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma, jedną na drugiej ruchome ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. Dostałam zapalenia płuc. Jeszcze w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Żuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Rodziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitym dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się, żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze trochę chwieją...

Ku wiośnie pokazało się, że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korczyński doradzał Styrię. Ciężki to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał się swoimi szkołami właśnie tyle, ile było potrzeba na istnienie nas wszystkich, mały kapitalik posiadała jeszcze tylko, nieżyjąca z mężem Babcia, przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Mamy, nigdy dotąd nie reprodukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Głeichenbergu.

Pamiętam nastrój przedwyjazdowy. Tatko namalował dla mnie olejny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na odwrotnej stronie deseczki. Pani Aszpergerowa przyniosła mi śliczną książkę francuską z obrazkami " Bébé en voyage". Od pana Tadeusza dostałam medalik za szkłem, od Cioci torebkę na rzemyku, podróżną. Samolubne zwierzątko jakim, z całą moją rozbujałą fantazją byłam bezsprzecznie, nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego ucisku serca z jakim zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wciąż jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadziów Korczyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę Babci i cioci Tereni. Babcia Korczyńska miała rysy podobne do babcinych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak i w niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przemiły causeur. Mama pamiętała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadziów, gdy mieszkali w Grybowie. Do Mamy - już wówczas swej narzeczonej i babci, przyjechał na zapro=

 82

szenie dziadziów i Grottger. Narysował tam wiele pięknych studiów : portrety obojga dziadziów, cygana, chłopię z nutami śpiewające na chórze, którego ciekawą strukturę i rzeźbę z aniołem grającym na organkach z grzybowskiego kościółka odrysował.

Wuj Edzio zbadał mnie z wielką starannością i coś tam niewesołego powiedział Mamie, bo strasznie była zgnębiona i choć nie była do tego skłonna nigdy, pamiętam, że wówczas płakała. Pamiętam też może głupie podniecenie na myśl, że jestem aż tak chora, rodzaj dumy z tego i zaciekawienie dla samej siebie.

Z Wiednia zostało mi wspomnienie dość intymne. Oto na ganku hotelu spotkałam się z Turkiem, który ~~niósł w ręce~~ wynosił naczynie wysoce poufnych przeznaczeń, Turkiem w turbanie i hajdawerach prawie że ~~xxxxxxxxx~~ Turkiem " z pod Wiednia"! Pokazało się, że obok mieszkał jakiś dygnitarz turecki ze swoim dworem. ~~Wielce byłam zaabsorbowana tym xxxxxxxxxxxxxxxx spotkaniem, zatarło się ono jednak, gdyż~~ Dzięki egzotycznej załodze dowiedziano się w hotelu że to akurat jakieś mahometańskie święto i w pobliskiem meczecie można oglądać czynione do niego przygotowania. Poszłyśmy z Mamą i było to istotnie śliczne. Wnętrze bardzo wysokie, ciemne prawie, oświetlone tylko zwisającym od stropu mnóstwem lamp o łagodnych barwach, jakieś przepyszne jedwabne makaty zawieszone w powietrzu, bo falujące jak żywe na przeciągu, a cała posadzka zasłana xxxxx grubo trawą, gałęzkami zielonymi i kwiatami... Nic nie wiem jakie to było święto, jak wyglądało wejście do tego wnętrza, ale wrażenie tych świateł, zasłon jakby oddychających i kobierca świeżej zieleni zostało xxxxxx mi na zawsze w pamięci.

Nigdy, nigdy nie omieszkała Mama zdobyć dla mnie czegoś ładnego do widzenia, czy przeżycia, zawsze we właściwej chwili, usłyszałam coś, co było jakby nowym oknem odmykanym ku przestrzeniom.

W Gleichenbergu zamieszkałyśmy wygodnie i blisko lasu, w rodzaju pensionatu, ale bardziej negliżowego od dzisiejszych. Nie było table d'hôte'u, ciągle miało się do czynienia z gospodarzami obojgiem. Nazywali się dobrze brzmiącym po niemiecku nazwiskiem Hoferów. Mama wielkie miała ze mną utrapienie z powodu mej odrazy do jedzenia. Nie chciałam... Chciałam za to mnóstwa rzeczy, których nie mogłam. Oto jeździć na osiołkach, które tam wynajmowano na spacery, łazić po lesie za grzybami, grać w kręgle, zaznajamiać się z wszystkimi dziećmi jakie się nadarzyły. Wuj zaś kazał abym jak najwięcej jadła i nie ruszała się. Biedna biedna Mama !

Rysowałam pasjami, bawiłam się trochę Hassanem, moją ulubioną lalką roboty Mamy, ogromnym Turkiem w jaskrawym stroju, o zginają=

93



Fritz przysłał Mamie na ślubny prezent złotą bransoletkę -sypki łańcuszek misternych ogniwek - u której kołysały się dwa, jak opłatek cieniutkie,trącające o siebie dukaty. Śni mi się,że był na nich " straszny Indianin" z łukiem i piórami we włosach,ale nie przysięgnę. Brzęk tej zawsze przez Mamę noszonej pamiątki zrósł mi się nieodłącznie z rytmem jej szybkich,drobno po domu ciętych kroków, zupełnie jakby się jedno nie mogło dziać bez drugiego. Wydaje mi się także,że poszept tych blaszek poznałabym na drugim końcu świata,tak bardzo był swój własny i tak bardzo Mamin.

d r.
83

[Ż]ących się stawach z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej przez liczne dzieci, jakie podobnymi niewolnikami obdarzała - ale - przeważnie nudząc się, byłam strasznie dokuczliwa.

Tymczasem pewnego dnia, do naszego domu pod lasem zjechali nowi goście. Ogromne, nigdy przedtem przez mnie tej wielkości nie widziane ich kufry - prawie domki obite blachą - wnoszono z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu, że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, ciemno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego - Amerykanie.

Naturalnie, że w pierwszej chwili miałam zawód, jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie, pół dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i w tych chłopcach, przyjaciół na całe życie - wiernych, wytrwałych mimo oddalenia, z których jednego, po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie niby najlepszego brata kiedy... ale nie! Trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo... Otóż pani była wdową i nazywała się Mrs.U.A. Spahr. Chłopcy : Otto, Fritz, Charlie i Eddie - przyjeżdżali z Nowego Jorku dla poratowania płuc Fritza, a potem z racji nauki wszystkich czterech, którą dla ćwiczenia w językach, matka chciała im dać w Europie. Umiałam już na tyle po niemiecku, aby się przegryść przez codzienne tematy, a niemieczczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo nieśmiało i dużo pojęć zastępować trzeba było na migi. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to były całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody w obejściu, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych Hassanów, którymi komenderowałam dowoli i - dzięki ich ruchliwemu widokowi - potulniej leżałam na moim rozkładanym krześle. Fritz natomiast to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał naturę artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mędrzejszy i dojrzalszy, nie tylko odemnie, ale od swoich starszych braci. Zrozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był Mamie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czym zawsze gorączka wracała wyższa - Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wypłakałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka...)*

Jemu też - (doprawdy nie wiem jak zdołałam to wyjęzyczyć?) zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem, że doszli do przekonania, że póki miewam gorączki, nie

można mi tego bronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, niespodzianki, odwołujące myśl od pokuśnego narzędzia i dziś dopiero mogę w zupełności ocenić jaka to była sztuka.

Chłopcy Spahr mieli ze sobą różne zamorskości. Najlepiej mi się podobał kompas z nerwową, mądrą igiełką, wprawioną w " morski bób ", okrągły, ciemnopąsowy przedmiot rosnący pono na dnie morza, - kompas, który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat siedemnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam takiej obfitości prawdziwych grzybów i tysięca innych odmian, ~~jak~~ co w Gleichenbergu. Rosły wokół buków prawdziwki całymi weselami, jakby kto zabawek nasypał na mech. Ładowałam w fartuszek, kapelusz, do Mamy parasolki, wreszcie nie mogąc zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na słońcu - gdyż - brzmi to niewiarygodnie a jednak jest prawdziwe - nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów, bano się trucizny i Frau Hofer odmówiła, gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam xxxxxxx ich na obiad, ba! nawet o suszenie ich nad kuchnią !

Razem ze zdrowiem wracała mi dawna impetyczność. Potulny, rycerski raczej sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność siebie i dość często zdarzało się, że po jakiejś awanturze stosować musiała Mama pedagogiczny kompres, w którym kładła mnie do łóżka i oznajmiała, że znowu jestem chora. Pamiętam taką kurację, gdy Mama i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego, którego tłukłam bez opamiętania. Miał bowiem zwyczaj, nie licząc się zupełnie z tym, że go nie rozumiem, wpadać z jakimiś zajmującymi nowinami, cały pod wrażeniem swych przygód doznanych w lesie czy ogrodzie i opowiadać mi je po angielsku, bardzo szybko i głośno. Dawałam mu znaki, że nie rozumiem, on jednak gadał dalej jak budzik, który się musi wyterczeć. Raz, gdy wpadł znowu z taką angielską opowieścią, rozzłoszczona, rzuciłam się na chłopca i z całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu, których spojrzenie chwyciłam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz, już mając puścić, gdy obie matki przyszły na odsiecz. Po chwili zawinięta w kompres leżałam na kanapie, a zacne chłopcy dopraszały się aby móc przyjść do mnie z współczuciem i przebaczeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą, młodziutką wiewiórkę, którą mi Mama kupiła do zabawy. Wracając raz ze spaceru odbytego z panią Spahr i chłopcami, tak gwałtownie rzuciłam

się ku Mamie, że siadając jej na kolanach - nim mnie zdążyła ostrzec - zadusiłam kochane zwierzątko, śpiące w maminej kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszła na jaw, że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i było kilka dni biedy ze mną, nim się uspokoiłam. Ulubione xxxxxxxxx migdałowe ciasteczko i Bach "stosowany" przez Fritza, uśmierzył pierwszą gwałtowność cierpienia... Długo jednak widok wiewiórek żywych i swobodnych, których pełno było w domowym lesie, odnawiał rozdzierające wspomnienie.

Poza tym - pobyt w Gleichenbergu, polegający na piciu koziego mleka, które do ostatka napełniało mnie odrazą - nie obfitował we wrażenia.

X

X X

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę, tylko wszystkie czasy naraz zgarniam w podołek i przesypuję... Boję się przy sortowaniu pogubić je - i stąd ten zygzak opowiadania?.. Może znajdę gdzie jeszcze listy Mamy do Tatka z tego okresu, co pomoże mej pamięci i wypełni luki. Na razie notuję tylko jak pamiętam...

Ponieważ okres kuracji w Glechenbergu się skończył, a mój normalny apetyt nie wracał - wracać zaczęły gorączki. Mama, korespondująca na mój temat z najdroższym wujem Edwardem, miała mnie - wedle jego zlecenia powieść w wyższe góry do Aussee. Kochaną rodzinę Amerykanów zamierzałyśmy pożegnać dopiero w Monachium - wyjeżdżali bowiem równocześnie - a przy sposobności zwiedzić miasto. Wiedziałam jak szczęśliwe czasy przeżył tam Tatko z Marcelem Maszkowskim, Pentherem i Matejką. Znałam teki z karykaturkami przyjaciół rysowane wówczas... Odszukałyśmy więc z Mamą ulicę przy której Tatko mieszkał ale galerie były przeważnie zamknięte, a moje zdrowie i tak nie dość mocne aby je zwiedzać. Pojechaliśmy tylko wszyscy razem do Kolosa Bawarii na Theresien Wiese. Wszedłszy schodkami przez wnętrze posągu aż do głowy, przez wykroje oczu oglądaliśmy rozległy widok. Pamiętam doskonale jakim niesmakiem przejęła mnie potworna statua, brzydka swoim ogromem i mająca w sobie coś z Molocha, połykającego ofiary. W lecie zwłaszcza i w upał, wnętrze tej spiżowej pałuby miało temperaturę wręcz niesamowitą! - W Monachium też wydałam - otrzymany na wyjezdnem od Tatka - nienaruszony dotąd kapitał i kupiłam przemiłą i śliczną książkę Kate Grenaway "Am Fenster".

W towarzystwie pani Spahr i moich chłopców pojechaliśmy jeszcze z Monachium do Hellbrun.

..Pamiętam jakiś pobiskupi barokowy pałacyk - z ogro= dem pełnym wodnych figlów i marmurami wykładanych ~~xxxxxxxxxxxxx~~ śnieżek, schodów - tarasów z galeriami o balaskach z marmuru, podobnych do szeregu łydek krągłych, obciągniętych białymi pończochami - jakieś miejsce ani ładne ani wesołe - a chcące być jednym i drugim bardzo natarczywie. Gdyby po nim krążyli ludzie w białych perukach, i atłasach kolorowych, miałoby to ja= kiś sens - ale tak ? W dodatku niektóre koncepty dość nie= wybredne. N.p. : jest stół kamienny obstawiony takimiż stoł= kami, na które - niby dla wypoczynku - zaprasza zwiedzających cicerone-dozorca. W chwili jednak gdy kto nieświadomy rzeczy istotnie na nich usiądzie - stołki wytryskują gąszczem krzyżu= jących się nad nim i nad stołem -fontann ! Albo: straszliwa głowa z kolorowego fajansu, połykająca w miarowych odstępach wpadającą jej do paszczy kulę, przez prąd wody w strumieniu miarowo jakoś podrzucaną... Wszystko to jest niesmaczne i nawet owa myszk którą trąci nie łagodzi niesmaku.

Typowy przykład, co wynika, gdy Niemiec chce ześlado= wać Francuza. Nie ma bowiem wątpliwości, że ogród Hellbruński zasłyszał coś o Werdalu.. Czymś jedynym naprawdę ładnym wśród tej figlarnej wilgoci -jest szczelina, przez którą widać w ciem= nej głębi groty przeźroczysty, migotliwy słup wody, oświetlony blaskiem dnia skierowanego przez inną, niewidoczną szczelinę, - słup na którego ruchomym ciemieniu tańczy kołysząc się, wzno= sząc i zniżając razem z nim - ~~xxxxxxxxx~~ śliczna w kształcie, złota korona, - albo już odłożona, albo właśnie do wzięcia - ko= rona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota w której -ubrana w czar= ny marmur - śpi Eurydyka, o ramionach i obliczu biało-marmu= rowym... Nad nią odpowiedni Orfeusz gra na - skrzypcach...

..Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz także grać nie przestał - jedna korona już chyba nie tańczy dzisiaj w Hellbrunie...

No, a potem, we dwie już tylko z Mamą -ruszyłyśmy do Aussee Po drodze, mijając różne pięknie położone miejscowości, pociąg nasz wjechał w okolicę tak cudną, że stojącej przy oknie zupełnie mi się w głowie zakręciło!

Nad rozległym, zielonym jeziorem, niby zwał stężałych obło=ków - lodowce ! I drugi taki sam zwał diamentowy odbity w czystej cichej wodzie... Zaczęłam krzyczeć że tu wysiądę i stąd nie wyja=dę! Pociąg stanął na stacji Zell am See i nim Mama mogła temu przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się za mną dzieje ! Moment trwały pertraktacje z Mamą, która nawoływa=ła do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał - nie było rady ! Trze=ba jej było wyrzucić - bezładnie, jak w pożarze - wszystkie manatki na plant i wysiąść samej coprędzej... Cudowną dobę przeżyłyśmy w tym czarodziejskim Zell. Jeszcze gdzieś po domu wałęsa się xxxxxx szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, kupionego mi tam przez Mamę,, miniatura dużego, którym wzdłuż brzegów jeziora od=byłyśmy popołudniu zachwycającą przejażdżkę. Nie wiem czemu nie osiadłyśmy tam na resztę leczniczego pobytu . Może Aussee jeszcze wyżej położone ?

Aussee ani w części nie okazało się tak piękne, jak Zell choć wysokie górzyska piętrzyły się także nad miasteczkiem. Za to tu - jak na złość, przy dużej drożyźnie - zaczęłam jeść. Zdrowie moje poprawiało się szybko i dzięki temu mogłam chodzić z Mamą na dalsze nawet spacery... Zapach górskich kwiatów, siana i igieł świerkowych - zielony strumień, który leciał jak wariat po prześlicz=nych kamykach w kolorowy marmurek - uszczęśliwiały mnie. Ścież=kami wysłanymi igliwiem, szło się przez las ku położonemu niedaleko Alt-Ausssee. Było tam spore jezioro z wysepką porosłą gogodzami i " Gasthaus" z huśtawką . Trudno mnie było z niej zwołać. Huśtając się, miałam wrażenie że lecę prosto na srebrzący się w dali lodowiec Dachstein . Jednym słowem - zagospodarowałam się w tej nowej ładności wcale szybko

Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas ulewny deszcz, taki gwałtowny i krótki jakie się w górach zdarza=ją - podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch. Mama bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach Gasthausu, w kącie sali, na ławeczce pod oknem, oswobodziła mnie z mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni, aby wyschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie suche osoby - starszy pan i siwa pani - siedzące pod przeciwległym oknem sali, obserwowały nas widocznie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby za=raz powrócić i zbliżywszy się do xxxx nas podać Mamie parę świe=żych pończoch z najuprzejmiejsza propozycją, abym je włożyła, nim moje będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po "ciociowemu" i - że to Mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa

zapocznanie,zasiad przy wspólnym stoliku,a potek w drugim pokoju gdzie stał fortepian muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował xxxxxxxxxxxx z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad maminym głosem.i śpiewem. Ten pan to był ks. Wittgensterin z siostrą. Ja w jej pończochach,a w trzewikach pożyczonych od Mädli usługującej,asystowałam koncertowi. Potem, kilka razy jeszcze nim wyjechali,robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Assee widziałam też z bliska szarego cesarza Wilhelma I-go Jechał przez miasteczko -skądś-dokądś - powozem w asyście innych powozów. Było to wieczór. Mimo iż nie ściemniało się jeszcze,pozapalano xxxxxxxh,jak na szabas świece w oknach małego rynku. Deszcz padał,nikt się nie tłoczył. Mnie jakiś uczynny Szwab w decydującym momencie chwycił na ręce - zanim miałam czas na to się żachnąć - i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bakobrodach,twarz starego,dobrodusznego psa...Marna to była przyjemność.

W Assee przeżyłam inne,dużo silniejsze wrażenie,a mianowicie burzę górską,z błyskawicami,świecącymi raz po raz, z grzmotami i piorunami roztrzaskującymi się o turnie i lodowce w setne echa,z wichrem opętanym -taką,jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Płakałam, mówiłam pacierz,rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna,biedna Mama!

X X X X X X

Zapewne wracając z Assee zatrzymałyśmy się w Salzburgu a stamtąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do hr.Reverterów- tych samych z babcinego Quid libertu,którzx mieszkali niedaleko miasta w swej willi.

Znałam z opowiadań cioci i Babci wszystkich członków kochanej rodziny,zarówno umarłych,jak jeszcze żyjących.Starego hr.Antoniego - który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej - i mawiał pono o swoich synach,że : " die Buben müssen sekiert werden..." -jakiś dziwnie podobny w mojej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z " Dziadka do orzechów" xxxxxxxxx podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego syna tylko dwa słowa : " Panie Fryc !". - Znałam i starą hrabinę Annę,z domu Hertmann,dobrotliwą,sielusieńką staruszkę,ongiś przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich " dzieci" -dorosłe dziś,siwiejące lub umarłe... Fryderyka i Frydérykę,chrześniaków hr. Moszyńskiej,Matyldę,Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę,o ślicznych,złotych włoskach...Złocisty orzech z ich choinki wisi do dziś w Quidlibecie,obok pukla jasnego Adeli

Tożsamość Fryca i hr. Matyldy zwłaszcza zrbiła na mnie wielkie i czułe wrażenie,gniewało mnie tylko,że nie rozumieją po polsku i że nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać. -Dziś bardzo mało pamiętam oczyma z tej wizyty. Koszyk ze świeżymi figami,o jakich często mowa w bajkach " Z tysiąca i jednej nocy " xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku, a potem w drugim pokoju gdzie stał fortepian i muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad maminym głosem i śpiewem. Ci państwo to był Ks. Wittgenstein z siostrą. Ja xxxxxx w jej pończochach a w trzewikach pożyczonych od Madli usługującej, asystowałam koncertowi. Potem kilka razy jez jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też zbliska starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko xxxxxxxxx skądś dokądś -powozem w asyście innych powozów. Było to wieczorem. Mimo iż nie ściemniało się jeszcze, pozapalano jak na szabas liczne świece w oknach małego rynku. Deszcz padał, wszyscy stali pod parasolami, ale choć był ścisk, nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny Szwab chwycił w decydującym momencie na ręce, zanim miałam czas na to się żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bakobrodach, twarz starego, dobrodusznego psa... Marna to była przyjemność.

W Aussee przeżyłam inne, dużo silniejsze wrażenie, a mianowicie burzę xxxxxxxx górską, z błyskawicami świecącymi raz po raz, grzmotami i piorunami, roztrzaskującymi się o turnie i lodowce w setne echa , z wichrem opętanym - taką, jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Płakałam, mówiłam pacierz, rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna, biedna Mama !

x x x

Zapewne wracając z Aussee zatrzymałyśmy się w Salzburgu, a stamtąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do hr. Heverterów tychsamych z Quod libetu, którzy mieszkali niedaleko miasta w swej willi.

Znałam z opowiadań Cioci i Babci wszystkich członków kochanej rodziny, zarówno umarłych, jak jeszcze żyjących. xxxxxxxx Starego hr Antoniego, który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej i mawiał pono o swoich synach że " die Buben müssen sekiert werden..."- jakiś dziwnie podobny w mojej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z " Dziadka do orzechów", podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa xxxxxxxxxx " Panie Fryc ! " - Znałam i starą hrabinę Annę, z domu v.Hertmann, dobrotliwą, bielusieńką staruszkę, ongiś przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich " dzieci" - dorosłe dziś, siwiejące lub umarłe... Fryderyka i Fryderykę, chrześniaków hr. Moszyńskiej, Matyldę, Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę, o ślicznych, złotych włoskach... Złocisty orzech z ich choinki wisi do dziś w Quodlibecie " obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość " Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza, zrobiła na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko, że nie rozumieją po polsku i że nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać. Dziś bardzo mało pamiętam oczyma z tej wizyty. Koszyk ze świeżymi figami, o jakich często mowa w bajkach "Z tysiąca i jednej nocy"

ogromny, jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia cioci Tereni nad biurkiem hrabianki Matyldy, którą mi tkliwie pokazała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie niesłychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam dopiero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Babci i Tatkowi. Między innymi uwagę hr. " Fryca" (wówczas austriackiego ambasadora przy Watykanie) na temat urody Babci, którą jako rówieśnik jej pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył, że żadna z nas nie może się równać z Babcią. " Sie war verblüffend schön ". On sam był - nawiasem mówiąc - najtypowszym okazem wielkiej rasy, jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwycały, w przeciwieństwie do jego żony, małej krępej blondynki o twarzy pospolitej i chmurnej Rosjanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochaną - odrazu kochaną stała mi się hrabianka Matylda !

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańskie brwi nad nimi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przywiędłych skroniach, śnieżne zęby i czułość niewysłowioną z jaką mnie tuliła i pieściła - zachowałam na zawsze w pamięci xxxxxxxx Jej niemieczczyznę, ponieważ dużo mówiła o Babci i Cioci, rozumiałam i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywała mi ogród, brzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej Tolletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego mała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robiona przed laty, czerwieni się staroświeckimi dachami i zieleni majowo od misternie wykończonych drzew w ciocinnym Quodlibecie. Na ścianie w saloniku widniała też w owalu złotej ramki litografia przedstawiające hr. Moszyńską, tak dobrze mi znajoma. Tłusta, nieładna damulka w budce z 30-tych lat, pęku strusich piór na wierzchu. Ta sama, pamiętana, na którą miałam już zwyczaj patrzeć gdy mi Babcia lub Ciocia o swej związanej z nią młodości, opowiadały. Ona to zapoznała ze sobą obie rodziny : naszą i Reverterów.

Hr. Antoni (ów z jedną brwią wyższą!) znalazł się z rodziną jako kapitan któregoś z austriackich pułków, we Lwowie. Hrabina Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartament xxx w swoim domu, rada z miłej, towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycji. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który xxx mnie jeszcze dostał się w spadku...

Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała ciocia Terenia za jej staraniem posadę u Hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka, już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę - Matyldę i Teofila, dokształcając się

jeszcze równocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli - jak się rzekło - chrześniakami Fryderyki Hr. Moszyńskiej, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały jej dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną, starszą siostrę i całą serdeczną młodzież Reverterów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choinki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnym czytaniu autorów klasycznych, -razem płatano - jakże anielsko naiwne! - psoty, urządzano baliki dziecinne, na których rolę kamerdynera odgrywał stale " Fryc", późniejszy ambasador w Petersburgu i przy Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "kamerdureń"... Uchowały się jeszcze malowane kunsztownie zaproszenia, przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik taki miał odbyć, ze wszystkimi tytułami kaligrafowanymi starannie przez młode comtessy i baronessy na małych, wąskich kopertach. Pokazywała mi je w r. 1890 hrabianka Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtórzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś, koło Pełczyńskiego stawu. Na rozległej łące, parkiem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. Wtedy pasący się za parkiem, spory byczek, wziąwszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkowi, przełamał barierę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas ciocia Terenia zasłoniła sobą dzieci i „stawiła czoło" zwierzęciu. Przez moment zdawało się, że będzie po wszystkich, ale - o dziwo! - bydlę straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicami tuż przed pół żywą bohaterką i posapawszy chwilę - cofnęło się. Dzieci były już dość mądre by zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedziały o nim rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych dziękczynień i starań, zwłaszcza, że po przeżytym wstrząsie zaniemogła.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyńskiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipotecznego Banku szumiał na Pełtwi malowniczy młyn - gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeami Przemysłowym i Miejskim - placu Castrum, bito piloty dębowe w grzęzawisko, na którym stanął gmach Skarbkowskiego teatru. Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty ze stadkami małych oberwańców, grających na nim z zapałem "w kiczkę", podobnie jak na sporym, narożnym placyku, na którym za mej pamięci stanął

gmach Sokoła Macierzy.

Gdy hr. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia podążyła Ciocia za nimi. Przedtem wszakże w r 1840, na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia ciotki Charlotty v.Jordan, pojechała do Prągi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu, niektóre wielce ciekawe dla rodziny, znajdują się w dziesięciu listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, Babci zwanej Dulką i Celinie, której imię skracano na "Tyna" lub " Tynka". Tam znajduje się wzmianka o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan " portretach familijnych, olejnych i miniaturze Luizy kanoniczki. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Korczyńskim i widzenie z nim po drodze, także opisane jest w tych listach z podróży do Pragi. Tante Jordan była - jak z nich wynika - nudną, zchorowaną, i całkiem nieciekawą"alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobna z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczulało ciocię Terenię, rudą jak i on, z wydatną dolną wargę i pięknymi rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna, Tekla La Motte de Frintrop , której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych to legatów wszakże, przez Babcię i Ciocię nie roztrwonionych, kupioną została po 42 latach od praskiej wizyty - Storożka. Gdy ciocia bawiła w Pradze stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów...

Osiemnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została olbrzymia - jak na dzisiejsze pojęcia - korespondencja, najstaranniej chowane; nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką starej hrabiny Anny, drobnym, przeźroczyście czytelnym pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Tolletu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu pełne najpoufniejszych relacji rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życie sfer dyplomatycznych przy Watykanie - listy wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako zródło dla badacza epoki - kiedyś... Dla nas przede wszystkim jako rozczulające świadectwo jakości obu tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę, że i dla potomków wspaniałego " Fryca" mogłyby się tam znaleść niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Collie, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przyszła do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe, prześliczne pudełko z kandyzami ze słynnej cukierni " Marquis". Syn tegoż Mikołaja dał o sobie słyszeć z okazji afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie

wielkiej wojny, a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym, który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił żonę i jej amanta... O jakże błogo, że świątobliwa hr. Matylda nie dożyła już tej epoki!

Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu, w przemiłym Fontachhof koło Parsch pod Salzburgiem, miałam sposobność napatrzyć się jej cudownej poprostu pobożności. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła- radosna -mądra -dziecinnie prosta zarazem, - jakieś przyswojenie do Bożej ręki, jakby ptaka, polegające nie na strachu, ale na " bliskiej znajomości" pojęć i spraw, które mają imiona Najwyższych Istot oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych " na codzień". Cienia bigoterii, ckliwości.. Przeciwnie! Nie znosiła jej, nieraz czyniła ciężkie i śmiałe uwagi na temat księżej, niefortunnej reżyserii za kulisami wiary, reżyserji - nad której szkodliwością ubolewała wymownie, wielbicielka i dobra znajoma Leona XIII-go, który specjalnymi łaskami i przywilejami ją obdarzał. Miała n.p. pozwolenie, jako dama orderu Sw. Anny udzielania sobie samej Komunii św, co czyniła od lat w domowej kaplicy, codziennie. Pamiętam jej białe, śliczne zęby i zielone oczy pod cygańskimi brwiami, gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek, opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specjalny typ galicyjskiego Żyda z pejsami i w jarmułce, nie mogąc się nadziwić że jeszcze do dziś przetrwał...

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg, piękny, jak skomponowany z fantazji obraz, Kute w ścianie Mönchsbergu pustelnie, cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna, którego capstrzyk usypiał mnie cowieczora przez tyle szczęśliwych lat - zanim o innych, donioślejszych jego dziełach się dowiedziałam - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki, gdzie uczęstowana zostałam ciastkiem rozmiarów i cnót już dziś zaginionych...

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najmilszej, czarującej, świętej... Gdy młodszy brat Teofil umarł bezżenny, gdy wskutek jakichś przewrotów -nie wiem czy politycznych, czy innych, majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicja rodziny - ojca zwłaszcza - skupiła się na najstarszym, pięknym, zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza, owa też Fryderyka wyszła za świetnego markiza de Quiuverchin - o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersytetu (bodajże wiedeńskiego?) Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie od dawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni, młodzi, mądrzy i oboje z ambicjami sięgającymi dużo wyżej umysłowo, niż to było w wojsku i arystokracji wymagane. Tym=

czasem stary hrabia - z jedną brwią dużo wyższą i groźniejszą od drug= giej - uznał widocznie że i " Mädchen müssen sekiert werden" i ~~spxx~~ sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra, siostra markizy de Quieuverchin, siostra przyszłego ambasadora, którego ma= rjaż w wysokiej mierze zawisł ~~od~~ od skompletowania doborowych ~~nazw~~= wisk w najbliższej rodzinie - nie może sobie pozwolić na profesora, który jest tylko " von" i o którym Almanach Gotajski nie ma nic do powiedzenia... Tak czy owak, dość, że stanowczy sprzeciw ojca był wyrokiem, przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się ci= chusieńko, wzorowo, jak obyczaj każe, tylko hrabianka Matylda wypła= kawszy się Panu Bogu w rękaw zrezygnowała wprawdzie ze swego naj= milszego ~~prułxxxxxx~~ profesora, ale również cichusieńko i wzorowo wykonała jakieś wiążące, choć świeckie śluby, mocą których nigdy nie miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym bodaj sposobem swojej ręki, którą - tak jak wstrzymał - tak i rozporządzić był gotów samowol= nie. Nie bardzo rozumiem dlaczego tak właśnie, a nie inaczej postą= piła, dlaczego nie zdołała się zdobyć, zamiast biernego oporu, na postanowienie czynne, ale tłumaczy się to pewno wielkim przywią= zaniem do swoich, którym - kosztem osobistego szczęścia - nie chcia= ła przynieść uszczerbku. Ci istotnie źle na tej ofierze nie wyszli. Matylda ślubów dotrzymała (nawiasem mówiąc nie ożenił się też nigdy Ludwik v. Arnim) i osobisty jej majątek stał się z czasem głównym, a wreszcie jedynym oparciem dla trzech bratanic, córek Fryderyka, które również zamąż nie wyszły i które, już jako niemłode panny, poznałam w Parsch, w r. 1902 gdyśmy bawiąc w pobliskim Rei= chenhall z Mamą odwiedziły po raz ostatni Hr. Matyldę.

Najmłodsza z nich Paula, jest świetnie utalentowaną akwa= relistką, uczennicą słynnego Carśandiego w Rzymie. Najstarszą Mary malował Laszlo. Smutnie i dostojnie piękna. Średnia, Annie, najdow= cipniejsza. Wszystkie trzy, istne " dziewice skał" d'Annunzia, sta= szejące się z godnością i wdziękiem pośród arcydzieł sztuki i cu= downej, górskiej przyrody. Na ścianie ich salonu wisiał oryginał Rafaela : Madonna z dzieciątkiem - nad kanapą jasno żółtą z malino= wym obiciem, profilek anioła Carlo Dolce. W apartamentach ich oso= bistych, pełnych słońca i mebli w jasne, wielkie kwiaty, wiszą orygi= nalne ~~sangxxxxx~~ sangwiny Andrea del Sarto i stoi duża, żelazna okuta skrzynka, zawierająca wyprawne brylanty ich zmarłej matki, ~~xxxxxxxx~~ Buturlinównej, brylanty, które po niej odziedziczyły, ale których jako niezamężne - nie włożą ~~na siebie~~ nigdy... Nie mają wbrew oby= czajowi starych panien żadnych psów ani kotów, pieszczoną ich ulu= bienicą jest dziwnie piękna w kolorze i wymiarach, jedyna smukła kolumna z rudego, alpejskiego marmuru, którą w braku czego innego,

przyzwyczaiły do głaskania mimochodem..

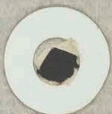
- Sie hat sich schon daran gewönt...Sie hat's gern...- żartowała smutnawo Paula...

X

X X

Pomimo starannej i użytecznej kuracji, zimę po niej przebyłam jeszcze jako rekonwalescentka. Co soboty miałam u siebie znowu zebranie. Zamiast ruchomych gier zaprowadzili Rodzice deklamację - w której odznaczał się zapałem i pamięcią Genio Piasecki, dziś profesor uniwersytetu w Poznaniu - oraz teatrzyk z papierowymi figurkami, na którym " grało się " Balladynę (skróconą oczywiście) niektóre ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza, "Powrót Taty" i różności, które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakóbowiczówny, córki p. Fryni, z domu Maszkowskiej, Jadwiga Sawczyńska, i Tyńcia Piasecka, choć ~~xxxxx~~ dużo starsze odemnie, pomagały w tych przedstawieniach. Duszą ich był też, wraz z siostrą Anielką, Karol Maszkowski, później przyjaciel najbliższy Wyspiańskiego, zwany wówczas jeszcze Lolem, który miał zawsze śmiałe a szczęśliwe w tej dziedzinie pomysły. Raz wykleił mi osobny niby teatrzyk, portyk na greckich kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko, ale bez jednej, frontowej ściany. Na ścianie w głębi, wprost " wejścia" widniała naklejona owalna fotografia Madonny Sykstyńskiej... Do czego służyć miała ta świątynia, już nie pamiętamy oboje... Byłam nią jednak zazwycona.

Po produkcjach i przedstawieniach następowała loteryjka fantowa, przy której każdy zawsze coś wygrywał, aby nie było niczyjej krzywdy, choć między fantami były zwykle jakieś bardziej pożądania godne. Także - niezmiennie wygrywali goście - nigdy ja, domowa. Tatko prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność z jaką każdy wygrywał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie, choć niby traf o tym rozstrzygał... Nie odbywało się to za pomocą kart. Kart jak długo dom Rodziców pamiętam, nawet na żart nigdy w nim nie ~~bywało~~ było ! Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kłaść chciała kabałę, czyniła to zawsze kartami własnymi. Rozdawane nam były wszystkim podłużne tabliczki z numerami, oraz po garstce szklanych kwadracików. Tymi nakrywało się - o ile były na tabliczce - numery przez Tatka wygłaszane. Kto prędzej swoją tabliczkę tymi szklanymi łazankami pokrył, ten wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty to był np. ładny kościany scyzoryk, pulares z pąsowej skórki, ołówek, notes, szczególnie piękna pomarańcza lub gruszka bera, tabliczka czekolady w srebrnym pa=




pierku, czasem nawet jakaś książka, czasem ładny garnuszek... Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić, że nie tylko obecność ich w niczym nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w ten dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera, gdzie chadzał codzień na dzienniki i na pogwarek ze znajomymi, ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku " sobocie".

Szalony mój temperament z przed choroby przygasł znacznie i łatwiejsza się stałam do prowadzenia. Kręcidło nie straciło jednak swej władzy nademną i wyobraźnia moja szalała dalej po wiadomych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cudownego warsztatu na który go kładłam natychmiast i wykańczałam po swojemu. W związku z takim " wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek, do którego trzeba się tu przyznać.

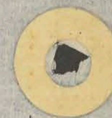
Oto na jednej z sobót nie zjawiła się, przychodząca jak zwykle z rodzeństwem, mała Zosia Piasecka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko, z którym można się było bawić akurat tak samo - jak bez niego. Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcje. Bronek Maryański przetrzepał już " Piotra Pszonkę Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydłuższą o królewiczu Kaźmierzu w katedrze wawelskiej, Genio tocząc zwycięsko oczami, płynnie i z patosem rzeczoznawcy (ile że jeden z pośród nas znał naprawdę prawdziwe Tatry) głosił ich piękno wierszem Pola " Jak potopu świata fale..." gdy wtedy rozległ się głośny dźwięk dzwonka u wejściowych drzwi - dźwięk, który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał, otwierając pole wyobraźni, rozległe jak Sahara... Bronek poleciał otworzyć. Kto to może być? Z czym? Zaraz zaczęłam motać... Może Fryc Spahr? Może jakaś pani, której nie znam, a która zaprosi nasz wszystkich do swojej willi koło Florencji ? Jednym słowem zator cudownych możliwości, w formie mieniącej się, tęczowej piguły, która ważyła się w powietrzu za drzwiami i - dzwoniła... Póki się nie wie, wszystko jeszcze może być ! Z twarzą napiętą prawie jak jeden z tatkowych blejtramów, patrzyłam w drzwi za którymi zniknął Bronek. Do chłodnego przedpokoju nie było mi wolno .. wtem weszła Mama mówiąc :

- Ależ się ucieszycie ! Ani byście zgadli kto przyszedł...

Od drzwi szedł Bronek prowadząc za rękę małą Zosię, niosącą swój obandażowany palec, jak białą, sztywną laleczkę... Tylko Zosia !! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła aby ją przecie przyprowadzić... Przyszła...

Nic nie wiem z jakich obłoków spadłam na jej widok, dość, że uraza do losu, rozczarowanie gwałtowne, zawód przeraźliwy tak mi zakręciły





w głowie, żem się rzuciła na grube, spokojne dziecko, na tę " tylko Zosię " i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od małej oderwał, nierozumiejąc niczego i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle. Ale czyż było możliwe wytłumaczyć czy im czy starszym, właściwy powód uczynku ? Tylko Zosia ! Tego nawet wymówić nie można było głośno.. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czym innym - Bóg wie czym wszystkim - co mogło stać za drzwiami..

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie zupełnie nic nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie rzeczy mi szło, tylko o to czego nie było. Potem dostałam szeroki kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi, jak się tamci " dobawiają ".

Poza sobotami istniała też inna krynica uciech, stanowiąca jakby antydotum na moje własne bajania - oto słuchanie opowieści bez początku o którym zapomniałam , ani końca, który nigdy nie nastąpił - z których jedną " O Kukurydzowiczach", drugą " O przygodach Szczypiańskiego" komponował Tatko dla mnie. Osobną zaś, cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała Mama.

Kukurydzowiecze to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której wszystkich członków, gości i rezydentów znałam jak rzeczywistych ludzi. Prali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady w saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół (momenta najbardziej rozdzierające !) Raz wśród największej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy.. Do dziś pamiętam wstrząsający opis jednej Pasterki, na którą wzięty został któryś z małych Kukurydzowiczów - wyczarowany świetnym słowem, nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kościółka rozisokrzone światłami - gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając, że hajdamacy napadli... Opowieść ta zachwycająca bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatka. Oto np. gdy opowiadał , jak to raz wszyscy siedzą już przy wigilijnym stole, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtem zdaleka odzywa się brzęk dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić zlekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanki były coraz bliżej i dzwonki coraz głośniejsze - wreszcie w jakiejś chwili zmieniały melodię i rytm - głośne i pomieszane - odzywały się tuż pod gankiem. Ktoś przyjechał... już dziś nie wiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy... Ach ! Naprawdę - nie tylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien był także żem Zosię Piasecką wybiła ! Jeżeli opowieść o nich nazwałam

" antydotum",to głównie dlatego,żem podczas słuchania sama niczego motać nie miałam czasu.

Przygody Szczypiańskiego to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka,gdy bywał"na stancji"w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi,na podeszwie oczywiście,uważane było przez profesorów za krańcową rozpustę,- gdy mimo xxxxxxxxx sumiennie płaconego komornego,dawano chłopcom wciąż kaszę hreczaną,w której nierzadko knot od łojówki znajdowali - gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiwendy,której biedne smarkacze nie miały xxxxx gdzie i nie umiały konserwować,życie studencików w szkołach, ich dole i niedole,korowody z kolegami,typy profesorów, zimno "w stancji " takie,że woda w miednicach marzła -wreszcie ów postój w xxxxxxxxx drodze do oddalonej szkoły,gdy fioletowy i znieczulony mrozem uczniak wpadał na moment do znajomego sklepiku,aby nad blachę kuchenki rozmrozić - lub chyba właśnie odmrozić -ręce, w które czasem sklepikarka,pani Mikułowa,wkładała gorący kartofel. Szczypiański, to było nazwisko jednego z istotnych kolegów Tatka, najpomysłowszego w klasie,którego coraz to nowe psoty,poznawane na raty w miarę przybywających " rozdziałów" eposu,tak mi się pomieszały z własnymi wspomnieniami,że zawsze muszę się chwilę zastanowić nim sobie ustalę,że mnie na plebańskiej,szarej berze nie było,gdy się ta gałęź złamała i Szczypiański ramię zwichnął - i że nie wiem jaki naprawdę miały smak xxx śliwki z kminkiem na rożenkach,wyjadane w spiżarni skąpej owej gospodyni,kraszącej hreczaną kaszę łojówkami...

Dziedzina " Alfa i Marynka" to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się jeszcze ta opowieść gdym była chora i jak palacz papierosa zgłodniała krecidła...Przecież to,że mi powlekają łóżko czystą bielizną,dają lekarstwo,czasem Tatko pokaże jakie ilustrowane pismo, Józia naleje wiszącą lampę,a Mama wróci z miasta,pachnąca mrozem,z czymś szeleszczącym w zarękawku,co ma być dla mnie - to jeszcze nie jest żadnym " dzianiem się"... I wtedy zaczynała się bajka. Naturalnie dużo w niej było wpływu naszego najmilszego Andersena,ale były i oryginalne motywy. Np. -nie odwiedziny krainy Elfów,ale przeciwnie - Elfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe stąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynka i trochę mazgaja Alfa która nie orientując się w elfiku,ich przyjacielu,bawiącym się incognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką [redacted] posądza go o to,że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych psot,koziołków i tańców. Były jakieś psoty tegoż elfika wyczynione tej ciotce a potem pełne wdzięku zadośćuczynienia - ale xxxxxxxxxxxxxx niepodobieństwa

przecie przypomnieć sobie szczegółów tej Fata Morgany na horyzoncie moich dziecinnych oczu - dość, że była piękna i nieporównana z żadną ówczesną książką, pośród których chyba jeden Andersen był hors concours !

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać niż xxxx dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzymi myślami, dużo mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Kto by potrafił wyczarować dziś dziecku takimi kilkoma przelotnymi słowami xxxxxx wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła Żana Drobczyńska, dyniska przyjaciółla Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadając na moje pytanie : jak tam wygląda na ulicy ? - sypnęła garścią pailletek :

- A cóż? Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg. A Żydówka z maronami go dostrzegła, podniosła, wola xxxxxxx..ale sanki już pojechały. Stara Żydówka została ze srebrnym wachlarzem...Dwóch panów w cylindrach śpieszy się... Postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem ich zaczepia...Weszli do sklepu z pomarańczami...Znowu sanki i dzwoneczki.. Przez szyby słychać muzykę. Zaczyna padać śnieg.. Świat widać jak przez tarlatan ... "

Panny Bronia i Anielka Skólimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów - zaginione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconymi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś " objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatków, słońce z szeroko roześmianą gębą , jakaś scenka amoretkowa, owce, serce przebite strzałą...Z tymi, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przyszpilać takiego orderu lekkomyślnie...Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym, białym manszecie z kartonu, obszytego brzegiem papierową koronką. Godne akcesoria do ohydnej mody ówczesnej ! Doprawdy historia kostiumów, jak długa i szeroka, nie zdobyła się na nic xxxxxxx skończeniej xxxxxxxxxxxx szkaradnego, jak suknie z makartowskiej epoki ! Mało jaka ewolucja odbędzie się równie szybko, jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i podniesienia smaku wogóle. Obok damulek Maneta - taki Poiret czy Doucet ! Takie wreszcie stroje o liniach płomienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracja francuska, zdjęte podczas partii Polo w paryskiej Bagateli ! Porównać je ze sukniami młodości Sary Bernardt, Pauliny Lukki i mego dzieciństwa...Nie! naprawdę nie wszystko z czasem jest gorsze!

X

x x

Jak już raz ze wstydem wyznałam, uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solenność z jaką Ciocia Terenia zwłaszcza, odnosiła się do Procederu nauki, czyli - jak mnie się to przedstawiało - przekładania z miejsca na miejsce zapasu wiadomości. Uważałam, że całkiem wystarczy jeśli Ciocia będzie to i tamto wiedziała... Każdej przecie chwili mogłam ją - gdyby zaszła tego potrzeba - zapytać o wszystko. Wiadomym mi było bowiem że Ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej rady, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakby mimochodem, w formie opowieści, czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota - ciocia Terenia - czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecznie.

Geografii uczyłam się zatem z relacji o podróżach hrabiny Moszyńskiej i Reverterów, przy czym przemycało się podejrzanie dokładne szczegóły o krajach, miastach, mieszkańcach, różne cyfry i daty, z którymi nieraz coś na rzadkim sitku mojej uwagi zatrzymane, przetrwało do dziś. Ilustracją do komentarzy bywał oszklony Quodlibet cioci, mapy, globus.. Czechy, Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnieniom Cioci z tych okolic, z czasów gdy tam bawiła u ciotki Charlotty Jordan. Wizje Katarzyny Emmerich, której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawę do poznania Pisma Świętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle, gdym sobie rysowała w kajecie, zjawiała się czatująca na tę chwilę Ciocia i z jakąś robotą w ręce, sadowiła się opodal. I zaczynał się "dyskurs". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony, to chwytanie " oczka" w ciągle prującej się uwadze, ta baczność abym nie zmiarkowała zamiaru.. Druga forma to były gawędy po ciemku, na długiej, wąskiej kanapce.

Dziwaczny ten kompromis ze swawolą smarkacza, nie był wynikiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten, że latami po przebytej chorobie płuc, po każdej, najlżejszej irytacji, dostawałam gorączki i kłucia w powiększonej śledzionie. Bezradni Rodzice woleli więc tę fuszerkę nauki, którą w tej formie znosiłam, niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich późniejszych nauczycielek ! Były to osoby albo już wtedy święte, albo dziś oddawna - dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości - zbawione. Bardzo, bardzo nierychło miałam polubieć naukę !

Ciocia tedy, w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historii, geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę spe=

cjalną, pannę Julię Abgarowiczównę. Odbywało się to już trochę później, byłam zdrowsza i musiałam cierpieć całe godziny. Rachunki to była zawsze moja najsłabsza strona i pozostała nią bez ratunku. Taki sam fizyczny odrzut jaki się miewa czasem do kota, węża, myszy - ja miałam do matematyki. I - pożal się Boże - co to była za matematyka ! Tabliczka mnożenia i krótkie, nadaremne mocowanie się z ułamkami. Nie mogłam ! I tępota wrodzona na tym punkcie i wstręt jakiś, uczyniły mnie w tej dziedzinie kaleką. Biedna Panna Julia! Naczęściej bowiem, po godzinie anielskich wysiłków z jej strony i zawziętej bezmyślności z mojej, słyszała zuchwałe pytanie :

- Co pani na tym wszystkim właściwie zależy? Bo mnie nic a nic! Czy nie lepiej, żebym pani coś narysowała?

Chemii - w sztubackim oczywiście zakresie - fizyki z książki i takiej samej botaniki, uczyła mnie panna Helena Uścieńska. Łagodne, bladozłote stworzenie, które jakoś lepiej znosiłam od biednej panny Julii. Botanikę demonstrowała mi z wiosną na żywych xxx kwiatach i trawach i to było zabawne. Natomiast dla opisywanych w książeczce stosów Volty, kociołków Pappina, tłoków i prądu Galvaniego pozostałam najzupełniej obojętna i dopiero w schodnickim warsztacie, dorosła, zrozumiałam że i one mogą być czymś w rodzaju cudu.

Muzyki uczyłam się zrazu u Mamy ale gdy jej autorytet okazał się za słaby, dostałam nauczycielkę obcą, panne Brulard. Pamiętam, że ślicznie grała, dziwnie aksamitnie, ale była niezaradna, brzydka, stara i kwaśna. Nic się jej nie dziwię! Dość, że te lekcje były raczej parodią nauki, niż czymś na serio. Za muzyką sama przepadałam, umiałam jej słuchać z pożytkiem i bardzo wcześnie - i nieobecność jej w moim dzisiejszym życiu, to jedno z najbardziej bolących xxx wyrzeczeń, ubóstwo, jedno z najmniej spodziewanych. Nie byłabym uwierzyła, że można żyć bez muzyki -tej wielkiej, prawdziwej... Bardzo szybko uczyłam się na pamięć wszystkich utworków, lekceważąc nuty i jeżąc się nawet na tę szczyptę mizernego rachowania, konieczną aby zrozumieć podział taktu. Było we mnie jakieś nieuleczalne cygaństwo i całkiem nie pojmuję dlaczego, mimo jawnej beznadziejności wysiłków, uczono mnie jednak dalej.

Po p. Brulard wybrano mi nauczycielkę młodszą, przyjemniejszą. Była nią panna Paulina Lachner, uczennica ukończona szkoły L. Marka, który obok K. Mikulego, szopenisty, romantyka -reprezentował we Lwowie kierunek Lisztowski, kładąc raczej nacisk na temperament i siłę. Panna Paulina po kwaśnej i słusznie zwykle mną zgorszonej pani Brulard, wydała mi się miła i ciekawa. Oczywiście nie kieru=

nek, ani metoda jej gry zaważyły na tym wrażeniu. Działało tu całkiem xxxx co innego. Oto panna Lachner miała nieoceniony obyczaj poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przede mną różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem brukowej gazetki, którego chciwie czekałam. Fortepian był w tym wszystkim jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy " straszny wypadek", oparzenie służącej, upadek z piętra, przejechanie i inne nowiny - jaskrawe i popularne jak oleodruk - umiała opowiedzieć niemal szybciej, niż się zdarzały. Prosta rzecz, że wiedziałam poza tym niemal wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny, które były liczne i niechybnie pilniejsze odemnie. Ulubienicą jej była Helenka Feiglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec tejże Helenki, lekarz sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozmaitych samobójstwach, czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się więcej z trupami, niż z żywymi.

Panna Lachner, bawiąc w owym domu bardzo często, miała zawsze z pierwszej ręki relacje o wypadkach i szczegółach podobnych. Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność, że Dr Feigl był jedynym we Lwowie specjalistą od balsamowania nieboszczyków. O tych to ponurych czynnościach dra. Feigla opowiadała mi panna Paulina z nieubłaganym, holenderskim realizmem. Zupełnie xxxx tak samo byłam chciwa tych szczegółów, jak się ich bałam straszliwie. Jedynie też ze strachu przed własnymi słowami nie powtarzałam xxxxxx niczego z tych okropności Rodzicom ani cioci. Napół świadomie zapewne lękałam się także, aby mi mojej ciekawej gazetki " nie zawieszono" nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwowie jenerała Josiki, zatruwał latami spokój moich codziennych zasypiań. Tak się złożyło, że doktor Feigl musiał wykonać swój zabieg nocą, sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym, przy blasku licznych lamp i świec i już dniało, gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś czerwony preparat, aby się wydawał rumiany i nie tak martwy... Ach! I mnóstwo jeszcze innych dodatków w opisie tej nocy... Okropne to było! Gdy austriacki ów dostojnik zachorował, pierwszy raz wówczas widziałam przed domem w którym leżał wysoką warstwę słomy rozłożoną na ulicy, aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też wspaniały pogrzeb potem, z oddziałem wojska i pułkową muzyką, rydwan pełen wieńców i jadącego konno za karawanem rycerza, zakutego w czarną zbroję, z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu. Ten Josika był bowiem ostatnim z rodu i tarcza ta miała być strzaskana nad jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy, na karym, zirytowanym koniu, sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasz=

nej ballady, ponura, wojskowa muzyka i te szczegóły o barwionych o zaranku policzkach umarłego - wszystko to pozostało mi w pamięci na lata, jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana myślą ciemna wyspa- jak taki czasem jeden kąt w domu, niewiadomo czemu straszniejszy od innych...

Bo ostatecznie - niech sobie starsi mówią co chcą- pomimo że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi - przecie cudownie jest się bać ! Strach tak samo ciągnie, jak odpycha, ten ciekawy, rodzący się w nas - z niewiadomego... Ten który jest stanowczo najsilniejszym co dziecko - a może i człowiek wogóle ? - nerwami może odczuć. Całkiem słusznie czynią rodzice zakazując niańkom straszenia, w każdej jednak biografii dziecinnej znajdzie się taki jakiś balsamowany nocą Bogu ducha winny jenerał Hosika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie i nie wie - opowie...

Z tych relacji panny Lachner, obok ponurych, medycznych guseł dra. Feigla, pozostał mi jeszcze we wspomnieniu ...mózg małej dziewczynki stróża rozpryśnięty na deskach paki ze śmieciem w jakimś sąsiednim podwórzu.. Coś na nią spadło, skrzynia, czy brama, nie wiem - w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy w mgnieniu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu, ona naturalnie poszła czemprędzej na pobliskie podwórko, obejrzała zabitą i przy pierwszej lekcji opowiedziała mi o wszystkim. Przedziwnie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego umysłu ! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mózg dziecka, xxxx rozpryśnięty na szarych deskach śmieciarki, nie " pamiętam" ale wprost widzę... Długo, długo kojarzyło mi się to widzenie z słodkim świegotem szuwaru i zapachem zwiędłej w słońcu zieleniny brzozowych liści na naszym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcji znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum... Przynajmniej było mi lżej przełykać zło konieczne. Postępy moje były w dalszym ciągu znikome i to pewne, że nie one, tylko raczej moja widoczna chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauliny. Była to niewiasta bardzo " słuszna", o ówczesnej pięknej figurze, w stanie wcięta jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą, zdumiewająco czarnymi brwiami, która podczas lekcji - o ile nie opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieustannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełne kieszenie. Do dziś nie wiem dlaczego to robiła ?

Mieszkała z matką i dwiema starymi pannami, ciotkami, na=

przeciw nas w jednopiętrowej kamieniczce, na której tynk pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony, wąski balkon właśnie przed salonikiem panny Lachner, kryty gontami dach i strychowe okienka o giętym wykroju, niby oczy wieloryba. Nad tym dachem obserwowało się zawsze z zimie chmary kawek, z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne. Nad jego ośnieżonymi gontami stale, przez szereg najmilszych lat, wypatrywało się gwiazdy trzykrólskiej, której mroźne jaśnienie było corocznym hasłem do Wilii...

Raz - pamiętam - stałam przy jednym z okien sypialnego pokoju Rodziców, patrząc z Tatkiem, poprzez szyby, całe w diamentowych bodiakach, na zimowe, granatowe niebo. Nagle Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniejszą od trzykrólskiej i powiedział tonem zupełnie naturalnym, ale takim, który zapamiętałam do dziś :

- Popatrz no, tę gwiazdę ci darowuję ! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać !

Póki byłam w domu zawsze wiedziałam która to... Potem dom Rodziców się skończył, znikła pomidorowa kamieniczka naprzeciw, inna wysoko na jej miejsce wyrosła, ja zamieszkałam gdzieindziej.. Gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zamyliła na niebie.. Wiem jednak, że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

...Istniał już wówczas obyczaj odwiedzania na imieniny i obdarowywania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. CHadzałam na kwartalne " popisy" i takie właśnie imieninowe uroczystości naprzeciw (skąd dziwnie było mi popatrzeć na nasze cztery, kochane okna !) gdzie wywierały się na dwu ogoniastych fortepianach kilka razy do roku najzdolniejsze elewki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazji, odbębniwszy mężnie na pamięć pamiętaną sonatinę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helenką. Nie lubiłam jej z góry, tak jak wszystkie dzieci nie znoszą takich, które im się daje za przykład, pokazało się jednak, że Helenka (szlachetna dzisiejsza artystka pani Helena Ottawowa) jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi nawet coś miłego o mojej sonatinie. Nosiła, tak jak ja, grzywkę czarną, przystrzyżoną nad brwiami, ale podczas gdy z mojego karku zwisał długi i gruby warkocz, ona nosiła włosy krótko obcięte, w kędziorach. Na szyi miała sznurek różowych paciorek z matowego szkła, których jej czas dłuższy skrycie i mocno zazdrościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Nam wrażenie, że panna Paulina, jej matka i ciotki musiały

mieć razem wziąwszy jakąś niesłychaną ilość lat. Niemniej oznajmiła mi pewnego razu panna Lachner, że wychodzi zamąż. Zdumiałam, a potem zaraz pojęłam dlaczego uderzyły mnie od pewnego czasu znaczne melioracje w jej powierzchowności. Dużo jeszcze czarniejsze brwi, policzki jeszcze bledsze, loczki krucze nad czołem, zawsze podobne do kudełków perskiego baranka - jeszcze bardziej krucze i pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś perfumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zarękawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się, że narzeczonego znałam już z widzenia. Jeszcze w jesieni widywałam to maleństwo z czarnymi baczkami i w żółtych trzewikach, siedzące między dwoma oleandrami na balkonie w żelazne smukłe " iksy", podczas gdy z głębi saloniku płynęło wspaniale smutne, przejmujące mnie zawsze " Zaproszenie do tańca" Webera. Panna Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem jawiły się na balkonie wszystkie trzy grube Parki i ona sama, co - zważywszy konkurenta i dwa oleandry - było nielada ściskiem. Wprawdzie zasiady te trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i choć zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na myśl mi nie przyszło, żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze było na nim nazwisko. Nazywał się Kościelecki. Piastował jakiś niewysoki, ~~jakxxxxxxxxx~~ x jak on sam, urząd miejski i przyszłość oblubieńców układała się gładko. Pan młody miał się poprostu wprowadzić do poczciwego babińca naprzeciw, wnosząc do wspólnego menażu aport złożony z kilku starych konterfektów rodzinnych, pensyjki comiesięcznej, parawanu o sześciu skrzydłach jak Cherubin - no i samego siebie.. Bardzo ciekawie sposobiłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała.. Jakaż była jednak cudowna niespodzianka, gdy mnie panna Lachner, razem z ciocią, zaprosiła na wesele ! Nigdy jeszcze dotąd na żadnym weselu nie byłam i już naprzód pławiła się moja wyobraźnia w jakichś niebywale malowniczych widzeniach.

Niestety jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień nie pozwoliło mi na bytność w kościele i tylko, zawinięta, jak ~~xxxu~~ cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i znalazłam się ~~pxxxx~~ pośród weselnej parady. Panna Lachner nazywała się już panią Kościelecką. Przemiana ta, pierwszy raz tak naocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do głębi. Choć byłam łakoma, nie rychło otrząsnąć się zdołałam z ~~xxx~~ wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod którymi " uginał" się stół, - ba! - cały archipelag mniejszych, biało okrytych stolików. Wszystkie malutkie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał

szczelnie ścisk młodociany. W wesołej gromadzie ~~gromadzie~~ stawiły się wszystkie uczennice. My z Helenką liczyłyśmy się do młodszych, najmłodszą była, obecna także pięcioletnia Oktawcia Rojekówna. W tym kolorowym orszaku, błyszczącym grzywkami i warkoczami, motylami kokard i ~~szarfx~~ szarf, krążyła jak biały wodotrysk, opłyniętą przejrzystym welonem, czarno-brewa panna młoda. Postrojone bordeaux i brązowo, popielato i biało-koronkowo - przetaczały się z miejsca w miejsce trzy grube Parki, co było tym większym kunsztem, że wszystkiego było dość na tej fecie - prócz miejsca... Na kanapie i fotelikach pod ścianami rozlokowano mamy i przynależne do dziewcząt ciocie. Cały szczupły teren wyglądał jak spoisty marcepan, w którym główną inegrediencję stanowiły podlotki i tak zwane "smarkule". Spodem, między tą masą szmyrgał i nurkował pan młody...

Po wręczeniu pannie młodej jakiegoś zbiorowego upominku od uczennic, rozpoczął się obrzęd herbaciany. Wązka klitka, taki akurat tylko futerał na fortepian, wchłonął dziś cudem jakimś i stół i długiego jak krokodyl Bösendorfera. Na stole, wśród talerzy malowanych w bukiety kwiatów, stały owe zaginionego dziś gatunku, podwójne konchy porcelanowych etażer, złączone wykrętną, pozłacaną gałęzią, spiętrzone stosami ciastek o kształtach już też zamierzchłych: wielkie banie kawowych pianek, makaronikowe łuki osypane listkami krajanych migdałów, - twarde jak minerał płaskie kreacje z czekolady na opłatku, cwibaki, mazurki żółte w rzucik drobnych korynckich rodzynków (zdaleka istne arkusze z muchami, połapanymi na lep..) środkiem, na obrusie okrągliły się strojne torty, o nazwach które też pustym stają się dźwiękiem. Torty skaliste, linckie, pomadkowe, daktylowe... Kosze pełne pomarańcz i ber, w białych zawojach serwet zdumiewające ilości gorących maronów.. Z domowych

osób nikt nie siadł, wszyscy starali się nieba i wszystkich tortów naraz przychylić gościom. Rodzina - jak wymiarkowaliśmy - miała się zjawić dopiero po nas, na kolację.

Po herbacie i tortach oznajmiono nam, że będzie przedstawienie. A zatem jeszcze jedna rozkoszna niespodzianka ! W głowę zachodziłyśmy kto i co będzie przedstawiał ? Lawirując nie bez przeszkód między skupionymi w ciasnocie sprzętami, ciągnąc za sobą każda swoje krzesło, zgęściłyśmy się w pokoju obok jadalni, dokąd nas skierowano. Za przepierzeniem improwizowanym z portretów rodzinnych pana młodego i jego wyprawnego parawanu, znajdowały się łóżka, przed tą zaś dyskretną kulisą widniał rodzaj szopki, mała scenka okryta draperiami z firanek, pusta i oświetlona niby kinkietami, szeregiem płonących stoczków. Zastanowił nas brak pana młodego

na widowni, zaraz wszakże stał się zrozumiałym, gdy z podłogi scenki umieszczonej nieco wyżej, niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo ~~adxx~~ odziane laleczki i ozwał się z pomiędzy draperii głos pKościeleckiego, naśladujący do złudzenia dialog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te niby osóbki, ruszał nimi, mówił za nie, kłócił się, czynił to wszystko tak zręcznie i ucieszenie, żeśmy się zanosiły od śmiechu. Były to dwie sztuczki : " Berek zapieczętowany " i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej diabeł i organista w szafirowej kapocie, ~~xx~~ który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z lalek piszczała innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Notując to wszystko, sama ~~xxxxxxx~~ sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny ! Wnętrze skromniuteńkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakgdyby dziecinnych, mieszkanie ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przede wszystkim o tym aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzierlatek, z których niejedną stokroć lepiej zaopatrzyło życie od nich - przyjemność, bądź co bądź, nawet w tamtych łatwych czasach kosztowną, poza którą nie było śladu wyrachowania ! I te ucieszne marionetki pana młodego w asyście starych, karmazynowych konterfektów ! Niedawno z największym rozczuleniem przypomniałyśmy sobie z p. Ottawową owo wesele, niewiarygodną dziś wręcz atmosferę tej chwili, blednącą w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, linckich, pomadkowych...

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkaniu naprzeciw, nie trwała długo... Czy antenaci namotali coś na wąsach, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka stanie kołyska, a nowożeniec o nazwisku większym od siebie, zostanie ojcem... Czego tam w odpowiednim terminie dożył sześcioskrzydłowy parawan - nie wiem. Zasłyszałam tylko rozmowę babciów przy komodzie pod oknem, z której wynikało, jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała cioci Tereni, że : " pocałowała by się tam gdzie nie dosięgnie, z radości, że zamąż nie wyszła..."

Lekcje z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studiów jest owa słynna "polka nieśmiertelna" (która nadomiar była zawsze walcem...) grywana jeszcze przeze mnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy...

X

X X

Z rozkoszą wspominam [redacted] wakacje w Mikuliczynie w roku 1881.

W drodze ze Lwowa Mama, Babcia ja, czteroletni Adaś i służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cudny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama przed pomnik na rynku, cały w łunie wschodzącego słońca.

- Popatrz, to właśnie ten Karpiński, który napisał " Kiedy ranne wstają zorze..."

Znałam go już z kochanego " Przyjaciela Ludu", którego czytywała mi nieraz Ciocia. Pamiętałam, że gdy miał przyjść na świat, napadł na dwór Karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się święci, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko, aby to dziecko mógł trzymać do chrztu. Miałam już osiem lat, poprzednia podróż po xxx Styrii i Bawarii nauczyła mnie patrzeć z pożytkiem i całkiem dorzecznie orientować się w nowych wrażeniach. Wskutek tamtych przeżyć miałam się tylko za coś osobliwego... Korespondowałam z Fritzem Spahrem - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub Cioci... Góry i lasy szpilkowe przypominały mi Gleicheberg i Aussee .. Byłam uszczęśliwiona...

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera, wysoko, nad zboczą okrytą łąkami, na razie same, gdyż Tatko na wakacje nadążał zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany. Poniżej tej rozległej zboczy, rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, ~~ani~~ i nie podobna zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Żadnych will ~~ani~~ ani dworków, od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam koło naszej siedziby pewien karkołomny, wysoki przełaz i łączkę za nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów xxxxxxxxx wyższych odemnie, jaskierów, firletek, kaszek nie widziałam nigdy z tak bliska. Buchnęłam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zaroszonej, wyxxxxxx sokiej trawie. Pamiętam użycie szalone, szelest fioletowych dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek pchających mi się między rzęsy, zapach xxxxxx ~~xxxxx~~ przymieciony, prze grzanej słońcem zieleniny... Mam wrażenie, że tak od serca przywitałam się z tym wszystkim pierwszy dopiero raz - na tę łączce. Trawa była tak wysoka a ja tak mała, że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko odrazu nad samymi kaszkami i jaskrami, daleki, niebieski łańcuch gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to powietrze! Takie samo, umiłowane do śmierci, z jakim niestety w swoim

czasie - podobnie jak z Lukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich polnych kwiatów. Była zwłaszcza jedna łąka spadzista bardzo, którą się szło w dół po wodę skośną ścieżką, między samymi kwiatami. Rumiany, mieczyki amarantowe, wielkie, białe, pachnące koniczyny, skabiozy liliowe i żółte - kwiaty jakieś kosmate, błękitno granatowe, podobne do grubych, krępych gąsienic. - czy ja już ~~nie~~ wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać ?! Dość, że się napatrzeć - nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, popod prostopadłym obrywem leśnego jaru. Zarastała go świerczyna, kalina, maliny... Dostęp do samej wody śliski był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcją osobną i rozkoszną. Łąkę tę i dróżkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek ! Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, podcinano zawsze skrzydła, aby nie mogła polecieć. Po roku dano jej spokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jaki klejnot, mieniąca się w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce, które zawsze bardzo mnie inspirowało : zbocze obcięte jak olbrzymi, skośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzchu porośnięte świerkowym lasem - zbocze, dla moich ówczesnych oczu niebotycznie wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawa. Bardzo się lubiłam bać tego widoku, wyobrażając sobie zawsze dziwy na tym tle... W chwili gdym się raz zagapiła na ową pasiatą ścianę tonącą właśnie w cieniu, Marcelka wrzasnęła :

- Kaczka ! Nasza kaczka !

Istotnie zobaczyła dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie, jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach. Im pasiate tło było ciemniejsze o tej porze, tym ona jaskrawiej błyszczała. " Że też ona się nie boi ! " - pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko najwidoczniej poczuwszy siłę w skrzydłach, skorzystała z pierwszej okazji aby drapnąć. Jakaż ona musiała być szczęśliwa ! - Są czasem jakieś bez zrozumiałej racji ostrzejsze klisze w kasecie pamięci... Ten kawałek bożego świata z lecącą przezeń kaczką - mam w oczach do dziś, tak wyraźnie, jak w chwili kiedy mnie widok ich olśnił i unieruchomił. „Szczęśliwa kaczka" nie wróciła już nigdy między kury, w mojej ~~xxx~~ zato głowie została na zawsze...

 121

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zasobnego hu = cuła, który hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny pod= rostki. Codzień widziałam jak wieczorem wracały z całym stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodzi= ły z połoniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z nimi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie. Po płótniankach dyniskich i żurawieńskich, wydawali mi się ci ludzie jakby jakimś teatrem, ogrom= nymi krasnoludkami, zaczarowanymi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich, całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chałupce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego xxxó nabożeństwa xxxxxxxx w cerkwi i tego ścisku, który wyglądał napraw= dę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu -myślę dziś, że - jakkolwiek jeszcze i teraz jaskrawy -tłum ten musiał po= szarzeć. Nie wiem czy noszą jeszcze Huculi w Mikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne hajdawery, jak wówczas, - pasy nabijane mo= siądzem, czy jawią się na kobiecych głowach dwie czerwone włóczko= we przepaski, jakby greckie, plecione w warkocz i przetykane mosięż= nymi guzami ? Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pąsowej włóczki? Nie chyba... Usłużna, tania, żydow= ska tandeta w kramach, gasi przecie wszędzie koloryt wsi. Błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży, przedrzeźnia obrzy= dle trutka anilinowych grynszpanów, różów, gumigut..

Poznajomiłam się wreszcie z małymi Huculkami. Najstarsza z nich nazywała się Katryna, miała chudą, przyjemną twarz z bystrymi siwymi oczyma, włosy tak jasne, że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuściną, związaną w węzeł pod brodą. Dwa wełniane, pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do półot = wartego, smukłego strąka. Na ramionach nosiła zwykle szarą, jak i koszula płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie u= miałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Ba= wiło mnie, że zna wszystkie owce zosobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi powiedzieć. Wszystkie trzy dziew= czynki były najętymi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające daleko w górach. Straszną miałam ochotę pójść z nimi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko...

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych in= nych dzieci w pobliżu. Mama dla, dla cierpienia serca, nigdy po gó= rach chodzić nie mogła, Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, k które go zajmowały, Babcię absorbował Adaś - ja zaś, zdana jedynie na moje kręcidło i własny przemysł, żądna byłam przygód. Rozstrzygnął wreszcie wątpliwości Rodziców sąd panny Filipki, dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bawiła u Greinerów, mówiła czysto

po polsku,miała mimo brzydoty dotkliwej,humor bajeczny i bardzo mi sprzyjała. Zaręczała,że mogę iść z tymi dziewczętami nie na dzień, ale na tydzień choćby i ani krzywdy,ani zgorszenia nie zaznam. xxxx I rzeczywiście. Choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej kompanii,nigdy ani oczy moje ani uszy nie zaznały nijakiego uszczerb= ku.. Co do uszu,to nawet wręcz przeciwnie...

Zaczęły się wspaniałe czasy. Raniuteńko przylatywała po mnie Kataryna - i ta xxx wczesna pora była jedyną,niełatwo stroną całej imprezy... Szłyśmy między płotami z dranic,kamienistą dróżką, pełną drepcących owiec,ku lasowi, przez który trzeba się było xxxx pięć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne,obwieszone brodami bla= dozielonych mchów, rosły paprocie piórzaste sięgające moich uszu, grzyby i - pod koniec lata - wisiory szafirowej gencjany. My z Ka= taryną szłyśmy zwykle z tyłu, potem owce,a przodem tamte dwie,xx świecące pąsowymi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała wełnianą torbinę w kratki czarno białe,zawieszoną na postronku przez plecy,w niej zapasy ubogie na cały dzień,siarniczki i kozik. Ja miałam także torbkę podobną,tyle że pąsową. Dostałam też z cza= xxxxx sem kierpce,które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło -to była bardzo spadzista połonina,porosła jałowcami,na którą wychodziło się z lasu. Pobrze= że tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów,przerosłych maliniakiem. Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przecudny. Zmiarkowałam rychło,że pasienie owiec nie jest [redacted]x taką znowuż najprostszą robotą. Rzadkie były chwile,kiedyśmy się wszystkie cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się,że dziewczęta bawiły się ze mną w gry jakieś,których nazw nie pamiętam,a zasad nie zupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne,dość na wet skomplikowane mi się wydały. Dużo było przy tym biegania i śmie= chu,szybkiej gadaniny i śpiewanek. W południe rozpalało się ostroż= ny ogieniek gdzieś w cieniu a nie na wietrze,piekło kukurudzę, ziemniaki i grzyby czasem,opiekało placki z mamałygi,pogryzało bundzem - owczym serem -poczem występowała na deser czekolada z mej torbki,lub blaszane pudełko z lepkimi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawały kory na krobki,które potem, gładko ostruganymi patyczkami,spinało się po bokach, - ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę, mątewkę do kwaśniego mleka...Dowiedziałam się,że biała,jodłowa ży= wica,gdy na niej węgielek położyć,pachnie najpiękniej, że nie wol= no- broń Boże! - pluć na ogień,że grzyb znaleziony w lesie trzeba na miejscu oczyścić kozikiem,żeby się nowe nasiały - nauczyły mnie wreszcie grać na drewnianej fujarce,tak jak same umiały. Tylko do





owiec nie nabrałam przekoniania... Odrażały mnie ich czarcie jakby twarze, bek niepokojąco ludzki, brudna, skołtuniona wełna, moc pcheł i zapach. One też były winne, że nie można się było ciągle bawić z pastuszkami....

Najcudowniejsze jednak czego zaznałam na tych moich pasterskich włóczęgach - był głos Kateryny.

Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziłyśmy się trochę w jar z tamtymi, Kataryna przyzostała pod lasem i nagle, stamtąd gdzie ~~stała~~ była nadniósł się nie ~~xxxxx~~ śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko ~~górale~~ górale umieją - melodyjny okrzyk jakby, z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi - silny, tak cudnie przeczysty, taki jakiś masywnie złoty- że do dziś, po latach, poznałabym (chyba go natychmiast. Doprawdy pojąć ~~xxx~~ było trudno stąd w tym trzynasto- czternastoletnim, chudym strąku, bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugim i trzecim echu, wracała słabsza, ale tak samo nieskażona czysta, nieprawdopodobnie wysoka.

Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła, jak wryta. Kataryna zdziwiona było moim zdziwieniem. Cud, na moje prośby powtórzył się zaraz kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mało - śpiew słyszałam często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej, pamiętałam skrzypce Fryca, nie było więc dla mnie wątpliwości, że to co robi Kataryna jest niesłychane ! Wytłumaczyła mi potem, że to się nazywa " wiukać" i że trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej- ktoś się zgubił, czy przyzostał - nie usłyszą...

Gdy zaś Mama usłyszała to "wiukanie", osłupiała jeszcze bardziej odemnie. Nie zaznała już od tego chwili spokoju i - choć to było szaleństwem w naszych skromniuteńkich warunkach - wymogła zgo= ~~xxx~~ dę Tatka, abyśmy Katarynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie artystów i pedagogów muzyki, co by się na takim cudzie poznali i co by go poprowadzili bezinteresownie. Kataryna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzjazmu całkiem dość, aby zdobyć dla niej wykształcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu niezawodną u Rusinów posiadała też Kataryna w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania najpierw z chlebodawcami Kataryny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. ~~Ona~~ Kataryna sama gotowa była odrazu. Korowody bez końca, jak przy kupnie gruntu chytra, chłopska, pozorna tępota dla zyskania ~~xxxxxxxxx~~ czasu do namysłu. W każdym razie wypadek niebywały. I znowu z ruskiej plebanii przyszedł sukurs. Tym razem sam kanonik, ojciec panny Filipki, zaczął

tłumaczyć właścicielom Kataryny, że dziewczyna los zrobi i że to łaska, nie interes ze strony " państwa" ...Wreszcie doszło do zgody. Mama napisała do p. Ledererowej, do panny Złobickiej, do panny Róży Ziętkiewiczówny - prostując ścieżki złotemu głosowi Kataryny. Było tu już niemal na samym odjezdnym. Wtem - najniespodziewaniej i matka i chlebodawcy rozwiedli lamenty gwałtowne, pierwsza za " doczką", której i tak cały rok boży nie widywała, widując tylko jej biedny zarobek, - drudzy za tanią sługę, łatwą wszakże do zastąpienia przy baranach przez byle kogo. Oświadczono bez ogródek, że " państwo" musi coś płacić rocznie za Katarynę matce. Ręce Mamie opadły. Nie była tak naiwną aby uwierzyć, że baba na tym żądaniu poprzestanie. Zaczęłyby się licytacje bez końca, a tu i na początek ledwie by było starczyło środków....

Kataryna została przy swoich owcach...

I ani się domyśliła kiedy, że ominęła ją dola świetna, kto wie jak świetna, może taka jak sława innej pasterki owiec, szwedzkiej śpiewaczki Jenny Lind, tej samej, którą Andersen uwiecznił w swej bajce " Pod wierzbą" i którą do końca życia ponoć miłował.

Z wakacji w Mikuliczynie zachowałam wspomnienie jakiejś mało wyraźnej grupki osób, w którą Rodzice w ciągu lata się zaznajomili, jacyś państwo Eminowicze, Święciccy - (panna Wanda Święcicka pływała ślicznie w czarno zielonej wodzie Prutu pod skalistym urwiskiem lasu, bodaj że w Jamnie.) - profesor Bąkowski, który badał górskie kałuże i bagna, znawca wymoczków, w dziwnym okryciu głowy z jakiejś osobliwej plecionki, - młody pan Menda, panny Łempickie.. W gronie tym odbywały się spacery i duża wycieczka na Czarnohorę, na którą i ja zostałam wzięta. Jechaliśmy wszyscy konno, na drewnianych terlicach, przez las, stromo, jak piec, potem przez kamienistą zbocz...Ale wyprawa skończyła się ucieczką z powrotem w dół, na łeb na szyję, gdyż straszliwa ulewa spłukała nas poprostu z pochyłości. Ja odbyłam powrotną drogę w worku z ziemniaków, przytroczonym do pleców Hucuła, który ze mną biegł pędem - już nie drogą, ale korytem górskiego strumienia, w który się zmieniła w momencie...

Potem mokry, nieznośny nocleg w pobliżu śluzy na Prucie, huczącej jak piekło...

X X

X

Po kolei,czy nie po kolei - dość,że przymykam oczy i przypominam...

Nasz salon przy ulicy Zimorowicza. Chwila : już po dniu, a jeszcze przed zapaleniem xxxxxx światła. Wielki pokój tonie w mroku. Gdzieniegdzie błyskają wąskie prążki ram na znajomych obrazach, błękitnieje bladawe odbicie okien w politurze fortepianu. Widzę coraz mniej,czuję wszakże wszystkie domowe sprzęty,jak obecność osób, do których mamy zaufanie bez granic i kochamy je, ani myśląc,tak jak się bez myśli oddycha. Czułam,że cokolwiek stanie się ze mną i tym pokojem, dla mnie b ę d z i e on zawsze. Nie zapomnę jego przestrzeni,jego zapachu,rozmieszczenia obrazów i mebli... Dziwnie mocno wiem,że na pamięć moją mogę tu xxx liczyć i uświadamiam to sobie, jak rodzaj zasobu i udręki równocześnie.

Obok pieca trymodka z białą lampą,nad nią grottgerowski portret Marcela i wokół niego na ścianie fotografie Lituanii. W trymotce " gościnna" porcelana,wyjmowana zawsze w czwartki,gdy wieczorem,co tydzień, przychodzili goście...Za piecem rulon transparentów,wysokich niemal jak on sam,nadpalony brzegami. Jeden : Jagiełło i Zygmunt August w koronach i paradzie.,drugi : Polska,Ruś i Litwa. Stały te osoby w zwiniętym rulonie,namalowane xxxxxxxxxx w swoim czasie przez Tatka do jakiejś narodowej okazji i gdy podczas jednego z czwartków rzucił ktoś z palaczy xxxxxxx niedogasłą zapałkę za piec, oliwą napuszczone płótno buchnęło wysokim płomieniem. Podczas gdy,nerwowy do śmieszności Chochlik Zagórski uciekł na widok ognia i zemdlał gruntownie w przedpokoju,otoczony ratującymi go paniami - Tatko z panią Aszpergerową wydobyli gorejącą trąbę na środek salonu i ugasili dość prędko. Niemniej Tatko oparzył sobie mocno palce,a pani Aniela osmaliła "filuty",jak nazywała swe siwe loczki nad czołem...

Na głównej ścianie nad kanapą " Wojna", z lewej serwantka prababki,z prawej biurko Mamy. Po śmierci pana Tadeusza Żulińskiego,kupili je rodzice na pamiątkę. Na nim kałamarz z Centaurem, obok długi liść chrzanu z francuskiej majoliki z pełznącym przez jego rozdziałek ślimakiem. Na liściu pióra i ołówki,mała muszelka z pieczątką herbową i wązkie,żłobkowane pudełko na pocztowe znaczki. Nad biurkiem smutny chłopczyk Grottgera,Grabińskiego " Brzoza",okrągły widoczek olejny na miedzi,jakoby Claude Lorain (jedyny pono,poza jego miniaturą przedmiot w domu pochodzący od Jacques'a Monné i tej rodziny) - medalion matki Dory,

śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej,tej koło drzwi od pracowni Tatka,leży na półce maminej szafy grottgerowskie Album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek,ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu,gdy sam obraca kartki ostrożnymi,rozumnymi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakby jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć,jak trzeba. Mnie,z oglądających najnabożniejszymi wydały się oczy nieładnej,niemłodej literatki Malwiny Ogonowskiej,córki profesora literatury w uniwersytecie bolońskim,która parę dni była u nas gościem w domu,xxxxxxx potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej,a wreszcie mojej najmilszej,niezapomnianej uroczej,dobrocd Stasi Tarnawieckiej,Szwarcównej z domu,córki dyrektora Twa.Muzycznego,jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzjastek na świecie...

W tamtej szafie,koło pieca,na zwój ze strojami Matejki xxxxxxxxx nawinięty,schowany jest ów czwarty,ocalały smok chiński,faworyt wielki Tatka, i wisi tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpaść ciepłą twarzą w jego podniesiony,ośnieżony kołnierz,gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie nie wyjdzie!! Że niedługo wyjmę szachy z pudełka i przy jasnej lampie z trzema sfinksami na postumencie, grać zaczniemy oboje,a gdy zbliżać się będzie pora mego dobrze zasłużonego mata,Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami,gdy klęska już bliska..A xxx po partji wywiady bez końca i kochane,niewyczerpane wspominki o Tatkowej młodości.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość.

Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnogość ludzi,którzy go otaczali którzy mu byli bliscy i drodzy.

Więc najpierw dziadków : Babkę - Karolinę z Komarnickich, męża jej,Dziadka Ignacego,siostry Tatkowe Emilię i Anielę, brata Edmunda...Dzieciństwo Tatka w Daszawie,gdy to już wówczas prawy aż do sztywności,sprawiedliwy dla samego siebie,po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce,sam,nie czekając na karę, stanął sobie w kąciku salonu na pokucie. W Daszawie umarła najmłodsza siostrzyczka Tatka,Sabinka, zażywszy dane jej przez pomyłkę z rąk niańki,palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze nie zabrane... Pamiętałam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Żydaczowie,gdy go zabierano na sumę, - jak raz,po wilii na sianie pod stołem zasnął,pod namiotem zwisa=

śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej, tej koło drzwi od pracowni Tatka, leży na półce maminej szary grottgerowskie Album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek, ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu, gdy sam obraca kartki ostrożnymi, rozumnymi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakoś jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć, jak trzeba. Mnie, z oglądających najznaczniejszy mi wydały się oczy nieładnej, niemłodej literatki Walwiny Ogonowskiej, córki profesora literatury w uniwersytecie lwowskim, która parę dni była u nas gościem w domu, xxxxxx potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej, a wreszcie mojej najmilszej, nie=zapomnianej uroczej, dostojnej Tarnawieckiej, Szwarcówny z domu, córki dyrektora Twa Muzycznego, jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzjastek na świecie..

W tamtej szafie koło pieca, na zwój ze strojami Tatejki xxxxxxxxx nawinięty, schowany jest ów czwarty, ocalały smok chiński, faworyt wielki Tatka, i wisi tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpaść ciepłą twarzą w jego podniesiony, ośnieżony koł=nierz, gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie nie wyjdzie!! Że niedługo wyjmie szachy z pudełka i przy jasnej lam=pie z trzema sfinksami na postumencie, grać zaczniemy oboje, a gdy zbliżać się będzie pora mego dobrze zasłużonego mata, Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami, gdy klęska już bliska.. A xxx po par=tii wywiady bez końca i kochane, niewyczerpane wspomnienia o Tat=kowej młodości.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość.

Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnogość ludzi, którzy go otaczali którzy mi byli bliscy i drodzy.

Więc najpierw dziadków: Babkę - Karolinę z Komarnic=kich, męża jej, Dziadka Ignacego, siostry Tatkowe Emilię i Anielę/ brata Edmunda.. Dzieciństwo Tatka w Warszawie, gdy to już wówczas prawy aż do sztywności, sprawiedliwy dla samego siebie, po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce, sam, nie czekając na karę, stanął sobie w kątku salonu na pokucie. W Warszawie umarła naj=młodsza siostrzyczka Tatka, Sabinka, zażywszy dane jej przez po=myłkę z rąk niańki, palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze nie zabrane... Pamiętam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Żydaczowie, gdy go zaciągnięto na chór, - jak raz, po wilii na sianie pod stołem zasnął, pod namiotem zwisa=

jącego obrusa wśród bakalii i podarków,a potem,gdy brak dziecka spostrzeżono,sądny dzień się zrobił i szukanie od strychu do piwnic,dopiero pies,mądry kondel domowy,odszukał " Loluńcia". Jednego xxxxx/zwłaszcza epizodu lubiłam słuchać po niezliczone razy.. Był to obraz nocy miesięcznej w Lubieńcach,w którą,gdy była pogoda,Ojciec ze stryjem Edmundem uciekali wbrew zakazowi niskim oknem w sad,a potem w pola " do księżyca". Stryj ze xxxx skrzypcami -Tatko z gitarą. Małe chłopcy,podrostki zaledwie,le= cieli w koszulach daleko miedzami,między zboża i konopie i tam dopiero urządzali sobie koncert,jak polne koniki,jak jakie chocho ły łąkowe...

Strasznie ich lubiłam i czasem wręcz trudno mi pojąć dla= czego nie byłam tam razem. Znam tak dobrze krajobraz,równinę we= sołą,przez którą płynie spokojny,szafirowy Stryj, pola żółtych owiesków i konopi,olbrzymie zawieruchy ślazu o bladoróżowych kwiatach,podobnych do róż polnych, jarzębiny strojne koralami przy gościńcu...

A i te ,dużo późniejsze wakacje Tatkowe w Skolem,gdy ciot ki moje były ślicznymi pannami, gdy się Lucjan Tatomir xxxxł starał o ciotkę Anielę,a babka,rozmiłowana w literaturze i xxxxx poezji,obdarzona konspiracyjną pamięcią ówczesnych ludzi,całymi pieśniami deklamowała " Pana Tadeusza",umiejąc go całego na pa= mięć. Książkom Mickiewicza nie wolno było bowiem krążyć swobod= nie i zwykle tylko jakiś jeden śmielszy egzemplarz kursował ukradkiem po okolicy. Stryj akompaniował na skrzypcach,a Tatko na gitarze do chóralnych śpiewów, takie niezbyt cenzuralnych... Śpiewało się "Za Niemen" "Warszawiankę" już głośniej,a także i Ständchen Schuberta.. Babka w towarzystwie Hanusi,sługi daw= nego typu która jeszcze i mnie - już jako staruszka - wodziła po xxxxxx latach z okładem czterdziestu - zbierała z pasją grzy= by.. Wieczorami czytało się głośno dobierane umiejętnie przez pana Lucjana dzieła naukowe i historyczne.. Raz na tydzień przy= nosiła urzędowa i jedyna w Galicji gazeta " Lembergerka"dodatek " literacki",do tejże xxxxx " Lwowskiej Gazety",biedne,xxxxx skrępowane cenzurą jak powrozem,ale niedwuznacznie na ruch pols= kiej myśli ciekawe " Rozmaitości.".

Pamiętam też niemal, pewien zimowy przyjazd Tatka xx ze Stryja do Skolego, kiedy to,naprzeciw żółtego dyliżansu (było to na zjeździe z ośnieżonej Kłódki ...) wyszedł dziadek Ignacy i zamiast powitania wymówił tylko dwa słowa :

- Mickiewicz umarł !

Czułam zawsze razem z Ojcem to nagle ściśnienie młodzień=

czego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrotnej drogi...

A potem Bereżnica, macierzyński dom pani Sabiny z Pawlikowskich Korzelińskiej, 1-o voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dlatego jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Neczyuperowicza, który wówczas na podgórzu grasował. Roił się zawsze jej dom od gości kochanych. Więc : pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mężem Aloizym, tzw. "poczciwym Lolkiem", magnaci, nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w sławnym bankructwie Heferna, - pan Feliks Kremarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczką panną Olimpią, - panny Mila i Aniela Młodnickie, przyjaciółka ich Stasia Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko uczesane, ołówkowe portreciki znałam z tek ojcowych, jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia...Oni również umieli zbierać na żórawkowskich polach posępne tulipany " tureckiego ziela", ciemno purpurową Fritillaria meleagris, musieli widzieć je nisko nad wilgotną ziemią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na to powrotne święto wiosny...

I ten humor wspominam, co minął, co się prześmiał bezpowrotnie usty w proch dziś rozsypanymi...

X

X X

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zaznaczać. Rysował w szkole karykatury profesorów, w Bolechowie malował miniaturowe martwe naturki do panieńskich sztambuchów, W Skolem narysował z natury ciekawą bramę wjazdową zaginionego już typu, na modnym wówczas papierze pelé podłożonym warstewką białej kredy, do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobiania tak zwanach " bliczków", czyli światełek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, widoczki księżycowe gór nad Oporem, okopiska pod lasem...Bardzo protegowały talent Ojca panie Sabina Korzelińska i Felicja z Sozańskich Dobrzańska, poznał się na nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Pietruskich z Błoni,..On to zainteresował dla chłopca ich ojca, pana Teofila, oraz przedstawił go

tam panu Mieczysławowi Darowskiemu, przyszłemu opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci - dobremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat ~~xxxxxxxxxx~~ dziewczęcych. Pan Darowski z własnej, zasobnej jeszcze wówczas szkatuły, mając - jak to u narodowego obywatela było wówczas z zwyczaju - paru młodzieńczyków na oku i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowym kierował. Jego to najusilniejszym, najczulszym staraniem, wyjechał Ojciec w r 1857 w kwietniu, razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendiów krajowych nie było, rodzice albo niezbyt ufali artystycznej karierze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryzyko mieli.. Dla żadnego z uczących się nie stanowiło ujmy, gdy w zastępstwie własnego rządu, który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie ochotniczo światli a bogaci ludzie prywatni, jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert ~~xxxxxxxxxxx~~ a poten syn jego Mieczysław Pawlikowscy z Medyki, Lewicki z Barszczowic, Pietruski z Błonia - łożąc na ten cel bądź sami, bądź tak jak M. Darowski, częściowo, zbierając brakującą resztę pośród bliskich sobie rodaków i " dam ".

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu do czasu mecenasowi dowody swoich postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i sumkę jakąś nadliczbową, albo - bo i to się zdarzało - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak, Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmilszego, najmłodszego syna, Marcela...

Marcel...

Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic herbu Słońce... Praszczurem jego był istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu...

"Marcel" wszelako - zwany tak i w domu i przez kolegów - mało miał zmysłu na tę świetną parantelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazji, dzierżący swą przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści mógł nie dbać o przeszłość i przodków, chociaż by z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką, z małym gotyckim „m". która okopcona nad świecą i przyłożona samym rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą, żem go nie znała ! Skoro kawaler umarł w r 1862, niepodobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później...To

proste.. A i wówczas jeszcze, Ojciec mój, nosząc mnie małą, rozkrzyczaną kukłą po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny grottgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- Wszystko dobrze, ale Maszkowskich sobie wyperswaduj ! Bawić się - dobrze. Tańczyć - dobrze. Ale resztę sobie wyperswaduj !"

Było to tym zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich, a Marcela przede wszystkim - i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blisko i serdecznie, jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statecznością i tymi cnotami, które " zdobić" zwykły młodzieńców. I ostrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości ze strony nowej, podrastającej generacji Maszkowskich, której stateczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwestionować...

Ale tak samo przestroga jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarłych, bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku, tak, jak ich kochał mój Ojciec.

I nie ma na to rady : mimo wszystkie, dzielące mnie odeń lata, Marcel był moim znajomym - więcej ! - był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym, o kim mówiło się, jak o żywym człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistym od wielu, którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret... Namałował go Grottger w Barszczowicach, w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtej konfederatce, z białym rękawem koszuli, widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowania. W czerwonej rogatywce przedstawił się też na autoportrecie ojciec, tak zwany " stary Maszkowski" Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger malując wedle głowy kolegi studium do swej " Modlitwy konfederatów", podczas gdy Marcel, aby nie tracić czasu, rysował kogo innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu, kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej, niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch ~~zadartej~~ wychylonej głowy, wyciągnięta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dosłyszał, dośledził, przychwycił... Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nie tylko wzrok ale i dusza Marcela zagapić się tak umiała i zaciekać we wszystkim, widzianym, czy żytym, -do bezpamięci. Nic dziwnego, że świat boży zapominał też co moment o nim i że o nie=

jedną twardą latarnię po drodze uderzyć musiał głową. Dziwniejsze, że się sam temu nigdy nie dziwił, że na obczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym hercie - nie złorzeczył światu, ale tak dziecinnie szczerze xxxxxxxxx i rozdzierająco bezradnie oskarżać się potrafi przed kolegą przyjacielem :

- Nie umię ja żyć, nie umię...

Istotnie żyć nie umiał. Umiał natomiast - podobno już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.

Przedziwny bo wogóle był dom tych Maszkowskich. Zapewne. Ojciec sam tęgi malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu - matka wykształcona, muzykalna, entuzjastka, umiejąca patrzeć i czuć i mówić (n b. Niemka z rodu). Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłumaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazji i tych talentów, jakie im się po kołyskach zaległy.

Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia nie mało. Zupełnie jak bajka : Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zabłąkany. Więcej ziarna, niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz z 1863 r , społecznik i organizator który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor Politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na dodatek o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego " główkami" -gdy on sam w usta nie miał co włożyć - nieraz gęby otwierały Bawary i inne Szwaby, jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się - czego bynajmniej lekceważyć nie należy ! - do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie, że wszystkie były muzykalne i - jakkolwiek Bóg je ustrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor Maszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazję.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, wykonany w roku 1855, gdy miał lat 18 - zachował się na rzadkiej dziś wielce

a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej lito=grafii. Jest to grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława xxxxxxxxxxxxxx Pawlikowskiego, acz=kolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy inicjator i fundator tej wspólnej xxxxxxx pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie xxxx xxxxxxxxxxxx Romanowskiemu. Są tam : Mieczysław Romanowski, Pawli=kowski, Wolski Ludwik, Ignacy Kamiński, Kalmucki, Sztymer, Bruno Bie=lawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel . Pośród dzie=siątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długimi, zaczesanymi za uszy włosami... Wierzyć się nie chce, że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy pa=trzące każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw.. Naturalnie, że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przede wszystkim jednak zaważyło to, że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok, jak Garcia stawiała głos, - że codzienna tresura młodych oczu patrzących na " porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomagała do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymywania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownym znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki, jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom, xxx jak innym posiłek. Posta=cie Schillerowskich tragedii i liryka Heinego były źródłem, z któ=rego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilem Januszewskim, mieli -jedni z pierwszych - dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiert=nych Słowackiego. xxxxxxxxx Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jedynymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego xxxxxxxxxxxxxxxxxx wielbicieli. Poza tym, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek - nazbyt po polsku w domu nie by=ło... Karol tłumaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń " xxxxxxxxxxxxxx " Der Fichtenbaum steht einsam.." śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam. Rafał grywał na skrzypcach - akompaniowały siostry : Frynia Minia i Joasia, a przy każdej nadarzonej okazji, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger - z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studia tam-tych - Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedości=gnionych wprost mazurzystów.

Materialnie stale bywało kuso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował.. Ktoś coś głośno czytał, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych, często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka nieporównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń - zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzi tak wielka, że starzy już - miewali jeszcze fantazje szesnastoletnie...

Przypomniano sobie naprzykład, pewnego dnia, że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyli szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był wtedy kto za łokieć, jakiś impresario opatrznościowy i wywiózł zagranicę, karmił, pilnował, odziewał i uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył dłużej, było by po nim zostało więcej, i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo-mało-nie ma -- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby, jak paltot zimowy i - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć i gdy on się dusił wtedy, inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekał nigdy. I do rozsprzedaży rysunków byłby potrzebny impresario. Opowiadał mi Tatko, jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawicznie szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu, kto sięgnął. gdy brakło papieru w teczce, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem a kupującym, ale go ten proceder niee

cierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej, rodzicielskiej biblioteki naręcz książek - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie! -aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt! Ostatnią parę butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość.. Wydać - pożyczyć - nie mieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki był w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda xxxx sytuacja przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istaniały pokusy we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, ("piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot Dylczyński w swych listach do Ojca,) jakieś Emilie i Pepi -ta Pepi której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku i w pustym żołądku potomka Zyndrama w Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu i to w tempie dość szybkim.

Raz zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła albo czytała... widział jedynie jej profil, ale za to przecudny. En face nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał. Koledzy zadali sobie trudu by wytropić xx xxxxx objekt z bliska, xxxx po czym wyszło na jaw, że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy xxx bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

-Ależ Marcel! Ona ma tylko jedno oko! -szydzili bez litości

- Ale jakie ! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malaria, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych dagueротypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Penther, Antoni Rejcheberg, nieoszacowany, najpoczciwszy " świętek", pogotowie ratunkowe kolegów!- Grottger, Marcel, mój Ojciec. xxxxxxxx Później przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi, Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki - każdy miał swego ptaka niebieskiego albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął.. Utuczyć się tym było trudno, ale żyć

się dało i błogie było poczucie, że jakieś tam " pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej zagłady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre xkxx ale i złe strony. Lżej było sumieniu, jeżeli się na lekkoducha obruszał mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec - z wielkimi, przez siostry włóczką haftowanymi torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty - przybyli do Monachium, gdx gdy - jak to uwiecznił Marcel w karykaturze - stanęli z zadartymi głowami przed mariackim tumem " Mnichowa", z dwiema, charakterystycznymi dla sylwety miasta wieżycami, podobnymi do smukłych kufli piwa, - gdy się rozlokowali w xx nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój swój z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał - pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka.

Szwagier Maszkowskich - z niewiadomych mi dziś powodów, podążył też na studia aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temteraturę rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić, że zaważyła tu nie tyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która, tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od niechcenia przytulną, własną ambasadę...

A było to oparcie nielada! Bo i dom ciepły, swojski, rodzony, - ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni -słowem : przystań do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.

I Jakubowiczowie właśnie zapoznali zczasem ich obu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta - do Nymphenburga i Grosshesslohe...Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory - tańczyło się często i namiętnie.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość ! Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i dagerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli bliscy i drodzy, którzy kochali go wzajemnie. Czasy, gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka, jak owa przecudna a kusząca " Królowa Śniegu " z bajki Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc, na ubożuchnych swoich saneczkach pxxxxxxxx podąża.. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakim później pisał z Lipska Marcel..." dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,

xxxxxxxxxxxxxx

imponujące..." Niestety Życie - mecenas bogaty, lecz diablo kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia...

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko : teki ojcowe, szkicowniki, świetne studia i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość " monachijskie czasy" o których opowiadał doskonale, acz rzadko... Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego napozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której toń ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie... Marcel umarł młodzieńcem, spalił się, jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje -życie. Ojcu wypadło wybrać między dalszym, żmudnym dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych - tamtą swobodę wykluczały na zawsze. Wybrał dom. Wybrał nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów -on - entuzjasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezji - niepocieszony, choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz, gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką nieomal uznanie, rozgłos ba! nawet i sławę - cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką - kochający, przemiły, przeważnie pogodny a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzałej... Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie, jak wiązki opłatków, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowymi szkicami. Nazywało się to "szkice" a było nieraz wykończone, jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie, ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnym, gotyckim "m" na prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, semtymentu i tej wirtuozowskiej marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych, jak igła, lekkich jak włos, świadomych każda z osobna zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz ! Otóż to właśnie. Jak się to działo, że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia ? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę mego ojca w Monachium -dał jej - już wówczas - wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepyszny darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu.

137

Gdyby nie pokwitowanie dra. Kopery, mogłabym przypuszczać, że mi się tylko śniło. Albo taka głowa Schillera ! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizja, oparty w równej mierze na materiałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnym, xxxx medialnym odczuciu rysów ukochanego poety, najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarygodnie subtelny sposób " wywoływane" rysy.

Nie był Marcel xxxxxxxxxx zapoznany w Monachium. Niczym osobliwym nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza, że obaj nazwani, do zbyt pilxxxxxxxxxx nych bywalców Akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów, jak np. Lienzen Mayer, Węgier, o niemieckim nazwisku, tęgi malarz, z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdyby tylko nie te " piękne Miechowianki" , nie ta nieuchwytność pieniądza, nie ta nieodporność na pokusy, tak w skutkach swoich żałosne ! I te zupełnie- ale to zupełnie opaczne poglądy, na " ma " i " winien" ! Po tym ostatnim następowało nieodmiennie xxx słowo " pożycz" ! -proste i krótkie, którego chybiony często efekt raczej rozżalał, niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysechł, apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty, pewno dla pedagogiki raczej, niż skąpstwa, czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żyweem do niektórych scen " Cyganerii" (bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie...) kruszyło się i marnowało niezbyt zresztą stalowe od urodzenia zdrowie i życie Marcela.

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki „rodaków". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w " Larusia". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakimi się rozproszyli później po świecie. Ale ciepło przyjaźni jaka złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygła z latami! W rękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła, jak ptak, choć przygłodna czasami - dusza Tatkowych " monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno- duchów - żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich (mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał..) u nich gromadziła się wieczorami " malaria". Każdy przynosił jakie tam miał zapasięta i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, więc była i muzyka na tych sympozjonach. Daniel Penther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzjazmowali srodze. " Das Sangers Fluch " Uhlanda, " Schilflieder " Lenaua... Schiller zwłaszcza był ukochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się Matejko, któremu, gdy jechał za granicę, dał był M. Darowski list do mego Ojca, kierujący doń pana " Maciejkę " przyswojony serdecznie, ale cichy i jakiś " osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystiach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materiały do wydanych później "Strojów polskich ". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem, jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzjastów niemieckiej literatury, po niemiecku ~~xxxx~~ jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnaziach " uszkoleni"... Przeciwległe pendent do Matejki stanowił Penther. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu choć mówił dość dobrze po polsku, poza kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tym tle bywały lekkie przygryzki..

Raz, na jednym ~~xxxxxxxx~~ z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko ~~xxxx~~ zabrany z sobą tom Wypisów Cegielskiego, w którym wydrukowany był cały " Jan Bielecki ". Tatko, jak i Maszkowscy, znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, -przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle się był się jeszcze zeszedł - olśnił poprostu. Dobrze znający go Tatko, twierdził, że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie ciemne oczy błyszczały :

- Otóż to jest poezja ! Co wobec tego Schiller ! Te kolory, ten charakter rodzimy ! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę. !

Na krótko przed śmiercią opowiadał mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczoru. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe strofy tego poematu .

- Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni...- mówił - To jest naprawdę jakby wizja jego własnej sztuki. Ta sama technika i patos."

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańcowano w karnawale na xxxxx umor choć bez dam -jak relacjonuje Jabłoński - przy zimnej zakąsce i piwku, ale za to przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak Matejko, który nie tańczył wcale, grał za to świetnie do tańca - bywała swojska gromadka u pułkownikowstwa Tchorznickich.

Pani domu, hr.Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową, niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx mozolny, wiadomo czasami, gdy się jest na studiach i ma wiele przeszkód do elegancji. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań, na różnych wycieczkach i wieczorynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty...Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen jedna z tych komecich istot, których nie lubią żony, a za którymi przepadają starsi panowie.. Rzeczona Alma stała się osełką, na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona po za jego szerokimi plecami kopcąca oczkiem do Marcela...Ten miał wprawdzie swoją Pepi, ale dlaczegoż nie odpowiedzieć zaczepce ?". Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie, jak to tam ono było naprawdę - dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela, a podkreślane z umyślną, szatańską nonszalancją przez resztę wtajemniczonych trzpiotów - bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swym zachowaniem rozkosznych emocji, śmiejącemu się w kułak audytorium. W pewnej burej wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracji do tej na spisku opartej komedii, z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma jakaś " westfalska" Idalia z " Niepoprawnych "- obstarnia zalotnica z jastrzębim, szwabskim profilem, twardymi, jasnymi oczyma, w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty , - jest Tako w swoim berecie przy sztaludze, w furji tworzenia, - Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, są jakieś xxxxxxxxxxxxxxx niemieckie dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu,.- jest ołówkowy portret pułkownika..

Nie ma wątpliwości, że nie wszystkiemu co się działo w Monachowie mogli były przyklasnąć " mecenasi" z Galicji. Toteż gdy Marcel, po jakiejś serji psot przygrubszych uznał za właściwie przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Monachium - nadszedł - bez daty, bo pocóż ? - list od Marcela takiej treści :

Kochany Karolu !

Posłuchaj pierwej a potem sądź bo musisz xxxxxx pewno myśleć o nas niewiedzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo, żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź. Otóż słuchaj :

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9,-bo obiad za nie xxxxx dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie, że nie odpowiadam? Oj, Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie ! Może to xxxxxxxx kara za to wszystko co narobiłem do tej pory, a daiby Bóg aby koniec na tym był, ale mnie się zdaje, że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Cię mam detajlami smutnym robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego i z xxxx tej strony na rzecz patrzył, jak on . - Ja znam Twoje serce i wiem, że u Ciebie głowa z sercem razem pracuje ! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém naszém życiem tutaj, a niech xxx Ci tych kilka faktów służą za miarę.:

Nasze rzeczy wszystkie xxxxxxxxxxx w zastawie, prócz tych, które na sobie mamy, a drugie : żeśmy przez 4 - sage " vier Tage, nic nie jedli prócz herbaty którą Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszonym udawać xxxxxxx słabego bo botów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej ! na suchym chlebie /!/ pościliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcji herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem ? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał nie ma skrzypców i okropnie przytym cierpiał, bo przy kiepskim wegetowaniu musiał siedzieć z założonemi rękami i słuchać, jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny xxxxxxxx popodkładać, ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einem Spottpreis na Kunstverein tutaj. - Potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić...chciałem koniecznie tych 30 f. skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować (chociaż wyprosiłem sobie xxxxx jede Erkenntlichkeit) ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała, nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu, jak do niej się udać. Ale der Mensch denkt, Gott lenkt...Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada, że jemu się słabo robi - ja klęłem na los za..... i poszedłem do gospodyni -ona

nas wyratowała od głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama : dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy mixnmina mi na głowie stają... co tu gadać, co powtarzać ! tylko tyle wiedz że Zxxjmx Tato do nas obydwuch razem, bez przedmowy " moi kochani" etc. w krótkich słowach powiada, że ostatni raz do nas pisze! Niech Pan Bóg Fryni to zapomni !

Moje szczęście, że nie posłałem roboty te, które tutaj robiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem bo więcej rysowałem niż malowałem, ale posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To bez przesady musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane -imponujące ! To jedno może mnie wyratować ! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł xxxxxxxxxxxxx takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono moich kochanych, biednych rodziców wrócić -jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie dość xxxx sił, aby wykonać te dzieło, wtedy sobie w łeb palnę, albo o mnie nikt nie będzie wiedział.

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenassy już są na granicy cierpliwości... Dzieduszycki coś komuś mówił, że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwątpiać o moim talencie, I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą ! Ale to jest chwila decydująca - tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy mam charakter i silną wolę?

....

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytym pieniędzy nie będzie, abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja nie mam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam. Powiedz mnie mój kochany Karolu, czy nie mam napisać do Hakla i do drugich ? Może by to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.

Co tam z Pepi ? Nie śmiem nawet myśleć o tym wszystkim, to mi po nocach spać nie daje - nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tyloma ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina -a o kochaniu ani mowy.. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość

 142

boską zaraz mi przyszlij, abyśmy mogli rzeczy wykupić, bo chodzimy jak draby. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy? wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć a schohnend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres Dresdenerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niedługo pisał, bo trudno było do tej pory xxxx to zrobić..."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle :

wtorek, zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać o to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary !! A w policji nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile kosztować będzie. Kawę kiepską w domu pijemy, stancję na miesiąc naprzód musieliśmy dać - ale obiad i podwieczorek musimy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają, gdy sobie pomyślimy, co to będzie, jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg. Jemy obiady za 15 f. (5 Silbergrosz) taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa, ale dobra, mieszkamy we dwóch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie miał na czym, to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, kiedy się niema co jeść.. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy, że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcym mieście. Dlaczego też ~~Stanisław~~ Olesiu drógi lass alle Minen springen i przyślij nam, staraj się, bo tu nas nikt nie poratuje. Od naszej gospodyni nie możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać, bo wymówiliśmy stancię, czego widać xxx gniewała się - sprzedać - słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochanku, xxxx czy nie byłoby nasze położenie okropne ?

Tak nam tu Was brakuje, także Olesia mit sienem praktischen Sinn, ale co ! każden, moja największa antypatia byłaby xx mi tutaj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: jak się masz ? co tam robią? - Dlatego kto ma przyjechać, niech przyjeżdża prędko, bo pieniądzy nie wyda więcej, niż w Monachium, a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone, a Delaroche, xxxxxxxxxx Calame i Vernet zasługują aby parę tygodni tu zabawić.

Karolu drogi ! co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze ? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Nie ma to jak być porządnym ! Od teraz daleko mniej długów robię, jak do tej pory. Bądźże zdrów Ty i oznajm zaraz ~~wszystkich innych o naszym stanie, może których będzie~~

Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek,a posełaj tak jak Cię prosiłem : poste restan te pieniądze,a list z oznajmnieniem do nas pod adres Wintergartenstrasse No. 5 .4th Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz,a my możemy Ci tanią stancię nająć na tydzień,dwa. Bywaj zdrów Lubciu

Marcell

I jeszcze jeden list z Lipska :

Czwartek 18

"Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszymi dla nas formalnościami i odczekać jakiś czas na pieniądze od Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi,trudno mi zatem dłużej milczeć a nie mamy nic,co by my mogli sprzedać,albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy,to słowo honoru daję, nie wiem co będzie. 20 mamy się stąd wyprowadzić,a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie ?!! Karolu dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie,że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz,a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać,dlatego też na pewne rachujemy,że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze,bo próżny list to byłby głód.

List Twój odebrałem i cieszyłem się nim,choć był krótki trochę. Co Wy tam porabiacie,czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpimy,że jesteśmy sami.Może Ostrosio albo Rajcheberg ? A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz ? Wystaw sobie do czego ja się odważył ? - z biedy - zrobiłem akwarellę i oddałem na wystawę na sprzedaż,ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze choć cena bardzo mała w porównaniu ~~xxxxxx~~ do tamtych : 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek -tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki- bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo,że nie ma skrzypców,albo fortepianu bodaj,nima nic robić,nudzi się okropnie - wczoraj jak się dorwał fortepianu u sąsiada, to grał do ciemnej nocy,a ja śpiewał.. ale co ja tu gadam,a tu nie ma ~~xxxx~~ co jeść i butów niema .Wystaw sobie,ja chodzę w butach podartych,czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych,które zastawiłem?

A jeszcze jedno :jeżeli Oleś da pieniądze,to u fotografa są moje fotografie,które zostawiłem u niego,weź je,a jeżeli nie zechce dać,to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko? Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie.

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu ! "

....

Takie się to dostawało listy z " monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej,płaskiej,mahoniowej skrzyneczce i głód jego,jego dziecinny krzyk o ratunek,rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz,że takie życie nie konserwowało,że nieubłagany los upomniał się xxxxxxxx w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana,niedokarmiona,niedośpiewana dusza artysty -ptaka,głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera,kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtej,monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach,jak to wtedy był zwyczaj - żętycą - ba!nawet do Wenecji wysłali rodzice biedaka,aby miał i " południe" lecznicze i piękne... Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26-tym roku życia dogasał.

Gdy w 1862 w marcu umarł we xxxxxx Lwowie,Ojciec mój bawił na studiach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu.

W liście pod datą 23/ 3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą,Anielę, do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszczakównych w Mikołajowie, mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny,gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Młodnicka,tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt :

....." Piszę do Was,chciałam żeby list był w treść bogaty, i- w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnym usposobieniu nie chciałam pisać,-bo wiem,że i Wy macie swego mola,na co ja mam dodawać ? bo w smutku myśli się,że smutny każden,tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana,że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam,dość gdy dodam,czem Lwów mnie przywitał : pogrzebem Marcela Maszkowksiego. Więcej Wam pisać nie potrzebuję..."

Na grób Marcela z prostym,drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wianek

zielony i paliło światełko zaduszne. A gdy z latami krzyż spróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowana i świeżym opatrzona napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na cmentarz Łyczakowski, aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę xxxxxxxxxx przybił sam na nowo. Podczas wojny dopiero, straciwszy z oczu mogiłkę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie...

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wętłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle fotografii Kriehubera, ojcowe rysunki, dagerotypy, listy.. I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący : żelazne wieszadełko na siarniczki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę " poczwary". Mogło to służyć równie dobrze za xxxxxxxxx schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską popielnicę. "Poczwara " ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian.

Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami - kałamarz xxxxxxxx po Marcelu - który mi służył całą młodość i był powiernikiem moich pierwszych wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonymi, pękatymi jak balony, podrzucał na widoczniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamęściu i już go na Zaświeciu nie pamiętam...

X

X X

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią...W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, xxxxxxx równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Arthur tej samej rasy, co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe nieba i skalę talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych, był takim samym rozrzutnikiem i "putał " sobą nieopatrznie, jak tamten.. W przeciwieństwie do xxx nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziw=

nie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozumu, które tak cenili jego koledzy, a które nieraz w późniejszych latach Ojca opierali się niejedni w środowisku w którym żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresji, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa Ojca, aby się czy wyskarżyć, czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakichś szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie sprawiedliwy, rozwadzał często powaśnionych, rozsądzał różne przewlekłe zwady. I, o dziwo ! - szaławiły serdeczne rozumiały się na tych cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakimi Grottger wymienił przed panną Wandą Monné nazwisko Karola Młodnickiego, jako jednego z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze wówczas nieznajomego jej zupełnie sprawiło, że gdy jej go po śmierci Grottgera przedstawił w swej pracowni Parys Filippi, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakieś przekazanie z zaświata.

Kult Ojca dla pamięci Grottgera był też czymś głęboko wzruszającym. Pamiętam, gdy kartony z albumu Mamy szły na wystawę którąkolwiek, -Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął ram z nimi. Sam na gumowanych paseczkach kitajki przytwierdzał je do paspartusów, sam zaklejał tekturę na plecach obrazu. Gdy ciężkie położenie materialne i niedomaganie Ojca skłoniło Mamę do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków w r. 1894 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przebolał nigdy. Zwłaszcza gdy w roku 1893 Karol Lanckoroński z Rozdołu przybył wybrać któryś w grottgerowskich rysunków -pamiętam wrażenie tej chwili w domu...

Nad kanapą w salonie wisiała wstępna karta " Wojny" - ów widmowy hufiec klęsk otaczających jadącą konno niewieścią postać o zasuniętej na profil przyłbicy...Na Pierwszym planie postacie Artysty i Muzy. Na tym jedynym rysunku pozostawił Grottger własne swoje rysy Artyście...Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła patrzeć i spostrzegać...W jego szybie odbijały się wszystkie świeczki naszych choinek.. Nie był nigdy przeznaczony na sprzedaż. Nic wogóle z tego co wisiało na naszych ścianach...

Przyszedł Lanckoroński. Oczywiście nie była Mama obecna, tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony Albumu zostały mu pokazane, jako te jedyne, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy, głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serce ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa, w której nie odrazu wyzna=

2.
135

łyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy,gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Łanckoroński,obejrzawszy wszystko,co było do nabycia,oświadczył Ojcu,że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do " Wojny", ten ze ściany,który do kupienia nie był... Tatko tłumaczył,przedstawiał.(Bez Mamy oczywiście decydować mógł.) . Znawca,magnat i zbieracz uparł się jednak. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone,bezradne.. Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany było w domu,jak po pogrzebie.

X

X X

Chodzili jeszcze tacy ludzie po Lwowie,jak taka np.pani Brühlowa... Właścicielka wybrednego korzennego sklepu naprzeciw ulicy Halickiej,matka pani Andrzejowej Grabowskiej,żony malarza " Grabca" - sama doskonała muzyczka, której dom zasobny gromadził u siebie przez łata całe muzykalny Lwów.

Grywali tu pani Leonia Wildowa,Antym Nikorowicz,Rudolf Schwarz, śpiewała pani Marcela Ledererowa, Ujejski czytał najnowsze swoje utwory... Otóż pani Brühlowa,gdy za mojej już pamięci szła przez miasto malutka,stara a gruba,jak dzwon,w swej czarnej,jedwabnej,bramowanej sobolami,opiętej salopie, miała zawsze pod pachą torbę papierową,pełną hiszpańskich winogron,daktyli fig czy rodzynków,lub bodaj migdałów w łupce,którymi częstowała znajomych. Ileż razy korzystałam z tych słodkich spotkań ! Tu wspomnę - bo już się z nią,ani z jej winogronami nie zejdę chyba w tych zapiskach - jak raz, idącą drobnym kroczkiem,odzianą w tę samą salopę z sobolami,zaczepiła ją jakaś żebraczka z trojgiem małych dzieci,domagając się jałmużny.

- Jeszcze mam czworo w domu,proszę pani dobrodziejki...Co roku mam przybytek...

- Po cóż miewasz? - zauważyła spokojnie pani Brühlowa,dając babie centy a dzieciom daktyle. To " po cóż miewasz?" pani Brühlowej zostało między nami jako bon mot,nieraz przy różnych okazjach stosowane...

X X X

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych sprowadzili się na pierwsze piętro pod nami państwo Bełzowie...

Pan Władysław Bełza był mi znajomy jeszcze pierwej...Tatko

w czasach gdy rysował ilustracje do " Strzechy", a potem do " Różowego Domina", czasopism wydawanych przez F.H.Richtera, bywał już w kontakcie z Bełzą, tkwiącym od młodości pośród książek, nakładców, wydawnictw... On to zresztą redagował przez łat szereg swego doskonałego " Towarzysza Młodzieży", którego komplet dostałam od niego w podarku, czytałam z upodobaniem i wiele ważnych pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw, zawdzięczam tym rocznikom. I do " Towarzysza" też narysował Tatko niejedno... Znaczna także część dziecinnych książek, które się stały zawiązkiem mej osobistej biblioteczki w białej, wąskiej szafce, której wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Pucem i Mucą, pochodziła z poczciwych darów pana Bełzy. Nieraz, gdyśmy go spotykali na ulicy, wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą, dziecinną " nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny osobliwie kochał dzieci, które podziwiał i rozpieszczał, darząc tym na co go stać było najczęściej - książkami.

Wielka była tedy uciecha nowego sąsiedztwa na pierwszym piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń serdeczną i przetrwała do końca. Bełza był to jeden z tych ludzi, o jakich Tatko mawiał :"Wiecie - on jest nadzwyczajny ale takich już nie ma.." Istotnie do najdzwyczajności sam nie miał pretensji, ale dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnym, jako typ przemiły, nieodżałowany, zaginiony już całkowicie. Czy można wyobrazić sobie dziś człowieka, któryby był zasadniczo, do gruntu, przychylny i życzliwy drugiemu ? Człowieka, który lubił- naprawdę lubił- zrobić drugiemu, czy bodaj powiedzieć coś przyjemnego. Bełza taki był. A to, że miał powierzchowność ujmującą, godną i ogładę na codzień, nie odświętną, ale tę nie będącą fornirem- masywną, dziedziczną - to już był tylko naddatek miły.

Kilkanaście lat, aż do mego zamęścia, przeżyłam z tymi dwojgiem kochanych ludzi pod jednym dachem i doprawdy -z wyjątkiem tylko wakacji - nie było dnia aby ktoś z nas u nich, albo od nich u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry, z paroma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych ptysiów, które z dołu ruda Lola przyniosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał ~~xxxxxxxx~~ i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowiania, na które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamięci :

" Przez słodycze i przez bluszcze
rym mój słodki do Was pluszcze..."

Bełza miał wszelako daleko większy talent życia i słowa, niż tak zwanego " pióra ". Był jak najciekawszy, ~~xxxxxx~~ raptularz który można było czytać z pożytkiem zawsze, na którejbądź stroni=

cy by się otworzył. Był słuszny,trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcję i polszczyznę znakomitę (w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru) co wszystko podnosiło jeszcze użycie słuchacza. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi,o każdych pamiętał mnóstwo,każdego sposób mówienia,gesty,głos umiał naśladować. Do takich arcydzieł odtwórczych Belzy liczył się czcigodny jąkała Platon Kostecki, hr.Karol Lanckoroński,a wreszcie koledzy z Ossolineum, np. stary Pawłowicz,Kętrzyński i inni,których " pokazywał " tak bajecznie,że się nie raz sami z siebie zaśmiewali...

Żona pana Belzy była z domu Ostrowska,siostra nie żyjącego oddawna rzeźbiarza, po którym zaadoptowali oboje synka sierotę, nazywającego się po Ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn,jakby najrodzeńszy,kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny,zacny i dzielny.Wtedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i kłapouszkami czarnymi, naszał marynarskie kołnierze i krótkie spodenki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie.

Szukam słów na wizerunek pani Belzowej,ale wszystko na nic.. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością,dobroci z dowcipem. Bystrość niespodzianą a zarazem łagodność w sądach o ludziach,która to kombinacja sprawiała,że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki,jak nikt,robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak nieocenione,zdumiewające humorem i trafnością,a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe,że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom,możliwymi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną,których cnoty i zalety znała pani Belzowa na wylot i radziła sobie z nimi wybornie.Codzień po herbacie po piątej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do " labeta". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Belzowej,pan Jan,radca kolei de facto,a wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików,najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy,czarny jak cygan,z ponurą twarzą - coś à la Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową głupstwa najrozkoszniejsze.Inna w tym zespole osoba,która mnie zaciekawiała, to była żona Antoniego,drugiego z licznych braci pani Belzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego,aktora i twórcy " Momusa", zwana w rodzinie " Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to jakoś tak,że była długo najładniejsza ze swoich córek...

Podczas gdy w jadalnym, przy udziale wszelakich Ostrowskich, Hofmoklów, pani Studzieńskiej siostry Bełzy i pani Gottliebowej Julii, jednej z sióstr pani (jak się później pokazało chrzestnej matki Wacka...) szła codzienna partia labeta, Bełza miał także swą godzinę przyjęć u siebie. Cały dzień od świtu niemal zajęty w umiłowanym Zakładzie czyli Ossolineum, zaraz popołudniu o piątej, kładł się do łóżka,- tak, bez żadnej choroby, poprostu z obyczaju - a wtedy szło się do niego na pogawędkę.

Leżał w bardzo zawsze starannej bieli, pod błękitną kołdrą, miał na czole zieloną umbrelkę, obok na stoliku paliła się świeca, gdyż lampy do czytania nie znosił, i piętrzyły się stosy wydawniczych nowości. Ileż takich godzin pamiętam przegwarzonych przez Mamę i Bełzę, z moim coraz większym z latami udziałem! Czułam zawsze, że wracam pokrzepiona jakąś znamienną wieścią polityczną ze świata (do jakiej niteczkę nadziei doczepiało się wtedy tak ochoczo!) -bogatsza o żywe wspomnienie o kimś z ludzi wybitnych - o świeżo dobyty szczegół historyczny -treść nowo wydanej książki -czy wreszcie tylko o Bełzy własne, aktualne przeżycia w Zakładzie..

Ossolineum ówczesne była to kopalnia typów tak dostojnych jak stary Małecki lub tak charakterystycznych, jak jego niemniej a może bardziej wiekowa żona - czy też smutnawo śmiesznych, jak stary Antoni Pawłowicz, kustosz muzeum, istny " biały okularnik" z historii o " Ankusie królewskim" Kiplinga... Galeria tych postaci była mi w relacji Bełzy tak plastyczna, że słuchając o nich siedziałam jakby na coraz to nowej odsłonie sztuki.

Oboje Maleccy, sędziwi wielce i mający życie do ostatka błogie i dostatnie, chorowali ciągle, raz on, raz ona, nie koniecznie na choroby rzeczywiste, ale lęk, że to już może " TA właśnie choroba..." Była między staruszkami, jakby konkurencja cicha, podobna do owej w bajce o Dziadu i Babie Kraszewskiego : " Które pierwej?"... Najpierw - streszczam wedle Bełzy -wmawiali w siebie samych dolegliwości, aby wywołać zaprzeczenie drugiego, co ich nawzajem uspokajało. Potem zaczynali podejrzewać się o ukrywanie przed tamtym bądź zdrowia, bądź choroby...Czasem istotnie któreś zaniemogło. Wtedy sądny dzień nastawał w Zakładzie! To - z dwojga chwilowo zdrowe, posyłało natychmiast po księdza, który najczęściej przychodził daremnie, bo poprawa następowała na jego widok prawie natychmiast. Zdarzało się, że gdy pani Małecka zasłabła i już od księcia kuratora aż do woźnego Michała wiedziało się o nowinie, gdy ktoś poleciał wysłany

przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka, dotknięta do żywego posądzeniem, że to mogło by być " już.." wstawała czem prędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor zastawali ją siedzącą przy fortepianie i wygrywającą najsiarczystsze mazury...Hulała bowiem za młodu szalenie, a za danserów miewała dość powiedzieć wszystkich trzech Wieszkowskich, Grottgera i mego Ojca. (Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium) Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli zaś tylko dlatego, ~~żexxxxxx~~ że już mieli ochotę. Ona pierwsza, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także jak i staruszków Małeckich, nie tylko z opowiadań Bełzy. Gorzki, jak proszek chininy, zasuszony w starokawalerstwie, warował na straży swego muzeum, nie mogąc ukryć pasji wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co PP. Małeccy, tyle, że samotnikowi brakło emulacji... Najbliżej żył z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś, był jego chrześniakiem. W braku innych dziedziców, postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Stasiowi. " Wszystko" Pawłowicza był to jakiś chromy stolik, krzesła nie lepsze, trochę papierów, pamiętnik, trochę gratów...Napisał testament i poprosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Aliści mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego Litwina. Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy, gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym czasie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie, aby do niego zaszedł. Okazało się, że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się,..Chłopcu który takie brewerie wyprawia nad głową skołatanego starca, niepodobna powierzać pamiątek...Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przedkładać okoliczności łagodzące...Biały okularnik był jednak nieubłagany i głosem, którym niegdyś zachęcał swoje uczennice rysunku przy lekcji, mówiąc: " Stawiaj panna pałki..." kazał też i Bełzie " postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedziczony. -" Sam sobie winien..." objaśnił z irytacją Pawłowicz. Minął znów pewien czas i Bełza znów dostaje wezwanie od Pawłowicza... Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej godny od Stasia, czy tenże poskromił swe obyczaje - dość, że poprzedni zapis uległ znów zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament, mocą którego " wszystko" dziedziczy Staś Kętrzyński... I nie byłoby w tych falowaniach woli białego okularnika nic tak znów dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili ży=

cia swego chrzestnego ojca pozostawać musiał w napięciu. A i mnie nie wiadomo kto ostatecznie stał się dziedzicem " wszystkiego " po Pawłowiczu.

To były rzeczy zabawne, ale ileż innych, charakterystycznych szczegółów nasypać umiał Bełza na poczekaniu! Został po nim pamiętnik, bardzo dokładny z całego życia, który prowadził o ile wiem do śmierci. Tam pewno znajdę się zczasem ~~xxx~~ te ważniejsze relacje o Kraszewskim, Goszczyńskim, o Kaczkowskim, Lenartowiczu, Połu, rodzinie Mickiewicza... Trudno dać mi pojęcie o tym, jak innym treściwszym, ciekawszym, świeższym umysłowo był sam Bełza, w porównaniu z tym co napisał. Myślę tu przede wszystkim o jego prozie ~~xxx~~ i o tym co wydał o Mickiewiczu. ~~xxxxx~~ Są ludzie, którzy muszą pisać, aby się ich zobaczyło. Są, na odwrót tacy, którzy aby się stali sobą, muszą " pióro" odłożyć.... Właśnie takim był Bełza. Mam przekonanie, że jedynie jego "Katechizm polskiego dziecka"- do pewnej mety oczywiście ! -próbę czasu wytrzyma. Podobnie jak po Konopnickiej - zczasem zostanie tylko " Rota", wzięta przypadkowo na skrzydła muzyki. Pamięć o Bełzie zatrzyma się najdłużej na powadze owego patrzącego dzieciom w oczy pytania : Kto ty jesteś ?

Zastrzegam się tu oczywiście przed posądzaniem, jakobym te dwie firmy literackie stawiała obok siebie na równi. Konopnicka była " większa", ale po obojgu zostanie tylko to, co w zwięzłych słowach potrafili powiedzieć o rzeczy " Największej".

Co wiosny, na wielkanocne ferie, wyruszał Bełza do Wenecji. Rzadko ~~xxxxxx~~ gdzieś dalej... To był adres, pod który dowoził zazwyczaj bez szwanku swoje coraz mniej pewne serce. Wyrzucam sobie, żeśmy sobie dworowali z niego, posądzając o urojenie, gdy czasem wracał z Wiednia, przepłoszony lękiem, ~~xxx~~ aby gdzieś po drodze nie zamrzeć, - gdyśmy patrzyli, jak na dziwactwo, na jego przesadnie powolny chód... A to była choroba, podchodząca coraz ~~xxxxxx~~ śmielej...

Z Wenecji wracał zawsze odświeżony, odmłodniały, rad, że się nawłóczył po antykwarniach i miał dla każdego za powrotem jakiś ładnie obmyślany gościniec. Dostałam raz przy takiej okazji autentyczny, starorzymski " stylos", nie kupiony, ale otrzymany wprost od znajomego archeologa. Taki kościany rylec do pisania na woskowych tabliczkach...

W roku 1897 zjechaliśmy się raz, ja i Wacek, z Bełzami i Gawalewiczem w Wenecji. Akurat biedna pani Bełzowa zasłabła na żołądek i Bełza wezwał doktora. Niemca. Ani ona, ani on, królewiak, nie mówili dobrze po niemiecku. Miał konsyljarz zabawę, gdy mu pacientka oznajmiła na wstępie, że ma "kranke Würste". Doktor

pojąwszy o co chodzi,a słysząc że chora nie wyrzuca sobie żadne=go przestępstwa kulinarnego zagadnął, czy to aby nie zaziębie=nie ?

\- W hotelu było zimno,to prawda - przyznała - ale ich habe mit einem Jäger geschlafen..."

Tu, gdy już doktor nie zdołał pamxanqxaxh ponamować ra=dości,zmiarkował i Bełza,że coś nie w porządku i nauczywszy się na pamięć tej weneckiej niemieczczyzny żony,ufetował nią następnie i nas i Gawalewicza..

Gawalewicz! Także taki typ,który dopiero wtedy zaczynał być oryginalny i ciekawy,mieć swój kontur i talent,gdy mówił, gdy się zapominało i gdy on zapominał o powieściach Gawalewicza! Świetna,cięta,bystra pleciuga,znająca swoją Warszawkę jak własną biografię, kronika nieoszacowana o żywych ludziach i rzeczach, człowiek,który tracił wszystek czas na wymyślanie rzeczy i ludzi - nieżywych.

Czegoż on nam wszystkim nie naopowiadał wtedy u Sandwirtha lub w czarnym kaloszu gondoli! Choćby tę anegdotkę o Deotymie i Henryku Sienkiewiczu,jej nb. kuzynku.

Pytał ktoś Sienkiewicza jak wygląda Deotyma ?Zaczął ją te=dy Sienkiewicz opisywać,ostrożnie,gdyż była już wtedy niemłoda, xxxx zatrzymując się głównie nad szatą w jakiej się jawiła na swoich słynnych wieczorach literackich,powłóczystą z "greckim" rękawem i złotą przepaską.

-We włosach miała - mówił - xx diadem i różę tu..."dot=knął swej piersi. W tejże chwili poprawił się i pokazał palcem locum róży o piędź dalej od kamizelki. - " Nie! -- poprawił się ponownie. Tu ! -- i wyciągnął ramię na całą długość. Poetessa była bowiem gruba i sięgała daleko w przestrzeń nie tylko samą wyobraźnią... Koncept był dobry,więc poszedł na Warszawę i zna=lazł się rychło u stóp wieszczki,która bardzo długo potem robiła chłód Sienkiewiczowi.

Potoczyła się rozmowa o Sienkiewiczu,o niemiłych małoś=ciach wielkiego pisarza.

\- To jest taki człowiek, - powiedział pan Maryś -- że gdyby ktoś z jego wielbicieli,zrobił sobie w jego oczach hara=kiri i ginął u jego stóp ze słowami : Mistrzu! Dla ciebie! - Sienkiewicz bez słowa zatkałby sobie nos chusteczką i przeszedł mimo,nie obejrzawszy się..."

W wiele lat później opowiadała mi pani Gawalewiczowa,jak to - gdy była cudną,młodziutką panną,Sienkiewicz kochał się w

niej, jak xxxxxx jej widoku szukał, towarzyszył jej wszędzie jak cień, on - skromny literacik na dorobku, ona zamożna, świetna - piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza i drogi ich rozeszły się daleko... Lata minęły, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, żona jego zaś rozczarowana, złamana, piękna tylko zawsze cudowni cudownie, znosiła z męstwem artystyczną biedę, byleby tylko on - Marian - miał dom wygodny i życie gładkie... Jednego ranka, Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy, a szło o zaoszczędzenie paru kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Marianowa jeszcze wcześniej, aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec. Gdy szła, wlokąc się z ciężkim bagażem, wprost siebie ujrzała nadchodzącego Sienkiewicza. Był już wtedy xxxxxxxx uszczytu sława, a ona jeszcze może bardziej dojrzała urodą. Nie można było jej nie poznać. Ulica była [illegible]e pustawa, więc tym bardziej wpaść mu w oczy musiała śliczna, młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama o której marzył studentem... Sienkiewicz, z mgnieniem ambarasu na twarzy, minął ją bez słowa, ni gestu.

Zgadało się także o xxxxxxxxxx o Paderewskim. Posypały się szczegóły, jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, raczej ze względu na niego, którego można pod światło potrzymać jak kryształ - niż ze względu na panią Helenę... Latami nie brałam na serio tych warszawskich jej i egipskich tradycji, wierząc, że on był w jej życiu jeden, że tylko zawiść ludzka skubie jej sukmie - dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz... Niestety, choć i zamilczę niejedno, pewna jestem, że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą i pozbierają wszystko. Za ciężkie ma historia polska porachunki z panią Heleną !

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdowcem po swej pierwszej żonie, Korsakównej - i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tym tylko, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet wyrzucił z konserwatorium. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był - wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Korsakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie pierwszej pani Paderewskiej i pamięta jego, jak szedł za trumną w wyszarzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Marysia.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską

przyszłą... Nazywała się wtedy pani Górska,a mąż jej Władysław, był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen,bywającą pod opieką starej cioci,przez długi szereg bezowocnych karnawałów, piękną,ale nie lubianą... Tymczasem kędyś w zaułu mieścił się sklepik,którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny, Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy,morskie świnki, wiewiórki... Wielkie też było zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosen. Zapewne,dosyć już dojrzała panna,której ciotka wolała iść spać,niż na bal,obliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka,który i jako sybirak i jako zacny człowiek i wirtuoz ceniony,ogólną miał sympatię. Że zaś żył z tej racji ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierało się dla pięknej,muzykalnej panny pole wcale nęcące... I zaczęła się dola pani Heleny, którą już znamy wszyscy...

X

X X

Ale wracam na Zimorowicza, do Bełzy.

W miarę mijających lat podnosił się też mój poziom umysłowy i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanego Bełzy za tę moc najlepszych książek,do jakich- dzięki jego dobroci - miałam dostęp bezprzestanny. Wszelkie nowości polskie,wszystkie najlepsze przekłady, czasopisma - były do mojej dyspozycji. A także i pierwsze kity bzu otrzymywałam zwykle " z dołu". Gdy się rozkwitły przed Ossolineum, woźny, Michał Saturski,taki sam jak dziś,różowy i przychylny,tyle,że młodszy o lat z okładem trzydzieści, przynosił ich bukiet dla pani Bełzowej...Kazikowi z pierwszego piętra zawdzięczam także jedną radość dozgonną ! On to zaznajomił mnie w czasach,gdym była raczej dziewczyną jeszcze niż panną, z najmilszym " Bajarzem Polskim" Glińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne!

Nasz ganek,na drugim piętrze,na który wychodziło się od klatki schodowej i naszej kuchni, był słoneczniejszy od dolnego, miał widok na całuteńki Lwów i lewy jego kąt obok kuchni,zwieszony nad dachem szopy pod którą nocowały fiakry gospodyni,- kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie konewki,zawsze pełne wody,w której pływała pałka chrzanu -- był ulubionym miejscem zasiadów. Popołudnia całe prażyło tu słońce,za to ranki i pozachodnie godziny bywały rozkoszne. Tu był też prawomocny teren Katuli,mojej ukochanej suczki-przyjaciółki, matki Nolki,a babki Kadurci , - tu w Zielone Święta

pachła liściasta altana z grabiny i brzóz i skrzypiał pod piętami, podsypany białym piaskiem szuwar...

Pewnego lata wymyśliliśmy sobie z Kazikiem i Adasiem - choć obaj chłopcy młodsi były znacznie ode mnie - wspólną zabawę czarnoksięsko- medyczną. Polegała na tym, żeśmy flaszki napełnione czystą wodą stawiali na górnym, najbardziej na spiekę eksponowanym ganku i w świetle naszej wiary, tudzież słonecznych promieni, zabieg ten czynił jakoby z wody zwykłej, wodę leczniczą o uniwersalnych skutkach. Choć nie znajdowała poparcia u starszych, fabrykacja naszej "nalewki na słońcu" trwała aż do wakacji i - jak dziś widzę - była dość genialnym przeczuciem praktykowanych obecnie szeroko, konfidencji ze słońcem...

Otóż raz, gdy się bateria naszych ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ flaszek " nasłoneczniała" na ganku , a my wedle zwyczaju, poszliśmy na ostatnie, najstromsze cztery schodki pod naszym strychem, gdzie było chłodno, zatulnie i - co najważniejsze - niezwykle - i gdzie dla zabicia czasu czytało się coś wspólnie - pokazał mi Kazio "Bajarza." Dwa tomy oprawne razem , jak cegła, pierwsze wileńskie wydanie. Jakżeśmy dali nura w ten ~~xxxx~~ cud ! Jakże mi się fantazja w tym chlapać zaczęła, jak kaczka ! Kochany Bajarz! Przyjaciel wypróbowany, któregom dostała potem ~~xxxxxx~~ do wyprawy, ten sam znów "wyprawny " Bajarz Leli!

Nie ma już słonecznego naszego ganku ! Przeróbka ~~xxxxxxx~~ kamienicy skasowała oba, a i patrzeć, co prawda, nie ma tak dalece już na co... Kamienice wypiętrzyły się bezczelnie i brudne parawany ich pleców zasłoniły widok prześliczny.

W miarę lat i postępu sercowej choroby, która go miała - jak i mego Tatka - zabrać przedwcześnie, kochany pan Bełza dziwaczał. Wstawał w nocy i z jakiejś niedocieczonej przyczyny, nie zapalając świecy, dążył do salonu, gdzie na ogonie fortepianu stały zawsze, przygotowane umyślnie w tym, a nie innym miejscu - konfitury... Spożywszy je, szedł - również po ciemku - do jadalni, aby wypić tam szklankę mleka, którą co wieczór stawiało się dla niego na bufecie. Po tych czynnościach kładł się znowu i zasypiał.

Owe dziwaczne wyprawy " na łów" po omacku byłyby może usprawiedliwione, gdyby je motywował lęk, by nagłe błyśnięcie światła nie zbudziło pani Bełzowej. Ten wzgląd niestety odpadał. Pani Bełzowa - o ile się nie mylę - na tle zaniku nerwu wzrokowego ociemniała biedaczka tak dokładnie, że do śmierci poruszała się po znajomym mieszkaniu także po omacku, pogrążona raz na zawsze w takiej ciemności, w jakiej on grążył się czasem tylko i dlatego, że chciał. Nie zrażało go przy tym bynajmniej, że z powodu

braku światła zdarzały mu się w czasie nocnych łowów fatalne, spożywcze pomyłki i że niejeden - cały z wieczora talerzyk - budził się rano w czerepach...

Pan Bełza natomiast - przeciwnie! Budził się świeży i wypoczęty o godzinie czwartej rano. Wstawał, zasiadał do biurka i jak codzień od niepamiętnych czasów, dopisywał w swym pamiętniku dzieje dnia wczorajszego...

Tymczasem lata mijały. Ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Schodnicy. Znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dziodzia. Rodzice mieszkali już na Zaświeciu. Niebawem mieliśmy tam nadążyć i my.. I znowu - choć dalsze o dwie ulice - odżyło dawne, kochane sąsiedztwo. Znowu chodziło się o piątej na pogwarek do Bełzy. Jak ongiś mnie, tak samo Luka teraz - swego pochrześnika - Bełza począł obdarzać książkami.

..Gdy już Kazio dużą głową stołu dosięgał, zaczęło się i jemu obrywać... Nie kto inny, tylko Bełza uczcił też pierwszym madrygałem Beatę.

" Takam piękna, takam gładka
i nazywam się Beatka.
Istny portret mojej mamy
tylko mnie oprawić w ramy...
I cóż warta marna sława
pana Bełzy, Władysława ?
Wszystkie dzieła w piec by włożył
gdyby takie dzieło stworzył!!

Gdy Bełza napisał swój słynny " Katechizm " który dedykowany Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysiącach i tysiącach odbitek, Luk był pierwszym ~~polskim~~ dzieckiem w Polsce, który go umiał na pamięć.

Pamiętam ten popis...Poszłyśmy z Mamą i obydwoma chłopcami około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną kołdrą, założoną książkami, czyściutki, w zielonym daszku nad oczyma i złotym pince-nez. Ona, mimo ślepoty niezmiennie pogodna i miła, " oglądała" życzliwymi rękami pyszczki malców, doszukując się rodzinnych podobieństw i dziwując różnicy między miękkimi kudełkami Luka a wątłym meszkiem na łebku Kaziowym.

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz " Katechizmu". Bełza wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował, a potem, półżartem, pół serio zapytał :

- No cóż? Jakby tak kiedyś naprawdę przyszli Moskale, czy byś oddał życie?

- Oddałbym...- napuszył się z przekonaniem Luk.

- A ty? - zwrócił się Bełza do Kazia.

- A pan ? - odpalił głowacz spokojnie, godząc w Bełzę tłus-

tym, niebieskim okiem.

- Poszedłbym razem z wami ! A jakże ! - śmiał się Bełza.

A na to Kazio :

- Jak my pójdziemy, to pan już ocho!", i uciął, czując, że się zapędził nieładnie...

- Masz rację ,obywatelu ! - rad nie rad, śmiejąc się wy=krzyknął Bełza. - Mnie już wtedy nie będzie...

Bardzośmy były oburzone za trzeźwą śmiałość naszego „twardego" kocura, ale jakże się było nie śmiać ?

A po latach, spełniło się i to, za co ręczył Luk i to co Bełzie przepowiedział Ziuba...

Umarł Bełza w sam czas, jeden z tych szczęśliwych, którzy czekali wierząc - zniewagi spełnienia nie dożywszy !

....

....

Przerywam te zapiski, ten brulion wspomnień w najczarniej=szej, najstraszniejszej dobie polskiej historii. W przeddzień Zgromadzenia Narodowego w Warszawie dn. 30 maja 1926 roku.

Jestem w Medyce, w domu z którego wywozi się na zachód cenniejsze dzieła sztuki, pamiątki, archiwum. Z nimi idą i te zapiski. Czy się zejdę kiedy jeszcze z tymi kartkami? Czy dopi=szę co jeszcze ? Bogu jedynie wiadomo ! Czy warto będzie jesz=cze żyć na tej ziemi najdroższej, splugawionej, okrwawionej, no=wym, najhaniebniejszym z rozbiorów, spętanej, opętanej, wydanej wrogom na łup - wrogom mówiącym po polsku !

Im straszniejsza, nikczemniejsza teraźniejszość, tym niżej kłaniam się w podzięce szczęśliwemu, bogatemu, pięknemu życiu, jakie mi Bóg przeżyć pozwolił, tym wdzięczniej błogosławię pa=mięć Ich wszystkich, którzy je tak szczęśliwym, bogatym, pięknym uczynili !

Niechże mi Oni jeszcze i śmierć niezapóźną, miłosierną uproszą !

Amen

Medyka 30 maj 1926

II